



PRAWA DO EKRANIZACJI
SPRZEDANE!

JACEK OSTROWSKI

BIBLIOTEKARKA



SKARPA
WAR.
SZAW.
SKA.

**JACEK
OSTROWSKI**

BIBLIOTEKARKA

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

BIBLIOTEKARKA

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia na okładce
©Ghoststone/AdobeStock, ©TrnavaUniversity/Unsplash

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67093-98-9



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Wszystkie postacie wymienione w tej książce są wymyślone przez autora, a ich ewentualne podobieństwo do kogokolwiek jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.

Dawno już minęła północ i tylko w nielicznych oknach tliło się jeszcze światło. Jednym z nich było okno mecenas Zuzanny Lewandowskiej – to, z którego parapetu kilka lat wcześniej wrony porwały męskie klejnoty, które notabene bezpowrotnie zaginęły.

Zuza siedziała przy biurku i w oparach koniaku oraz w chmurze papierosowego dymu przeglądała „kwity” na pułkownika Januszka. Już od godziny je wertowała i czuła pewien zawód. Myślała, że tego sukinsyna dostanie na tacy, ale się srodze rozczarowała. W papierach znalazła jedynie trop prowadzący do jakiejś bardzo starej sprawy, w której pułkownik zapewne był umoczony po same uszy. Z dokumentów wynikało, że wtedy świeżo po szkole oficerskiej w Szczytnie służył w wydziale śledczym, w stopniu podporucznika. To było jedno z jego pierwszych dochodzeń, śledztwo, które podejrzenie szybko umorzył, tak jakby chciał coś ukryć. A zatem należało się przyjrzeć tej sprawie. Znaleźć haki na sukinsyna i chwycić go za jaja, i to stalowymi cęgami.

Włożyła papiery na powrót do teczki. Gdzie teraz je schować? – zastanawiała się. Nikt nie powinien ich widzieć. Od czasu kiedy przejęła archiwum Wiśniewskiego, co i raz miała włamania. Sekretarz przez wiele lat zbierał ciekawostki z życia plockich prominentów niczym filatelista znaczki, ale nie chował ich w klaserach, tylko w szarych tekturowych teczkach, znakując je jedynie kolorowymi mazakami. Na przykład ta zawierająca dane dyrektora Jagiellonki była zaznaczona na różowo, a jej zawartość faktycznie dobitnie to tłumaczyła. Tak oto z dnia na dzień, wprawdzie za niemałe pieniądze, Zuza stała się właścicielką cennego archiwum i z dnia na dzień poczuła się panią życia i śmierci plockiej elity. Taki zbiór stanowił łakomy kąsek i dlatego było na niego wielu chętnych. Jednak musieli obejść się smakiem, bo dokumenty były bardzo dobrze ukryte.

Szczególny niepokój wzbudzał tajemniczy darczyńca. Mężczyzna, który wręczył jej teczkę Januszka. Kim był i dlaczego jej pomagał? Czy kiedyś nie

przyjdzie jej za to słono zapłacić? Czas pokaże, jakie były jego prawdziwe intencje. Najważniejsze, że tak jak ona chciał dorwać pułkownika.

– Bój się, sukinsynu, Zuza nadchodzi – szepnęła, zamykając teczkę.

– Suuukinsyn! Suuukinsyn! Zuuuza baaal!

Zgaga rozkrzyczała się na pół kamienicy. Borys, obudzony jej wrzaskiem, podniósł łeb na chwilę, po czym przekręcił się na drugi bok i znów zasnął.

– Będzie bał, jak mi tu tym wrzaskiem ściągniesz patrol ZOMO – mruknęła Zuza pod nosem i spojrzała na zegar. Zaraz wybije pierwsza, dosyć na dziś, trzeba iść spać, jutro też jest dzień.

Wstała wcześniej rano, bo przed dziewiątą. Otworzyła drzwi i wypuściła Borysa. Ostatnio nauczyła go samodzielnego wyprowadzania się za potrzebą, co było dla niej bardzo wygodne. Z reguły wracał po kwadransie, chyba że trafiła mu się jakaś suczka z sąsiedztwa, bo wtedy zupełnie zapominał o bożym świecie i pojawiał się dopiero po kilku godzinach, cały zziębnięty, z pianą na pysku. Sądząc po wyglądzie bezpańskich psów wałęsających się po okolicznych ulicach, Borys junior okazał się równie płodny jak jego ojciec, Borys senior.

Pan Tadzio, sąsiad z trzeciego piętra, kręcił tylko głową na tę Zuzy nonszalancję i wciąż ostrzegał ją przed rakarzami. Stary myśliwy dobrze wiedział, że jeżdżą po mieście i wyłapują bezpańskie psy, by je potem przerobić na mydło. Zuza się tym jednak zbytnio nie przejmowała, wierzyła we wrodzoną inteligencję Borysa i ufała, że pies poradzi sobie, nie da się obwiesiom, a i dla nich lepiej, żeby go omijali, bo jak nie, to dorwie ich i zrobi z nimi to samo.

Wrócił już po kwadransie, a zatem dziś nie zarwał żadnej laski. Zuza rzuciła mu wielką kość wołową do miski, żeby miał zajęcie na kilka godzin, nakarmiła Zgagę i poszła na śniadanie do baru. Po drodze spotkała maglarkę. Marnie wyglądała. Tuż pod lewym okiem, notabene

zakrwawionym, widniał wielki siniec, a na dolnej wardze spora opuchlizna.

– Dzień dobry, pani mecenas. Dobrze, że panią widzę. Potrzebuję pomocy – zaczepiła ją.

– Co tam, pani Anielo? Widzę, że znów chłop panią pobił i pewnie ponownie trzeba go wsadzić do kryminału. Ale z tym nie do mnie. Tyle razy pani mówiłam, że na tym etapie od tego jest milicja, a nie adwokat. Jednego może być pani pewna: jego obrońcą nie będę, choćby ze względu na naszą znajomość, ale swoją drogą to nie cierpię babskich bokserów. My, baby, powinnyśmy się trzymać razem.

– Ale pani zna milicjantów, tego kapitana... jak mu tam? Zapomniałam, jak się nazywa, ale taki stary i okropnie gruby.

Zuzie przez twarz przemknął delikatny drwiący uśmiech.

– Pewnie, kochanieńka, masz na myśli kapitana Mariańskiego, gwiazdę wydziału kryminalnego?

– O właśnie, o niego mi chodziło. Wygląda tak poważnie, budzi szacunek.

– To bardzo zły kierunek rozumowania. Boję się, że samo przyznanie się do znajomości ze mną pogrzebie wszelkie pani nadzieje – odparła Zuza, z trudem tłumiąc wesołość.

– Ależ, pani mecenas, to wielki zaszczyt znać panią – zdziwiła się maglarka.

– Widocznie nie zawsze. Nie każdy tak myśli. Proszę pójść na komisariat i zgłosić pobicie, ale najpierw trzeba się udać na pogotowie, niech zrobią obdukcję. Zresztą to nie pierwszy raz, to wie pani, co robić.

– Pani mecenas, ale co to da? Oni go zaraz wypuszczają i wtedy od nowa się na mnie wyżywa. Ostatnio złapał za nóż i wykrzyczał mi: „W końcu cię zajebię, suko!”.

– Ma pani na to świadka?

– Tak, jego matka słyszała wszystko. Mieszka z nami.

– A poświadczy pani słowa?

– Pani mecenas, no co pani? Jego matka to straszna jędza. Ona, suka jedna, nie da nic na niego powiedzieć. Poza tym dla niej to on jest słodziutki.

– To co to za świadek? Proszę o niej zapomnieć.

– Może sąd ją przyciśnie i wszystko wyzna?

– Na to bym nie liczyła. Muszę już iść. Aha, jutro, jak nie zapomnę, to podrzucę magiel, bo już się sporo uzbierało.

– Wymaguję jak trzeba, chyba że wcześniej mnie ten bandyta zatłucze.

– Nie rozumiem, czemu się, kobieto, nie rozwiedziesz i nie przegonisz tego łajdaka?

– Boże, mam być rozwódką? Co też pani opowiada? Co ludzie powiedzą? Jak im spojrzę w oczy? To przecież wstyd, ksiądz by mnie z ambony wyklął.

– No tak, można mieć i takie podejście do sprawy – mruknęła pod nosem Zuza i poszła dalej.

Po śniadaniu udała do kancelarii. Torebkę rzuciła na biurko, rozsiadła w fotelu i zapaliła. Wciąż nie dawała jej spokoju myśl, czy dobrze schowała teczki, czy ktoś w końcu nie wytropi jej kryjówek i ich nie zniszczy, a to byłaby niepowetowana strata.

– Coś taka zamyślona?

Podskoczyła do góry ze strachu, aż ekstra mocny wypadł jej z dłoni na blat biurka. Jeszcze chwila i zapaliłyby się leżące na nim papiery. To Kowalski, nie zauważyła, kiedy przyszedł.

Wrzuciła pośpiesznie peta do popielniczki.

– Cholera jasna! – ryknęła na kolegę. – Mógłbyś zapukać. Ja do ciebie nigdy tak niespodziewanie nie wchodzę, przecież mogłam dostać zawału!

– Ale powitanie, a ja chciałbym zaprosić cię na kolację – oznajmił jej z szerokim uśmiechem na twarzy.

Spojrzała na niego zdziwiona. To nie było normalne. Nigdy nie był wyrywny do takich zaproszeń. Raczej to on chadzał wszędzie, i to na tak zwany krzywy ryj. Gdzieś tu musiał tkwić jakiś haczyk.

– A to z jakiej okazji, jeśli można wiedzieć?

– Bez okazji. Znamy się tyle lat, przyjaźnimy, wspólnie pracujemy.

– Przyjaźń to może za dużo powiedziane – natychmiast sprostowała zgryźliwie – ale zgoda, do której knajpy i kiedy? Jeśli do Nowoczesnej, to nie dam się namówić. Tam ostatnio serwują bardzo kiepskie żarcie, a na dodatek szef kuchni zaraził się salmonellą i leży w szpitalu. Marny jego los, bo znając naszych rodzimych medyków, to niebawem wpadnie w łapy Ludwickiego, a ten go zaraz pokroi w plasterki.

– Nie, zapraszam cię do mnie. Co ty na to?

Zatkało ją z wrażenia, tego jeszcze nie grali. Co najmniej podejrzane, bo Kowalski nie miał zielonego pojęcia o gotowaniu.

– Co proszę? Co ty pierdolisz? – wydukała. – Przecież ty nie gotujesz. Która twoja lala to przyrządzi? Zdradź mi tę tajemnicę. Mam nadzieję, że nie Teresa, ona też nie ma o tym bladego pojęcia.

– Czas to zmienić, właśnie się uczę. Kupiłem *Kuchnię polską* i jestem już w połowie książki. Jutro pewnie dobrnę do końca.

– Kurwa mać, ale to nie jest powieść, to podręcznik.

– Spokojnie, kontroluję sytuację, jestem pojętnym uczniem. Będzie pieczona kaczką z jabłkami w białym winie. I co na to powiesz?

Kowalski pitraszący w kuchni, mierzący się z przepisem na jedno z najbardziej wykwintnych dań – to było warte zobaczenia. Nie mogła mu odmówić. Jeśli spieprzy potrawę, a pewnie tak się stanie, to go wyśmieje. Będzie mieć frajdę, jakiej dawno nie doświadczyła.

– Dobra, kiedy planujesz ten zamach na moje zdrowie, a być może życie? Muszę wcześniej spisać testament, uściskać papugę i psa.

– Komu przekazesz swoją spuściznę? Chyba nie Geńce? Może Mariańskiemu? – Zaśmiał się.

– Prędzej przepisałabym na Kościół niż temu wieprzowi. Jeszcze się zastanowię. No to na kiedy planujesz zabójstwo wspólniczki?

– Pasuje ci piątek? Powiedzmy szesnasta.

Ktoś zapukał, przerywając im rozmowę.

Zuza zerknęła na zegarek. Jeszcze była godzina do otwarcia kancelarii. Kogo diabli przynieśli?

Zaskrzypiały zawiasy, w progu pojawił się nieznany mężczyzna.

– Ja do pani Lewandowskiej – wydukał, płochliwie rozglądając się po pokoju.

– Takiej tu nie ma. Chyba że do mecenas Lewandowskiej. Jakkolwiek by było, cztery lata studiów, później aplikacja adwokacka. Za to wszystko coś mi się należy – zrugła go bezceremonialnie.

Zaczerwienił się, wyraźnie speszony.

– Przepraszam, szukam pani mecenas Lewandowskiej – zaraz się poprawił.

Zuza popatrzyła znacząco na Kowalskiego. „Wyjdź, proszę, pogadamy później, najpierw spuszczę tego klienta” – mówiło jej spojrzenie.

Zrozumiał i bez słowa opuścił gabinet.

– Siadaj pan. – Zuza wskazała nieznanemu krzesło przy biurku. – Daję panu pięć minut, więc proszę od razu przechodzić do sedna sprawy, mam zaraz umówionego klienta – skłamała.

Usiadł na krawędzi siedziska. Wyraźnie zbiła go z pantałyku tym obcesowym przyjęciem.

– Nazywam się Bielski... – zaczął.

– W Płocku jest ulica Bielska, ale to chyba nie na pana cześć? – kpiąco weszła mu w słowo, sięgając po papierosy. Co jak co, ale nie lubiła, kiedy klient zjawiał się przed jej poranną herbatą.

– Nic o tym nie wiem – odparł spokojnym głosem, nie dając się wyprowadzić z równowagi. – Jestem prezesem spółdzielni wydawniczej „Kacze Pióro”.

Słyszała o nich co nieco. Ponoć po godzinach drukowali jakieś antypaństwowe ulotki. Tak w każdym razie kiedyś po opróżnieniu dwóch butelek stocka twierdził proboszcz fary. To było chwalebne, ale jaki miało związek z wizytą tego tutaj? Czego mógł od niej chcieć?

– Mam dla pani propozycję.

– Cóż to za oferta? Cała zamieniam się w słuch – rzekła z drwiną. Ulotki czy literatura religijna? Wiedziała, że ją też drukowali. Chyba katechizmy, o ile dobrze pamiętała.

Kołysząc się na krześle, zapaliła papierosa, głęboko się nim zaciągnęła i wbiła natarczywe spojrzenie w przybysza. Niech no w końcu wydusi to z siebie. Niech ją czymś zaskoczy. Oj, z tym będzie trudno. Spojrzała ostentacyjnie na zegarek.

– Chcę pani zaproponować wydanie pani biografii.

W gabinecie zabrzmiał huk wywracającego się krzesła. Zuza z trudem gramoliła się z podłogi.

Postawiła krzesło na powrót i usiadła. Sięgnęła po następnego papierosa, bo tamtego zgmiotła, przy okazji przepalając w swetrze wielką dziurę. Szkoda, bo go lubiła. Teraz trzeba będzie nowy załatwić w Modzie Polskiej, dobrze, że zna kierowniczkę. Może uda się kupić podobny. A to wszystko przez tego prezesa. Była wściekła i wcale się z tym nie kryła.

– Jaja pan sobie robisz?! Kurwa mać, jeszcze nigdy nikt tak sobie ze mnie nie zakpił. Wynocha z mojego gabinetu, i to już! – ryknęła.

– Ależ, pani mecenas, to wcale nie żart, nie chciałem pani urazić. Jeśli czuje się pani dotknięta, to przepraszam. Jest pani tak barwną postacią. Widzę w tym materiał na dobrą książkę. Proszę się zastanowić – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Kurwa mać, barwna to jest moja papuga, a jeszcze bardziej ten koczodan Kowalskiego. Jak pan śmie przychodzić do mnie z taką propozycją? Idź pan do mojej papugi i spisuj jej wspomnienia. A teraz wynocha, bo nie ręczę za siebie. Jazda stąd, i to prędko!

Bielski poderwał się pośpiesznie z krzesła, ale zanim opuścił gabinet, położył na blacie biurka kartkę złożoną na pół.

– To mój numer telefonu, gdyby jednak zmieniła pani zdanie – rzekł i szybko wybiegł z kancelarii.

Uczył to w ostatniej chwili, unikając w ten sposób trafienia książką telefoniczną ciśniętą w jego kierunku.

Nie minęła minuta, gdy w pokoju pojawił się Kowalski. Schylił się i podniósł książkę.

– Co tu się stało? Słyszałem dziką awanturę.

– Kurwa mać, powiedz mi, czy jestem barwna, tylko szczerze? – spytała Zuza podniesionym głosem, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

Patrzył na nią zdziwiony. Co ona znów bredzi? Co ją tak wzburzyło? Pewnie wczoraj jak zwykle było za dużo koniaku. Chyba powinna z tym przystopować.

– No, odpowiedz.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz? Co to za pytanie?

– Czego znów, kurwa, nie rozumiesz? Przyszedł do mnie prezesik jakiegoś gównianego wydawnictwa z propozycją wydania książki o mnie, bo jestem niby barwna. A co ja jestem, papuga? Chyba mu się coś popierdoliło w tej łepetynie.

Kowalskiemu aż oczy zabłyśły.

– Poooważnie? Zaproponował ci wydanie autobiografii? Jak ja bym chciał, żeby ktoś miał ochotę wydać moje wspomnienia.

– Twoje? – Zuza parsknęła śmiechem. – Twoje nadają się jedynie do teczki w obyczajówce. O czym byś pisał? Pewnie o szorowaniu biurek pośladkami twoich pańienek i o uprawianiu seksu w amfiteatrze na ławce.

– Skąd o tym wiesz?

– Widziałam. Chadzam tam nieraz z Borysem.

– To nie twój interes.

– Pewnie, że nie. Tak jak i to, że wciąż biegasz do poradni wenerologicznej na tyłach pogotowia. Ile penicyliny sobie wstrzyknąłeś przez te ostatnie lata? Jesteś niczym chodząca jej ampułka. Wiesz, jaką masz ksywkę w naszym środowisku? Nazywają cię Mister Fleming.

– Ty też nie jesteś święta, bo też miałaś mały epizodzik – odpalił jej natychmiast.

Zuza zbladła. To była jej najświętsza tajemnica, tylko doktor Kalicki o tym wiedział. Czyżby puścił farbę? To było do niego niepodobne.

– Skąd wiesz? – syknęła przez zęby. – Kto ci to powiedział? Nazwisko? Marny jego los.

Szeroki szelmowski uśmiech zagościł na twarzy Kowalskiego.

– Nie wiedziałem, strzelałem i widzę, że trafiłem. W sumie to nie było trudne, pewnie połowa Płocka tam po cichu biega.

Zuza była wściekła na siebie, że tak łatwo dała się podpuścić, teraz musiała przełknąć tę gorzką pigułkę.

– Tak czy owak, nie zamierzam słuchać tego chłystka. Kto by to kupił? Ci, którym bym z chęcią dokopała, są pólanalfabetami i nie czytają książek, jak choćby Mariański, lub nie żyją, jak choćby... A nieważne. – Machnęła ręką i sięgnęła do szuflady po piersiówkę.

– Masz na myśli Jarzębowskiego?

– Kogo mam na myśli, to nie twoja sprawa, napijesz się? – spytała, odkręcając butelkę.

– Czemu nie, zimno coś dzisiaj, a sprzątaczką słabo napaliła. A wracając do sprawy, jeszcze raz przemyśl tę propozycję, ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, żebyś i o mnie coś wspomniała, oczywiście dobrze. W sumie, bądź co bądź, jesteśmy przyjaciółmi, i to od lat.

Zuza ostrożnie rozlała trunek, aby nie uронić żadnej kropelki.

– Nie ma mowy, koniec rozmowy na ten temat. Kurwa mać, wciąż mi po głowie chodzi, jak on mógł mnie nazwać barwną. Autobiografia barwnej papugi, to brzmi beznadziejnie.

Podniosła kieliszek.

– Na pohybel wszystkim wydawcom – wzniosła toast. – Niech się od nas odpierdola!

Mariański, sapiąc ciężko, wszedł na pierwsze piętro komendy. Czego może od niego chcieć Januszek? Przecież od lat nie jest jego zwierzchnikiem, zastanawiał się. Zapukał do drzwi.

– Wejść!

Pułkownik siedział za biurkiem i czytał „Trybunę Ludu”.

– Siadajcie! – Wskazał kapitanowi krzesło, po czym odłożył gazetę. – Znacie niejaką Zuzannę Lewandowską?

A więc o to chodzi. Pewnie ta suka i jemu zalazła za skórę.

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

– Gównno ją znacie! – ryknął na niego Januszek. – Gdyby to była prawda, tobyście wiedzieli, gdzie ukryła te przekłete papiery Wiśniewskiego. Potrafilibyście przewidzieć każdy jej ruch, a wy nawet nie wiecie, kto ją rucha. Wy nic nie wiecie.

Mariański wyprężył się jak struna i stanął na baczność.

– Melduję, że nikt jej nie rucha, towarzyszu pułkowniku!

– Nie pierdolcie mi tu! Taką babę musi ktoś ruchać! Znajdźcie go i zmuście, żeby nam wszystko raportował. Macie znać nawet jej myśli, zrozumiano?

Mariański czuł, jak mu pot cieknie z czoła. Wyjął z kieszeni wielką kraciastą chustkę i przetarł twarz.

– Dużo o niej wiemy, proszę spojrzeć w moje notatki służbowe, towarzyszu pułkowniku – bąknął nieśmiało.

– Te wasze notatki! Kurwa mać, tego się nie da czytać! Mariański, ile wy klas skończyliście? Dwie? Trzy, a reszta pewnie wieczorowo, może zaocznie?

– Takie były czasy – zaczął dukać kapitan. – Do tej roboty to i szkoły niepotrzebne.

– Do pałowania to i owszem, ale wy, kurwa mać, jesteście oficerem, choć tak naprawdę nie wiem, jakim cudem zaszliście tak daleko. Jak wy maturę zrobiliście? Mówcie! Co to był za przekręt? Pewnie postraszyliście komisję.

Paluchy poszły w imadło? Wyrwaliście paznokcie? A może dyrektora skopaliście po jajach? Mam rację? Znam wasze ubeckie metody.

– Przynajmniej były skuteczne. Taka Lewandowska, jakbym jej głowę obił, to od razu by wszystko wyznała. Teraz to trzeba się z nimi cackać. Tego nie rozumiem.

– No właśnie, niczego nie rozumiecie, pewnie czas wam zabrać dupę w troki i wypierdalać na emeryturę. Przemyślcie to sobie, a teraz precz z moich oczu.

Kapitan, rącho jak na swoją tuszę, poderwał się z krzesła i pośpiesznie wyszedł.

Januszek sięgnął po słuchawkę i wykręcił znany na pamięć numer.

– To ja, pokażcie się u mnie, i to pilnie... – zawahał się i zerknął na zegarek – ...powiedzmy o dwunastej. Tylko nie spóźnijcie się, bo mam spotkanie z sekretarzem wojewódzkim, a on nie lubi czekać.

Zuza tego dnia, zamiast iść na obiad do baru, poszła do Staromiejskiej. Miała ochotę na prawdziwego schabowego z zasmażaną kapustą. Owszem, musiała się podzielić z restauracją częścią kartki na mięso, ale było warto, w dodatku z dwóch powodów: kotlet był... palce lizać, a przy sąsiednim stoliku siedział Nowakowski, kierownik Polmozbytu. Obiecał załatwić nowe opony do jej wysłużonego fiata, i to rarytas, prawdziwe micheliny, a te cacka kosztowały na czarnym rynku trzy razy tyle co w sklepie.

Wracając do domu, wstąpiła do biblioteki. Rzadko tam zaglądała, bo miała cechę charakteru bardzo nielubianą w komunizmie – wysoce rozwinięte poczucie własności; dlatego też jej prywatna biblioteka od lat pękała w szwach, zaś karta wypożyczania była pusta.

Już w progu poczuła miły jej nozdrzom zapach papieru. Trochę zdezorientowana spoglądała na gromadę płocczan w kolejce do wypożyczalni. Ona tu przyszła w innym celu i nie zamierzała czekać.

– Pani mecenas? Zapraszam, zapraszam. – Usłyszała zza pleców czyjś głos. To do niej?

Faktycznie chodziło o nią; Zuza od razu poznała dawną klientkę. Niestety, nie kojarzyła sprawy. Kto by to spamiętał, tyle się ich przewinięło przez te lata. Sądząc po stroju, kobieta tu pracowała.

– Chce pani coś wypożyczyć? Zapraszam do swojego biura. Chodźmy.

Pociągnęła Zuzę za mankiet płaszcza i poprowadziła ją w głąb sali między regałami uginającymi się pod ciężarem tysięcy wolumenów.

Nieduży pokój, małe biurczko, na nim aparat telefoniczny i stos książek. Wszystkie w jednakowych szarych obwolutach. Poza tym jeszcze dwa krzesła, jedno zajęła Lewandowska, drugie bibliotekarka.

– Może zaparzyć herbaty? Pewnie pani zmarzła, bo dziś na dworze ziąb. Mam bardzo dobrą, earl grey, może się pani skusi?

– Dziękuję, ale się spieszę. Szukam informacji.

– O jaką książkę chodzi? Proszę mówić śmiało. Jeśli jest w wypożyczeniu, to zaklepiemy ją, jak tylko do nas wróci, i dam pani znać.

Zuza wyjęła papierosy, poczęstowała kobietę, ale tamta, widząc na paczce napis „Ekstra Mocne”, energicznie pokręciła głową.

– To dla mnie za mocne. Palę zefiry. – Sięgnęła po torebkę.

– Nie chodzi o książkę. Czy mówi pani coś nazwisko Sałacka? A dokładnie Józefina Sałacka?

– Nie znam takiej, ale zaraz sprawdzę w kartotece. Trudno zapamiętać wszystkich naszych czytelników. – Bibliotekarka podniosła się z krzesła.

– Proszę poczekać, nie chodzi mi o klientkę, ale o pracownicę. Czy ktoś taki tu kiedykolwiek pracował?

– Dobre pytanie. Wydaje mi się, że wiele lat temu to nazwisko obilo mi się o uszy, ale muszę się upewnić. Zaraz przepytam starsze koleżanki. One powinny wiedzieć.

Kobieta wyszła z pokoju, a do Zuzy przyplątało się jakieś kocisko. Szare, pręgowane, pełno takich dachowców kręciło się po Zduńskiej. Dzieciaki celowały do nich z proc, pan Tadzio też kilka razy je popędził, strzelając

solą z dubeltówki. Ona również za nimi nie przepadała. Tyle że im energiczniej odpychała kota od siebie, tym bardziej napierał, mruczając przy tym okropnie.

– Przestań się o mnie ocierać, nienawidzę tego! – ryknęła na zwierzaka, ale on nic sobie z tego nie robił. Dopiero powrót bibliotekarki zakończył te kocie umizgi.

– Uciekaj, Bruno! – krzyknęła.

– Skąd to imię? Czyżby od Schulza?

– Zgadza się. To jest nasz nowy kocurek. Wcześniej mieszkał tu Literat, ale biedaczysko latem zszedł z tego świata. To taka nasza żywa maskotka, a przy okazji wyłapuje myszy. Wracając do sprawy, to pani Mariola pracowała z Sałacką. Miała na imię Józefina, ale kazała na siebie mówić Ewa. Nie wiem czemu. Może dlatego, że krócej?

– Ma pani przypadkiem jej adres z tamtych czasów? Numer telefonu? Jakiś kontakt?

– Ona nie żyje. Znalaziono ją martwą w jej mieszkaniu. Plotkowano, że ktoś ją zabił, ale ponoć popełniła samobójstwo. Była panną, tak że nikogo nie osierociła. Takim to często się w głowie miesza.

Zuza od razu pomyślała o sobie.

– Ciekawa hipoteza – mruknęła cicho. – Wiem, że nie żyje, ale może miała rodzeństwo lub jakąś dalszą rodzinę? Kogoś, od kogo mogłabym się o niej czegoś dowiedzieć? A może pani Mariolka wie coś więcej?

– Nie sądzę. Ponoć Sałacka była odludkiem, nikomu się z niczego nie zwierzała. Kierowniczka kina Przedwiośnie to podobno jej siostra. Może ją niech pani zapyta?

– To już coś. Czy to to rude czupiradło, co czasem wpuszcza na salę?

– Nie wiem, jak wygląda, bo jej nie znam. Mieszkam blisko kina Diana i tam chodzę.

– A podczas seansu czasem nie słychać perkusji?

– Faktycznie, nieraz się zastanawiałam, skąd to dochodzi.

Zuza parsknęła śmiechem.

– To robota proboszcza, mieszka nad kinem. Jak sobie za dużo wypije, to wyżywa się na bębnach.

Schowała papierosy do torebki i wstała. Wychodząc, zatrzymała się jeszcze.

– Mam pytanie – zaczęła niepewnie. – Czy płocczanie wypożyczają biografie? Czy ktoś to w ogóle czyta?

– Oczywiście, pani mecenas. Zapisują się w kolejce. Ostatnio jeden pan żalił się, że nie ma żadnych płockich biografii. Byłoby ciekawie poczytać o naszym mieście, o ludziach tu żyjących.

– Mnie to nie interesuje – warknęła Lewandowska. – Publiczne pranie brudów, obrzydlistwo. Do widzenia.

Zuza stanęła na ulicy i rozejrzała się dyskretnie. Od kiedy stała się właścicielką archiwum sekretarza Wiśniewskiego, często to czyniła. Poza kapralem Oparą skrytym w cieniu pobliskiej kamienicy nikogo mogącego znacząco podnieść jej ciśnienie nie zauważyła. Zapaliła papierosa, spojrzała na zegarek, o tej porze Przedwiośnie było nieczynne. Postanowiła pójść do kancelarii, tym bardziej że spodziewała się niebawem wizyty klienta.

Pokój Kowalskiego był zamknięty. Pewnie współnik szykuje w pocie czoła tę proszoną kolację, pomyślała z drwiną, siadając za biurkiem. Natychmiast przypomniała jej się poprzednia kolacja, ta sprzed kilku lat. Wtedy zaprosił ją do knajpy na stek wołowy. Miało być rewelacyjnie, wyszło jak zawsze, czyli do dupy. Kupa tłuszczu, w dodatku niewysmażonego. Później dopadły ją боли i trzymały blisko dwa dni. Jej wzrok spoczął na portrecie Ambrożego Lewandowskiego, dziś ojciec się do niej uśmiechał. Cholera, czy to możliwe? Może to zwidy wywołane przez nadmiar koniaku? Może trzeba się z tym gdzieś udać? Ale do kogo? Do psychiatry? Tam to strach iść, bo co drugiego ubierają w kaftan, później drukują żółte papiery, a wtedy już po karierze. Przynajmniej ten wałach Mariański by się ucieszył. Nie, nie da mu tej satysfakcji. To będzie jej tajemnica. Przecież nic się nie stanie, jak raz na jakiś czas pogada z Ambrożym. A i wypije za jego zdrowie.

Ktoś zapukał.

Zobaczyła starszego mężczyznę. Elegancki płaszcz, jasny szalik, półbuty świeżące świeżą pastą, nawet kapelusz świetnie dobrany. Z twarzy wydawał się jej znajomy, ale to stanowczo za mało, żeby go zidentyfikować.

– Dzień dobry – bąknął nieśmiało, rozglądając się po kancelarii.

Wskazała mu krzesło.

– Proszę spocząć.

Rozpiął płaszcz, zdjął kapelusz, ukazując burzę gęstych siwych włosów, po czym usiadł.

Zuza wyciągnęła w jego kierunku paczkę ekstra mocnych.

– Dziękuję, ale jeszcze się nie nauczyłem – odparł z uśmiechem.

– Ja już czuję się w tym profesorem – odrzekła. – Czym mogę służyć? Pozwoli pan, że zgadnę?

– Metoda dedukcji jak u Sherlocka Holmesa? To jednak prawda, co mówią o pani.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Zaciekał mnie pan. A co mówią?

– Że działa pani nieszablonowo, że nawet komuniści się z panią liczą, a to często się nie zdarza.

– A nie mówią o mnie, że jestem suka, że co niektórych tak łapię za jaja, że żółtko wypływa? Że piję jak smok po zjedzeniu barana nafaszerowanego siarką i palę jak starodawny parowóz?

Widząc zakłopotanie na twarzy klienta, pojęła, że się zagalopowała.

Ostentacyjnie machnęła ręką.

– Dobra, nieważne, co mówią. Wracając do sprawy, z którą pan do mnie przyszedł, sądzę, że to nie proces o miedzę, a tym bardziej o rosnącą na niej gruszę. Patrząc na pańskie palce, przypuszczam, że praca fizyczna jest panu obca. Czuję od pana zapach oleju maszynowego, którego często używa się do smarowania broni. Według mnie jest pan kolekcjonerem,

któremu ktoś zrobił sporego psikusa, ale jakiego, to już nie wiem. Nie jestem jasnowidzem.

Oczy mężczyzny z wrażenia zrobiły się wielkie niczym spodki od filiżanek.

– Pani jest genialna. Tylko pani może mi pomóc! – krzyknął podekscytowany.

– Proszę mnie nie przeceniać – odparła z szerokim uśmiechem, wyraźnie mile połączona.

– Wiem, co mówię. Nazywam się Rowicki, Stanisław Rowicki, i od lat zbieram białą broń. Tydzień temu miałem włamanie, ktoś mi ukraść bardzo wartościowy sztylet.

– Ale ja nie jestem detektywem. Chyba pomylił pan adres.

– Nie pomyliłem. To jeszcze nie koniec historii. Tym sztyletem zabito mojego znajomego. Pewnie słyszała pani o tym zabójstwie. Napadnięto go tuż przy katedrze, i to w biały dzień.

Trudno, żeby nie słyszała, cały Płock tym żył od tygodnia. Jednak śledztwo utknęło w martwym punkcie.

– Rozumiem i domyślam się też, że milicja jeszcze do pana nie dotarła, inaczej by już pana zapuszkowali, a kapitan Mariański w tym jest wyjątkowo dobry. Zamyka pierwszego lepszego delikwenta, a później dopasowuje do tego dowody i poszlaki. Ten sukinsyn tak działa, i to od lat.

Mężczyzna zbladł jak ściana. Widocznie w tym momencie oczami wyobraźni ujrzał siebie za kratkami. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął grubo wypchaną szarą kopertę. Położył ją na blacie biurka.

Zuza wymownie na nią spojrzała.

– Co to jest?

– Zaliczka na poczet sprawy. Błagam, niech mi pani pomoże. Nie wyobrażam sobie, żebym poszedł do więzienia. Jestem niewinny, to był mój najlepszy przyjaciel.

– Drogi panie, co to ma do rzeczy? – Zuza zaśmiała się ironicznie. – Wie pan, ilu przyjaciół zabija swoich najlepszych przyjaciół?

– Nie mam pojęcia – wydukał mężczyzna zaskoczony pytaniem.

– Ja też nie wiem – mruknęła pod nosem. – Wracając do sprawy. Gdy przyjdzie milicja, proszę nie stawiać oporu, bo to tylko pogorszy sytuację. Proszę też odmówić składania zeznań do czasu mojego przyjścia, a szczególnie uważać na tego sukinsyna kapitana Mariańskiego, to stary wyga i ma swoje sprawdzone ubeckie sposoby na zastraszanie aresztantów. Na to szczególnie uczulam.

– Nie ma mowy, nie wpuszczę ich do domu. Zabarykaduję się. Żywego mnie nie wezmą. Jestem niewinny! – Rowicki raptownie podniósł głos.

Zuza spojrzała na niego z niepokojem. Niepotrzebnie się unosi, takim zachowaniem może tylko pogorszyć swoje położenie.

– Do cholery, czy pan zwariował? Proszę pochopnie nic nie czynić. Kiedy pan zgłosił na milicję kradzież sztyletu? Mam nadzieję, że zaraz po fakcie. Nie chcę usłyszeć innej odpowiedzi.

– No niezupełnie, wahałem się, bo pozyskałem go w niezbyt legalny sposób i bałem się, że widnieje w rejestrze przedmiotów zrabowanych przez hitlerowców. Zrobiłem to po zabójstwie.

– To było co najmniej nieroztropne, a wręcz idiotyczne. W świetle prawa jest pan paserem. Może trzeba było tego już w ogóle nie zgłaszać? Sama już nie wiem. Mam prawdziwy mętlik w głowie.

– To by nic nie dało, bo kilku płockich kolekcjonerów go u mnie widziało. Teraz żałuję, że się nim pochwaliłem.

– I słusznie. Czy ma pan alibi na czas zabójstwa? Czy ktoś widział pana w jakimś miejscu sporo oddalonym od katedry?

– Byłem w domu, od tygodnia jestem na zaległym urlopie.

– Żona to żaden świadek.

– Nie mam żony. Jestem kawalerem.

Kawaler, elegant, szalik różowy, przyjrzała mu się uważniej.

– Czyli jesteśmy w czarnej dupie. Widzi pan, w tym posranym PRL-u wszystko jest postawione na głowie i dlatego musimy udowodnić pańską

niewinność. Inaczej udupią pana, i to w najlepszym razie na dwadzieścia pięć lat bezwzględnej odsiadki.

Mężczyzna zdębiał.

– Co takiego? – spytał drżącym głosem. – Nie ma mowy. Nie pójdę do więzienia. Ja tam nie przeżyję tygodnia.

– Spokojnie, areszt to jeszcze nie paka, tu raczej krzywdy panu nie zrobią. – Starła się go uspokoić. – Gorzej będzie po wyroku, jeśli się nie wybronimy. Dobrze panu radzę, niech pan znajdzie wiarygodnego świadka, który da panu mocne alibi.

– Uważa pani, że powinienem kogoś o to poprosić?

Zuza ostentacyjnie zatkała uszy.

– Ja tego nie słyszałam. Zakładam tylko, że być może jest ktoś, kto pana widział, może rozmawiał z panem przez telefon. Niech pan sobie przypomni.

– Cały czas byłem w domu.

– Sam?

Mężczyzna zaczerwienił się i nerwowo poprawił się na krześle.

A jednak nie był sam. Dlaczego to ukrywał? Mogły być tylko dwa wyjaśnienia. To była kobieta i zapewne mężatka lub... inny mężczyzna. Zuza stawiała na drugą opcję. Wtedy i kolor szaliczka dużo tłumaczył.

– W razie gdyby milicja do pana dotarła, bo nie wykluczam, że ten bęcwał Mariański nie powiąże sprawy skradzionego sztyletu z zabójstwem, musi pan ujawnić osobę, z którą pan przebywał. Inaczej będą spore problemy.

– Nie ma mowy! – Rowicki zerwał się z krzesła. – Byłem sam i kropka!

– Czemu pan kłamie? Chce pan, żebym go reprezentowała, a nie mówi mi całej prawdy. To może odbić się negatywnie na naszej współpracy.

– Bo jej nie będzie!

Mężczyzna chwycił z biurka kopertę, którą wcześniej tam położył, wcisnął kapelusz na głowę i wybiegł z pokoju. Zuza była oszołomiona

sytuacją. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewała. Zachowanie Rowickiego było co najmniej dziwne. Trudno, musi sobie radzić sam albo pójść do kogoś innego. Z szuflady wyjęła piersiówkę i kieliszek. Nalała i od razu wypić. Spojrzała na portret ojca. On też był zdziwiony zaistniałą sytuacją. Wyraźnie widziała, że uniósł lewą brew. Cholera, to niemożliwe, to przecież jakieś przywidzenie. Ponownie odkręciła butelkę i ją powąchała. Może ktoś jej czegoś tu dodał, jakiś narkotyk czy coś? Ponoć służby mają takie wynalazki, po których ludzie kończą u czubków. Pewnie chcą przejąć kartotekę Wiśniewskiego.

Znów spojrzała na Ambrożego, chyba puścił do niej oko. Nie, to już jakiś obłąd. Chwyciła płaszcz z wieszaka i poszła do wyjścia. Świeże, chłodne powietrze dobrze jej zrobi, ostudzi głowę, to i zwidy przejdą.

– Pamiętaj o piątkowej kolacji! – dobiegło z pokoju wspólnika.

Nawet nie zauważyła, kiedy przyszedł.

– Spokojnie, takiej imprezy nie przepuszczę – odparła z drwiną w głosie, po czym pośpiesznie opuściła kancelarię.

Na dworze padało, drobny kapuśniaczek. Rozłożyła parasolkę, ostatni krzyk mody, najnowszy nabytek z pewexu. Japońska, miniaturowa, z łatwością mieszcząca się w torebce, za jednym szarpnięciem rozkładała się nad głową wielka kolorowa czasza.

Zuza skierowała się w stronę kina Przedwiośnie, właśnie przed kwadransem otworzono kasy. Weszła do holu, o dziwo, było pusto, ale kiedy rzuciła okiem na repertuar, wszystko stało się jasne. Film radziecki, nikt przy zdrowych zmysłach nie tracił pieniędzy na oglądanie kolejnej epopei ukazującej bohaterskich krasnoarmiejców wiozących na czołgach na zachód Europy kaganek oświaty, i to aż do samego Berlina.

Kierowniczką kręciła się przy kasach. Zuza od razu ją poznała po rudych kudłach. Czemu się to czupiradło nie przefarbuję? W tym kolorze paskudnie wygląda. W innym byłoby jej pewnie lepiej, przemknęło jej przez głowę.

– Przepraszam, czy pani jest siostrą pani Sałackiej? – zaczepiła ją.

Tamta, wyraźnie zaskoczona, zmierzyła Zużę zaciekawionym spojrzeniem.

– Siostra nie żyje, i to od dawna. Czemu pani o nią pyta?

– Nazywam się Lewandowska, jestem adwokatem. Mam kancelarię naprzeciwko, po drugiej stronie Tumskiej.

– Poznaję panią. Czego może chcieć ode mnie prawnik, i to po tylu latach? Chyba nie chodzi o jakiś testament? O ile wiem, Józka nic nie zostawiła, zresztą nic nie miała. Nawet własnego kąta, bo mieszkała na stacji.

– Ponoć pani siostra popełniła samobójstwo. Pani też tak uważa?

– Pani mecenas, to szmat czasu. Sama nie wiem, co uważam. Na pewno mnie to zaskoczyło. Józka kochała życie i nagle zupełnie niespodziewanie wszystko przekreśliła, zakończyła. Widziałyśmy się dzień przed jej śmiercią i nic nie wskazywało na to, że targają ją myśli samobójcze.

– Wiem, że nie założyła rodziny, ale może się z kimś spotykała?

– Miała narzeczonego, ale zerwali ze sobą na miesiąc przed jej śmiercią, później ponoć spotykała się z kimś, ale się z tym kryła. Podejrzewaliśmy z mężem, że to może jakiś żonaty mężczyzna, no bo tylko to przyszło nam do głowy. To by też tłumaczyło jej śmierć, nieszczęśliwa miłość.

– W sumie logiczne – przyznała Zuza. – Czy poda mi pani jej ostatni adres i, jeśli pani zna, jakiś kontakt do jej narzeczonego. Chciałabym z nim zamienić kilka słów.

Kierowniczką kina wciąż patrzyła na Lewandowską, jakby ta zjawiała się z kosmosu.

– Ale o co konkretnie chodzi? Czemu rozgrzebuje pani tę sprawę? Czy wie pani o niej coś więcej? Proszę mi powiedzieć. W końcu to była moja siostra.

– Jak na razie nie mogę niczego zdradzić, ale nie ukrywam, że coś wypłynęło. Być może pani siostra odeszła z tego świata wbrew swojej woli, po prostu zamordowano ją i upozorowano samobójstwo, ale na razie to tylko luźna hipoteza.

– Myśli pani, że znajdzie jej ewentualnego zabójcę? Po tylu latach? Wtedy milicja wykluczyła udział osób trzecich. Mieszkanie było zamknięte od środka. Zabójca musiałby wyjść przez komin niczym Święty Mikołaj. To jakiś absurd.

– Może i tak było. Ja wciąż wierzę w Świętego Mikołaja – odparła Zuza, uśmiechając się zagadkowo.

– Proszę nie żartować. Dużo słyszałam o pani i wiem, że byle czym się pani nie zajmuje. Skoro fatyguje się pani do mnie i zadaje mi tyle dziwnych pytań, to znaczy, że wie pani coś sensacyjnego na temat śmierci Józki. Proszę mi powiedzieć, będę milczeć jak grób, obiecuję.

– To tylko domysły, przeczucia, niestety, nie wiem nic konkretnego – mruknęła wymijająco pod nosem. Sięgnęła do torebki po notes i długopis. – Prosiłabym o adres tej stacji i namiary na kochasia – dodała głośniejszym głosem, po czym spojrzała wyczekująco na swoją rozmówczynię.

– Wynajmowała pokój na piętrze w domku przy ulicy Jachowicza. To taka charakterystyczna drewniana stara willa, blisko szkoły, tylko nie szóstki, ale tej naprzeciwno. A były narzeczony nazywa się Maliszewski, nawet pamiętam jego imię, Kamil. Taki wielki drań, a ona mała, aż nie pasowali do siebie. On chyba wciąż mieszka na Cholerce przy Miłej, bo kilka razy go tam widziałam. Numeru nie pamiętam, ale ulica nieduża, to pewnie sąsiedzi go znają – wyrzuciła z siebie tak szybko, że Zuza ledwie zdążyła zanotować.

– Dziękuję, przynajmniej mam od czego zacząć.

Schowała notes do torebki i ruszyła do wyjścia.

– Może chce pani w prezencie bilet na najbliższy seans? – krzyknęła za nią kierowniczka.

Zuza wymownie zerknęła na afisze rozlepione w holu, na reklamy bolszewickiego badziewia.

– Chyba to zły pomysł – odparła z niesmakiem, kręcąc głową.

Wyszła na Tumską, znów padało, przed Teatralną zobaczyła kilku obwiesiów i Piosika; stał oparty o mur i gestykułował energicznie. Pewnie

jak zwykle kogoś nakręcał na jakiś trefny towar. Oj, znów będzie mieć kłopoty, a ona będzie musiała go z nich wyciągać. Zobaczył ją i od razu do niej podbiegł.

– Witam panią mecenas, może czegoś potrzeba? Dziś mam piecyki elektryczne, naprawdę tanio. Jak dla pani to puszcze taki za pół ceny.

– Piosik, do kurwy nędzy, ja tego nie chcę nawet za darmo. Spadaj stąd. Zupełnie cię popierdoliło, żeby ludzi zaczepiać na samej Tumskiej? Wiesz, ilu tu się kręci tajniaków? Patrz! – Wskazała palcem mężczyznę wychodzącego z delikatesów. – To stary ormowiec. Jak zobaczy to, co ja, to zaraz tu przyjdzie, machnie legitymacją i cię spisze.

– To mu wpierdole, skopię po jajach, nie cierpię tych gnojów! – Z emocji podniósł głos.

– Piosik! – Pogroziła mu palcem. – Jak mu wpierdolisz, to będziesz mieć takie same kłopoty, jakbyś stłukł milicjanta. Wyrok bez zawiasów, najpewniej w zakładzie o podwyższonym rygorze. Chyba wiesz, co to znaczy? Że będziesz miał przesrane, i to do kwadratu. Warto ci ryzykować? Lepiej odpuść i te farelki.

– Ba, trzeba z czegoś żyć, ale na tego chuja to będę uważać. A co się dzieje z tym pani kumplem, tym milicjantem?

– Nowakiem? A co, stęskniłeś się za nim?

– Pytam, bo go coś nie widuję. Nic do niego nie mam, mimo że milicjant.

– Pojechał do sanatorium, ale niebawem wraca. Powiem mu, że o niego pytałeś, może się ucieszy – zadrwiła.

– Ma pani szlugów pożyczyć? Skończyły mi się, a kasiory jeszcze nie wykombinowałem, bo piecyków ludzie kupować nie chcą. Oddam.

– Tak jak zawsze? – Zaśmiała się, po czym z torebki wyjęła paczkę ekstra mocnych.

Piosik, widząc je, skrzywił się wyraźnie niezadowolony.

– Tylko takie pani ma? Wolałbym inne. Te są kurewsko mocne i łapie mnie po nich kaszel, jakbym był gruźlikiem.

– Nie no, Piosik! Może mam jeszcze mieć specjalnie dla ciebie marlboro? Już ci się w dupie poprzewracało. Jak nie, to nie.

Schowała papierosy z powrotem do torebki, minęła go i poszła w stronę Zduńskiej.

– Pani poczeka! – krzyknął za nią, ale zamiast się zatrzymać, jeszcze przyspieszyła kroku.

Na Grodzkiej przystanąła koło księgarni. Ekspozowano na jej wystawie grube wolumeny oprawione w czerwone płótno, na którym złotymi literami wytłoczono: „Biografia Władimira Iljicza Lenina”. Wyobraziła sobie tu swoje nazwisko.

– Nie no, kurwa mać, jeszcze na głowę nie upadłam – mruknęła pod nosem i poszła dalej.

W kamienicy panował półmrok, znów jakiś sukinsyn ukradł żarówkę. Chyba następną gównem trzeba wysmarować, to może dadzą spokój. Po omacku ruszyła na drugie piętro. Na pierwszym nakryła Tomaszka, syna jej sublokatorów, jak palił papierosa.

– Patrzcie, patrzcie, jaki dorosły! Myślisz, że jak zapalisz, to ci lat przybędzie? – ryknęła na niego. Chwyciła go za klapy kurtki i przybliżyła głowę do jego twarzy.

– Zaraz się przekonamy, jaki jesteś dorosły – wycedziła przez zaciśnięte zęby, marszcząc groźnie brwi, po czym wyjęła z torebki ekstra mocne. – No to zakurz jak prawdziwy mężczyzna.

Był wystraszony, i dobrze. Zaraz odechce mu się sięgania po papierosy. To nie jest wiek na tak ekstremalne dla płuc hobby.

– No, bierz! – rozkazała.

Wyjął jednego; Zuza widziała, że mu ze strachu drżą ręce, i z trudem hamowała ogarniającą ją wesołość.

Przypaliła mu.

– No, zaciągnij się, i to tak fest.

Nawet w półmroku zobaczyła, jak w jednym momencie wybałuszył oczy, a zaraz potem zaniósł się niepohamowanym kaszlem. Odczekała, aż mu

przejdzie.

– No to jeszcze raz. Tylko porządnie, jak prawdziwy mężczyzna, a nie jakaś ciota.

Znów zaniósł się kaszlem, w pewnej chwili nawet pomyślała, że ciut przesadziła.

– Smakuje? – drwiła sobie.

– Proszę pani ja już nie mogę – wydukał.

– Jak nie możesz? – udała zdziwienie. – Ja wypalam z dwie paczki dziennie, a ty, mężczyzna, wymiękasz przy pierwszym papierosie? Nie ma mowy. Zaciągnij się znowu, tylko nie oszukuj.

Za bardzo się jej bał, żeby odmówić. I znów złapał go kaszel, a po nim torsje. Zuza natychmiast się od niego odsunęła, żeby przypadkiem nie ubrudził jej płaszcz. Wiedziała jedno: po takim treningu pewnie nieprędko sięgnie po papierosa.

– Na dziś wystarczy, do następnego razu – rzekła, omijając go szerokim łukiem.

Na jej widok Zgaga rozkrzyczała się na całe mieszkanie:

– Marrriański tooo chuuuj! Marrriański tooo chuuuj!

To było coś nowego i spodobało się Zuzie.

– Zgadza się, ale kto cię tego nauczył? – spytała ze zdziwieniem.

Pewnie Nowak, pomyślała.

To było zrozumiałe, choćby za wysłanie go na ulicę z pałką w dłoni. Szczyt chamstwa, tym bardziej że sierżant chorował na gruźlicę.

Zadzwoił telefon. W słuchawce usłyszała obcy jej męski głos.

– Dodzwoniłem się do pani Lewandowskiej?

– Zgadza się. Kto mówi, bo nie poznaję?

– Nie zna mnie pani. Mam informacje dotyczące śmierci bibliotekarki. Ponoć ta sprawa panią interesuje.

– Owszem, nawet bardzo. Jakie to informacje?

– Spotkajmy się. Nie chcę mówić przez telefon, bo może być na podsłuchu. Dziś o godzinie dwudziestej na Parowie, przy pani domku.

Połączenie zostało przerwane.

Chwilę jeszcze trzymała słuchawkę w ręku, zastanawiając się, skąd ten ktoś znał jej numer. Po pierwsze był zastrzeżony, a po drugie niedawno znów go zmieniła. Czyniła to często, bo co i raz była nękana głuchymi telefonami. Spojrzała na zegarek, jeszcze ma sporo czasu, zdąży sobie upitrasić jajecznicę. Znudziło jej się barowe żarcie i coraz częściej nachodziła ją myśl, żeby zmienić miejsce stołowania się z baru mlecznego na coś bardziej wykwintnego, jak choćby na restaurację, na przykład Staromiejską. Kowalski polecał jej Petropol, ale nie miała za grosz zaufania do tamtejszego szefa kuchni.

Wyjęła z szafki patelnię i zaczęła rozbijać jajka. Przy trzecim przerwała, bo ktoś usilnie dobijał się do drzwi.

W progu ujrzała... sublokatorkę. Do tej pory nie zamieniły słowa między sobą, a teraz tamta stała tu w całej krasie. Prostacka twarz wykrzywiona w grymasie gniewu, brakowało tylko piany sączącej się z ust.

– Pani, że pani jest jakiś inteligent, to nie znaczy, że może psuć mojego Tomusia. Kto to słyszał, żeby dzieci zmuszać do papierochów, a na dodatek cudze. Sama nie ma bachorów, bo pewnie się do tego nie nadaje, pijaczka jedna. Kto to słyszał, żeby kobita chlała jak chłop?

Zuza nie zamierzała sobie niepotrzebnie strzępić języka i dyskutować z patologią, to inny poziom. Użyła tylko dwóch słów:

– Spadaj, zdziro!

Chwyła drzwi i trzasnęła nimi tuż przed jej nosem tak silnie, że tynk się posypał znad futryny, po czym wróciła do rozbijania jajek. Stłukła już sześć, kiedy zorientowała się, że to sporo za dużo. Wszystko z nerwów. Nie szkodzi, Borys, na pewno się nie obrazi, że zamiast kaszy dostanie jajecznicę na boczku.

Za kwadrans dwudziesta zaparkowała swojego wysłużonego fiata na Parowie. Wsiadła z auta. Ulica tonęła w półmroku, próżno było szukać jakiegoś przechodnia. Wszędzie gęste chaszczki i światła nielicznych rozproszonych domów. Poczowała niemły dreszcz w kręgosłupie. Nie żeby się bała, ale miała za dużo ponurych wspomnień związanych z tym miejscem. Wychodząc z domu, wzięła ze sobą nóż kuchenny, tak na wszelki wypadek. Kiedyś w takich sytuacjach brała rewolwer, ale przez stan wojenny jej giwera została zarekwirowana przez komuchów. Pewnie się obawiali, że po pijaku pójdzie do komitetu i wystrzela całą tę czerwoną hołotę. Stała teraz na chodniku i nie bardzo wiedziała, co czynić dalej. Nie zamierzała po ciemku zapuszczać się w ścieżkę prowadzącą do domku, który wiele lat temu odziedziczyła po wujostwie. Nagle usłyszała trzask łamanych gałązek. Spojrzała w tamtym kierunku. Na chodniku stał wysoki mężczyzna w długim skórzanym płaszczu. Takie nosili gestapowcy w serialu o kapitanie Klossie. Na głowie miał tyrolski kapelusz. Gdyby nie okoliczności i upiorna sceneria, pewnie parsknęłaby śmiechem. Teraz jednak nie było jej do śmiechu. Wtem od strony Winiar nadjechał jakiś

samochód i wtedy Zuza zobaczyła wyraźnie owego mężczyznę. W dłoni trzymał pistolet. Od razu poznała, że to tetetka. Nie przyszedł tu, żeby przekazać jej informacje w sprawie bibliotekarki, on chciał ją zabić. Reflektory na moment oślepiły nieznajomego i ona to wykorzystała. Błyskawicznie rzuciła się w stronę zarośli, a znała ten teren jak mało kto, wszak spędziła tu kawał dzieciństwa. Natychmiast odnalazła ścieżkę prowadzącą do jej domku i nią pobiegła. Zarosła przez ostatnie lata; Zuza, biegnąc, czuła, jak gałęzie ranią jej twarz, ale na to zbyt nie zważała. W tym momencie liczyło się tylko jedno – ratowanie własnej skóry. Słyszała odgłosy wystrzałów, świst kul koło głowy. Wiedziała, że tamten biegnie za nią, i za wszelką cenę musiała go zgubić. Dotarła do domku, ale zamiast schować się wewnątrz, przycupnęła za studnią i zamarła w bezruchu. Po chwili zjawił się i on. Słyszała jego kroki, zatrzymał się. Czuła własny przyspieszony oddech i bicie serca. Jeszcze chwila, a wyskoczy jej z piersi. Nieznajomy podszedł do drzwi i zaczął nimi szarpać. Po chwili zrezygnował, pewnie zauważył na nich skobel i kłódkę. Oddalił się, najwyraźniej obchodził dom, sprawdzał okna. Słyszała trzask łamanych gałęzi, aż nagle wszystko ucichło. Odszedł czy się zaczął? Myśl ta nie dawała jej spokoju. Czas włócił się niemiłosiernie, wokoło panowała cisza. Jedynie gdzieś w oddali słyhać było pohukiwanie puszczyka i przeraźliwe głosy wyjących do księżyca psów. Zuza uspokajała się powoli. Od czasu kiedy na Maszewie wygarnięto do niej z pepeszy, nigdy się tak nie bała. Prawdziwy pocałunek śmierci, a uratował ją przypadkowo przejeżdżający samochód i refleks. Czemu ktoś nastaje na jej życie? Komu aż tak przeszkadza? Czy faktycznie chodzi o sprawę bibliotekarki Sałackiej? Przecież tak naprawdę nawet się nad nią jeszcze nie pochyliła, nie wie, czy warta jest jej uwagi. Jediną osobą, z którą ostatnio zadarła, był pułkownik Januszek. Czyżby poczuł się aż tak zagrożony? Koniecznie musi go przyszpilić i to jest...

Pogrążona w rozmyślaniach, wciąż tkwiła skulona za studnią i nie było siły, która by ją stamtąd ruszyła. Zabójca zapewne na nią czatował, czekał na jakikolwiek sygnał, podpowiedź, gdzie się schowała.

Tak dotrwała do świtu, przemarznięta na kość i przemoczona, bo tuż po północy zaczął siąpić kapuśniaczek. W końcu musiała wykonać jakiś ruch. Wyprostowała się powoli i z trudem. Tak jak przypuszczała, po mężczyźnie nie było śladu. Obeszła dom, sprawdziła, czy nie doszło do włamania. Wszystko było w należyтым porządku, choć sam budynek z wolna podupadał. Od kilku lat starała się go sprzedać, ale ponura przeszłość tego miejsca skutecznie odstraszała potencjalnych kupców. Ostrożnie, rozglądając się na boki, poszła w stronę ulicy. Samochód stał tak, jak go pozostawiła. Otworzyła go, wsiadła i szybko zamknęła się od środka. Spojrzała w lusterko i przestraszyła się własnego odbicia. Twarz nieludzko ubłocona, a na dodatek pokryta drobnymi rankami i zaschniętymi strużkami krwi. Najważniejsze, że wciąż żyła i teraz chciała być jak najdalej od tego miejsca. Włożyła kluczyk do stacyjki i go przekręciła. Silnik zamruczał przyjemnie dla ucha, wrzuciła bieg i pojechała w stronę domu.

Na klatce schodowej spotkała pana Tadzia. Przeraził się jej wyglądem.

– O mój Boże, pani Zuzo, co się stało?! – wykrzyknął. – Miała pani wypadek?

– Trudno to sklasyfikować jako wypadek, ktoś chciał mnie ukatrupić. Miałam sporo szczęścia, że mnie pan tu widzi.

– O cholera, może trzeba odpuścić pewnym typom? Wtedy i oni pofolgują.

– Wierzy pan w to? Tacy nie dają za wygraną. Będą mnie prześladować, i to aż do skutku.

Mężczyzna nachylił się do jej ucha.

– Czy to ma związek z tym, co przechowuję? – szepnął.

– Częściowo tak. Jeśli się pan boi, to zabiorę to od pana. Nie ma sprawy. Poszukam innej kryjówki.

– Ależ gdzie tam! – obruszył się. – U mnie jak w banku. Nawet żona o tym nic nie wie. Proszę tylko na siebie uważać, bo zadarła pani z bardzo złymi ludźmi.

Spojrzała na niego czujnie. Pan Tadzio był zawsze dobrze poinformowany i nigdy nie lekceważyła jego rad.

– Czy wie pan coś więcej? Może ktoś się wygadał podczas polowania?

– Pułkownik Januszek wciąż wypytuje o panią. Jest jakiś taki podenerwowany. Znam go od lat, niejednego dzika razem ukatrupiliśmy, niejedną flaszkę wypiliśmy, ale w takim stanie wkurwienia jeszcze go nie widziałem. Musiała mu pani wejść na stopę, i to w podkutym bucie. To niebezpieczny człowiek i ma mnóstwo szemranych kontaktów. Jeśli w tych pani teczkach są też haki na niego, to spróbuje je za wszelką cenę zniszczyć, choćby idąc po trupach, a w dzisiejszych czasach to i za pół litra znajdzie obwiesia gotowego wbić pani nóż w plecy. Proszę o tym wciąż pamiętać i mieć oczy nawet z tyłu.

Jego słowa tylko potwierdziły przypuszczenia Zuzy i jednocześnie utwierdziły ją w tym, że idzie dobrą drogą, że sprawa śmierci bibliotekarki śmierdzi, i to na odległość.

W domu zastała Geńkę, akurat zaczynała sprzątanie, właśnie wyjmowała odkurzacz z pawlacza. Ona też przeraziła się jej wyglądem. Nie spytała jednak o okoliczności powstania zadrapań. Nauczona doświadczeniem, wiedziała, że za swoją ciekawość może zostać zganiona.

– Zaraz przyniosę z łazienki wodę utlenioną i przemyję rany. Inaczej łatwo o zakażenie.

Wróciła po chwili, również z gazą i plastrami. Zuza w tym czasie rzuciła przemoczone ubranie i włożyła suche. Sprzątaczką chciała ją opatrzyć, ale Lewandowska wyrwała jej wszystko z ręki.

– Sama to zrobię – warknęła i usiadła przed lustrem. Po zmyciu z twarzy błota i zaschniętej krwi okazało się, że na szczęście rany są tylko powierzchowne i nie tak liczne, jak się jej wcześniej wydawało. Wystarczyło przykleić kilka plastrów z opatrunkami. Na wszelki wypadek wypila dwie lampki koniaku, tym samym dodatkowo odkażając się od wewnątrz.

Zadzzwonił Nowak. Dawno się tak nie ucieszyła z telefonu od niego jak dziś.

– Jesteś już w Płocku? Świetnie! Pokaż się u mnie, potrzebuję cię, bo znów mam kłopoty.

– Nic nowego. W co się tym razem wpakowałaś? Pewnie znów wdepnęłaś w niezłe gówno. – Usłyszała jego zatroskany głos.

– To kontynuacja starej sprawy. Januszek zaczął polowanie na mnie, ale jak na razie spudłował.

– Jak mam to rozumieć?

Durne pytanie, no tak, milicjant, pomyślała.

– Nasłał na mnie jakiegoś zbira, który strzelał do mnie jak do kaczki, ledwo uszłam z życiem.

– Jezus Maria! – Usłyszała Geńkę.

Spojrzała na nią zdumiona.

– Czy mnie słuch nie myli? Co to za słowa w ustach zatwardziałej komunistki? Prawdziwy koniec świata, nadchodzi Armagedon. Od kiedy wierzysz w Jezusa i Marię? – zakpiła.

Sprzątaczką wzruszyła ramionami.

– Nie wierzę, tak się tylko mówi. Wszędzie to słyszę.

– Mówi, mówi – mruknęła Zuza ze złością.

– Co się dzieje? Jesteś tam?! – krzyknął Nowak.

– Co się drzesz?! A gdzie mam, kurwa, być? Jeszcze mnie ten sukinsyn nie dorwał. Przyjedź tu szybko. Może mi doradzisz, co zrobić, chyba pamiętasz, że mi spluwę komuchy skonfiskowały. Co, mam widły ze sobą wozić?

– Najpierw muszę się rozpakować. Zajrzę do ciebie po południu.

– To kupa czasu. Do popołudnia mogę nie dożyć, ale zgoda. Będę w kancelarii.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Jej wzrok spoczął na sprzątaczkę akurat ścierającej kurz z regału.

– Genia, jakby ktoś kazał ci napisać pamiętnik, to co byś w nim opisała?

Tamta odłożyła ścierkę. Spojrzała pytająco na Zużę, najwyraźniej nie zrozumiała pytania.

– Co ty, głucha? Gdyby ci kazano spisać swoje życie, to o czym byś napisała? – powtórzyła.

– Bo ja wiem. – Sprzątaczką wzruszyła ramionami. – O sobie to nie ma co. Chyba o tacie, o tym, jak zabierał majątki kapitalistom i rozdawał proletariatowi. To był wielki człowiek.

– Zapewne. – Zuza pokiwała głową z politowaniem. Stalinowski aparatczyk, tak ludziom załaził za skórę, że w końcu ktoś się na niego zaczął, kiedy wracał do domu, i go zastrzelił. Jak opowiadał patolog Ludwicki, w brzuchu denata znaleźli sześć pocisków. Najwyraźniej zamachowiec bardzo go nie lubił.

Kiedy zadzwonił telefon, pułkownik Januszek dłubał sobie w zębach widokówką. Cisnął ją ze złością i sięgnął po słuchawkę.

– Czego? Jestem zajęty!

– To ja. Suka mi się wymknęła. Już ją miałem jak na widelcu i wtedy nadjechał jakiś samochód. Kapnęła się, w czym rzecz, i wskoczyła w krzaki. Było ciemno i zgubiłem ją.

– Starzejesz się, kiedyś byś tak łatwo dupy nie dał. Wstrzymaj się kilka dni, uspij jej czujność. Trzeba to zrobić bardzo dyskretnie, tak żeby nie było niepotrzebnych pytań. Pamiętaj, drugi raz tego nie spierdol.

– Teraz mi na pewno nie umknie. Przyniosę ci jej głowę.

– Oby.

Januszek trzasnął słuchawką o widelki i wrócił do dłubania w zębach.

Zuza wyszła z domu i udała się na ulicę Jachowicza. Postanowiła zobaczyć dom, a być może, jeśli się uda, to i samą stancję, w której mieszkała

bibliotekarka. Warto było też zasięgnąć języka, możliwe, że ktoś ją jeszcze pamiętał. Idąc chodnikiem, co i raz rozglądała się nerwowo, jednak poza kilkoma miejscowymi żułami nikogo podejrzanego nie zauważyła. Powoli się uspokajała, przecież bandyta nie będzie szalony i nie napadnie jej w biały dzień, i to w środku miasta. W sklepie PSS „Zgoda” zaopatrzyła się w świeże bułki, akurat była dostawa, a na pocztę nadała list do Ameryki, do Sary, którą jej rodzice przechowali przez wojnę w skrytce za szafą. Niestety, ostatnie informacje napływające zza oceanu były bardzo niepokojące. Sara bardzo podupadła na zdrowiu, miała problemy z sercem, niewykluczone, że przyczyniła się do tego tęsknota za ojczyzną, z której bezceremonialnie wygonił ją reżim Gomułki.

Wychodząc z urzędu, Zuza kątem oka zobaczyła Bielskiego, prezesa spółdzielni „Kacze Pióro”. Skłonił jej się szarmancko, ona zaś udała, że go nie widzi. Niech się sukinsyn nie łudzi, że przystanie na jego propozycję. Mijając Petropol, natknęła się na Justynę. Ubrana w jasny kozuszek, na nogach piękne kozaki, widać zarabianie dupą przynosiło jej spore profity. Może zamiast prawnikiem trzeba było zostać prostytutką? – przemknęło Lewandowskiej przez głowę. Tamta od razu ją zaczepiła.

– Pani mecenas, i co z Pomponikiem? Znaleźli ją?

– Według mnie tak, a według milicji nie, a kto ma rację, to sobie sama odpowiedz.

– Czyli znaleźli. A kto ją zabił?

– Tego już nie wiem. Na pewno wiedział to Bohdan Wierzbicki, ale on nie żyje.

– Szkoda jej.

– No cóż, zgubiła ją pazerność. Wyciągnij z tego odpowiednie wnioski i uważaj na siebie.

Willę przy Jachowicza odnalazła bez trudu. Zatrzymała się przed wejściem i patrzyła na dom. Kiedyś pewnie był piękny, ale teraz wyraźnie podupadł. Drewno szerniało z braku należytej konserwacji, z ram okiennych powypadał kit i szyby ledwo się w nich trzymały. Drzwi wejściowe, tak jak i ciężkie drewniane okiennice, nie pamiętały farby. Zuza

z niepokojem przyglądała się zdewastowanym balkonom, nie miałyby odwagi wejść na którykolwiek z nich, za bardzo ceniła własne życie. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko.

– Kogo pani szuka?

Gruba starsza kobieta z dwiema siatkami pełnymi zakupów zatrzymała się przy niej, ciężko sapiąc.

– Pani tu mieszka?

– Owszem, i to całe życie. A pani to kto? – Zmierzyła ją nieprzyjaznym wzrokiem, znacząco spoglądając na papierosa. Kobieta z papierosem to kobieta zepsuta do szpiku kości.

– Mecenas Zuzanna Lewandowska.

– O co chodzi?

– Szukam informacji o pewnej kobiecie, mieszkała tu.

– Wiele osób tu mieszkało. Sama ich nie zliczę. Sąsiadka wynajmowała stancję, a że blisko stąd do dworca autobusowego, no to amatorów było na pęczki. Byli panowie i panie. A co się tam nieraz działo, to głowa mała. Jeden nawet się powiesił. Dobrze go pamiętam, taki cichy, grzeczny, pierwszy powiedział dzień dobry. Szkoda go. Pewnie to przez nieszczęśliwą miłość, ach, ci młodzi.

– A Józefina Sałacka? Mówi coś pani jej nazwisko?

Nieznajoma zamyśliła się, szukała w zakamarkach umysłu. Po chwili pokręciła głową.

– Nie przypominam sobie, wie pani, do nazwisk to ja nie mam pamięci.

– Była bibliotekarką. Popelniła samobójstwo.

– A, o nią chodzi! Jasne, świetnie ją pamiętam, choć to już kupę czasu minęło. Była bardzo uczynna. Kiedyś zmogła mnie choroba, to ona przyniosła mi z biblioteki całą stertę romansów. Wszystkie przeczytałam, i to od deski do deski. Znaleźli ją w wannie, całą we krwi, ponoć żyłką podcięła sobie żyły.

– Ponoć? Nie wierzy pani w samobójstwo?

– A gdzie tam! Dzień wcześniej z nią rozmawiałam, była pełna energii, opowiadała mi o planach na przyszłość. Ktoś ją zabił. Mówili, że były narzeczony. Rzuciła go, bo pewnie hultaj. Przychodził tu i chciał się z nią zobaczyć. Ona go nie wpuszczała, to się wtedy odgrażał, słyszałam na własne uszy.

– Zeznała to pani milicji?

– Owszem, spisali i na tym koniec. Ponoć go nawet nie przesłuchali, bo pracował w komitecie, a może jego ojciec tam pracował? Takich to, wie pani, nie ruszy nikt.

– A może faktycznie odebrała sobie życie?

– Proszę pani, ja wiem, co mówię. Wtedy w tym mieszkaniu bojler był uszkodzony, myśli pani, że wlaźłaby do lodowatej wody, że sobie odebrać życie? Ja w każdym razie bym nie weszła, nie ma mowy. – Kobieta aż się wzdrygnęła.

Faktycznie, ta uwaga miała sens.

– A nikt inny jej nie odwiedzał? Rodzina, znajomi?

– Raczej nie, ale przecież jej nie śledziłam. Nikt inny mi w pamięci nie utkwiał. Proszę pani, to już... zaraz policzę. – Zamyśliła się na moment. – Pamiętam, że była komunista chrześnica, teraz dziewczyna ma dwadzieścia dziewięć lat, czyli dwadzieścia minęło.

– A kto zabrał jej rzeczy? Może to pani pamięta?

– A wie pani co? To wiem, a to dlatego, że jak chodzę na strych wieszać bieliznę, to wciąż zawadzam o pudło z jej gratami. Nikt się po to nie zgłosił, a sąsiadka bała się to wyrzucić. Doradziłam jej, żeby wynieść wszystko na górę, a teraz klnę tę dobrą radę.

– Jeszcze to trzymacie?

– Głupio tak wywalić, bo od razu przypomina się ta biedaczka. W końcu poproszę syna, to coś z tym zrobi, inaczej wyląduję w gipsie.

– A czy mogę rzucić okiem na te rzeczy?

– A po co? – Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła. Od nowa zaczęła przyglądać się Zuzie uważnie. – Czemu się pani nią interesuje? Czyżby

miała wujka w Ameryce i teraz biedaczek wyzionął ducha? Tak było zeszłego lata. Do mojej szwagierki zgłosił się adwokat i oznajmił jej, że dziedziczny spadek po kuzynie, co mieszkał w Ameryce. Ona wcześniej nawet o nim nie słyszała, a w jeden dzień stała się bogata, kupiła sobie dużego fiata i wpłaciła do spółdzielni na mieszkanie.

– Nic o tym nie wiem, ale możliwe, że uda mi się wyjaśnić okoliczności jej śmierci. Może znajdę jej zabójcę i wsadzę go do ciupy.

– Na stryczek z nim, pani kochana. Chodźmy na górę, jeśli to pani w czymś pomoże, to niech pani grzebie w jej rzeczach. I tak są do wywalenia.

Ruszyła przodem, a Zuza podążała za nią krok w krok. Dom w środku wyglądał lepiej niż z zewnątrz, choć podłogi trzeszczały pod ich nogami, a stopnice ugiwały się niebezpiecznie.

Po Józefinie Sałackiej zostały dwie tekturowe walizki i spory karton. W tych pierwszych były ubrania, obrzydliwie cuchnące pleśnią. Zuza sprawdziła zawartość kieszeni, ale nic nie znalazła. W pudle zaś były jakieś papiery, kwity, klaser na znaczki, ale pusty, i kilka książek, romanse, taka typowa babska lektura.

– No i co? Znalazła coś pani? – dopytywała się kobieta.

– Niestety nie. Czy ktoś już tu szperał przede mną?

– Faktycznie, tak było, ale to tuż po jej śmierci. Ktoś splądrował jej pokój, nawet zdjęcia powyrzucał z ramek. Jakby czegoś usilnie szukał.

– Zdjęcia? – Zuza się zainteresowała. – Nie widziałam tu żadnych.

Była ciekawa wyglądu zmarłej, bo do tej pory figurowała w jej głowie jedynie pod postacią piętnastu liter składających się na imię i nazwisko.

– Wtedy uległy zniszczeniu, to je wyrzuciłyśmy. Aha, był jeszcze pamiętnik, ale ponoć włamywacz go zabrał.

– Pisała pamiętnik? Na co komu jej pamiętnik?

– Mówiła, że jeśli kiedyś zostanie sławna, to przyda się do jej biografii. To był gruby zeszyt, do połowy zapisany. Ja bym tak nie potrafiła.

– Widocznie miała o czym pisać – zauważyła Zuza. Józefina Sałacka zaczęła ją intrygować coraz bardziej. Musi koniecznie odwiedzić jej byłego narzeczonego i zadać mu kilka trudnych pytań. Spojrzała na zegarek, za pół godziny była umówiona z klientem w kancelarii, a później miał przyjść Nowak.

Trzeba było się zwijać. Pożegnała kobietę i wyszła.

Sierżant wkroczył do gabinetu Zuzy z butelką w dłoni. Zdumiała się.

– Wciąż ganisz mnie, że łożę alkohol bardziej niż szewc, a ofiarowujesz mi koniak. Gdzie tu, kurwa, jakaś konsekwencja czy logika? – przygadała mu.

Zafrasował się, zaskoczony takim przyjęciem, nie tego się spodziewał.

– To co mam zrobić? Zabrać ją i kupić ci kwiaty? – spytał prowokacyjnie.

– E tam, pierdolisz głupoty. Nie musisz się od razu obrażać. – Sięgnęła po kieliszki. – Napijemy się. Teraz siadaj, musimy pogadać, a jest o czym.

– No właśnie, opowiadaj, kto nastaje na twoją cnotę. Ponoć to sam Januszek.

– Podśmiechujki sobie ze mnie robisz?! – ryknęła na niego. – Strzelano do mnie, i to nie plechnikami, ale prawdziwymi kulami. Świszczały koło mojej głowy jak w jakimś gangsterskim filmie. Dobrze, że akurat ktoś przejeżdżał. Wykorzystałam zawahanie zabójcy i zwiałam w zarośla. Widzisz rany na mojej twarzy? To od gałęzi. Miałam pecha, bo wpadłam w krzaki dzikiej róży.

– Mówiłem ci, z nim nie zadzieraj, to kawał łobuza, który ma długie ręce. To nie fajtłapa Mariański, kapitan przy nim to Miś Uszatek.

– Czemu akurat Miś Uszatek?

– Nie wiem, tak mi się powiedziało. Lubilem tę dobranockę.

– Ale porównanie, obrażasz misia. Mariański to kawał tępego chuja i kropka. Powiedz mi lepiej, co mam robić, kiedy biega za mną bandzior ze

spluwą w łapie. W końcu mnie ustrzeli. Idę po ulicy i aż swędzą mnie plecy. Tak się nie da żyć.

– Może pogadam na komisariacie, żeby dali ci ochronę?

Zuza parsknęła śmiechem.

– Pójdiesz do bandziora, który chce mnie sprzątnąć, i powiesz mu, żeby dał mi ochronę przed jego zbiorem. Świetny pomysł. Nie ukrywam, że liczyłam na więcej.

– Jest jeszcze inne rozwiązanie, ale wiem, że ci się nie spodoba. Idź do Marcinkowskiego, tylko on może Januszka usadzić.

Zuza zatrzęsała się ze złości. Wszystko, tylko nie to.

– Nigdy! Jemu też się dobioreę do tyłka, to tylko kwestia czasu.

– Możesz nie zdążyć – zadrwił sierżant.

Zuza powoli, z namaszczaniem wyjęła papierosa z paczki, palcami wyrównała tytoń w rurce, po czym go zapaliła. Spojrzała uważnie na Nowaka.

– Coś się zmieniłeś po tym sanatorium, jesteś zadbany jak nigdy wcześniej i wyszczekany jak nigdy dotąd. Ciekawe, kto cię tak podszkolił? Ile lat ma ta cizia, co ci zawróciła w głowie? Mów, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Mam nadzieję, że nie lubujesz się w zabytkach, ale i nie masz słabości do dzieci jak proboszcz na Górkach. No, gadaj! Mnie przecież możesz powiedzieć.

Sierżant nerwowo poruszył się na krześle, chwycił kieliszek i wypił do dna.

– Dwadzieścia osiem – wydukał.

Zuza z wrażenia wybałuszyła oczy, przecież żartowała, a tu proszę, strzał w dziesiątkę.

– Ja pierdołę – syknęła przez zęby. Ponownie rozlała koniak. Wprawdzie nie był z tak zwanej górnej półki, ale dał się wypić.

– Nowak, to jednak prawda, że tam każdy dostaje małego rozumu. Powiedz mi, co ona, kurwa, w tobie zobaczyła? Ja od tylu lat patrzę i nic nie

widzę. Gdzie ukryłeś swoje walory, chyba że w galotach. – Zarechotała. – To rozwodzisz się?

– Coś ty? Zwariowałaś? Stara by mnie zabiła, nimbym go dostał. Mam nadzieję, że będziesz milczeć.

– Jak grób. Słowo harcerza.

– A ty w ogóle byłaś w harcerstwie? Coś mi to do ciebie nie pasuje.

– Oczywiście i w zuchach także – odparła z poważną miną.

– Patrzcie, nie wiedziałem. – Pokręcił głową.

Gdy tylko Nowak opuścił gabinet, Zuza poderwała się z fotela i pobiegła do Kowalskiego.

– Zaraz ci coś opowiem, padniesz trupem.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– No, mów!

– Nowak przygruchał sobie jakąś dzierlatkę. Pewnie złapał ją na te swoje suchoty. Uwierzysz w to?

W chwilę potem pokój wypełnił ich głośny śmiech.

Zuza wracała do domu z duszą na ramieniu. Wciąż myślała o tym, że gdzieś za rogiem czai się zamachowiec. Kowalski proponował, że ją odprowadzi, ale się nie zgodziła. Zawsze wszystkim pokazywała, że nie wymięka, że ma większe jaja niż większość mężczyzn, a taki gest nadszarpnąłby jej wizerunek. Na szczęście po ulicach chodziło jeszcze sporo ludzi, więc było w miarę bezpiecznie. Skręciła w Zduńską, już z daleka zobaczyła grupkę meneli stojącą przy jej kamienicy. Innym razem byłaby wściekła, bo nie cierpiała tych pijaków i nierobów, ale nie dziś. Dziś dawali jej pewne poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy nadeszła, rozstąpili się na boki, pobrzękując flaszkami.

– Pani mecenas – zagadał jeden z nich. – Pani burek wyruchał dziś wilczycę Poleckich.

Parsknęli śmiechem.

– A co, zazdrościsz mu? – spytała zaczepnie i nie czekając na odpowiedź, weszła do budynku. O dziwo, na klatce było widno, więc bez przeszkód wspięła się na swoje piętro. Przed drzwiami wejściowymi siedział Borys z wywalonym jęzorem i ciężko dyszał. Czekał, żeby go wpuściła.

– Oj, kiedyś wykończą cię te suki. Nie możesz tak wciąż latać z kutasem na wierzchu. Opanuj wreszcie tę swoją chuć. Twój ojciec był taki sam i jak skończył?

Polizał jej rękę. Szybko ją cofnęła.

– Fuj, ciekawe, co lizaleś wcześniej. Tyle razy mówiłam Geńce, żeby cię nie wypuszczała samopas. Ten hycel Piotrowski tylko czeka, żeby cię dopaść i zemścić się na mnie za to, że byłam adwokatem jego ekszony. Pamiętaj, przywilej bycia moim psem wiąże się też z pewnym ryzykiem.

Otworzyła drzwi i weszli do środka. W holu minęli się z Tomaszkiem, którego Borys niespodziewanie polizał po twarzy.

Zuza chwyciła psa za obrozę i pociągnęła go do siebie.

– Chodź, piesku, bo dostaniesz od niego pryszczki.

– Booorys to ujjjjjj! Booorys to ujjjjjj! – Zgaga rozwrzeszczała się na ich widok. – Zuuuza koooocham ciie!

To była ciężka noc. Zuza walczyła z zamachowcem, i to do upadłego. Czuła, jak kule przeszywają jej ciało, jak rozrywają tkanki, czuła potworny ból. Budziła się cała mokra, przebierała i od nowa zapadała w sen. I znów się pojawiał, i znów strzelał, i znów przeżywała istne katusze. Dopiero nad ranem bandyta definitywnie opuścił jej głowę.

Zbudziły ją odgłosy z salonu. Poderwała się na nogi, chwyciła pogrzebacz i tak jak stała, na bosaka tam wtargnęła. Geńka akurat podlewała paprocie. Widząc niespodziewanie Zuze w samej koszuli nocnej i z pogrzebaczem w dłoni, krzyknęła, wystraszona, po czym wypuściła konewkę z ręki. Ta z głośnym hukiem spadła na podłogę, woda rozlała się

na parkiet, przy okazji ochlapując Borysa. Psisko raptownie odskoczyło na bok, podcinając Zużę, która wywinęła kozła, lądując plecami na podłodze.

– Kuuurwa maaać kreeetyнка! Kuuurwa maaać kreeetyнка! Kuuurwa maaać kreeeetyнка! – rozwrzeszczała się papuga.

– Faktycznie kretynka, że was tu trzymam, cholerne darmozjady – mamrotała Lewandowska, masując obolały bok i dźwigając się z podłogi.

Zadzwoił telefon.

W słuchawce cisza.

– Halo?! Halo! – darła się do niej, ale bez rezultatu. W końcu usłyszała standardową formułkę: „rozmowa kontrolowana” i nic więcej.

To on, sukinsyn chce ją nastraszyć, sprowokować do jakiegoś nieprzemyślanego ruchu. Nic z tych rzeczy, akurat to na nią nie działa. Przez ostatnie lata odebrała mnóstwo dziwnych połączeń. A to sapano do słuchawki, innym razem grożono jej gwałtem, a później śmiercią w okropnych męczarniach, był też niezrozumiały bełkot czy tekst w stylu: „Idę po ciebie”. I jak tu się bać po byle głuchym telefonie?

I znów zabrzmiał dzwonek, ale tym razem do drzwi. W progu stał Piosik. Trzymał czapkę i miał ją w dłoniach. Zaskakująca wizyta, bo rzadko tu zachodził. Coś się musiało wydarzyć, innego wytłumaczenia nie było.

– Co tam? Czego chcesz? – spytała dość obcesowo Zuza, nie kryjąc niezadowolenia.

– Pani mecenas, chciałem przeprosić i przyniosłem coś specjalnie dla pani – wyszeptał, rozglądając się nerwowo.

– Przecież wiesz, że nigdy nic od ciebie nie kupuję. I tym razem nie zmienię zdania. Nie masz fajek? Dobra, dam ci paczkę radomskich. Ktoś mnie wczoraj nimi obdarował.

– To nie to, pani mecenas. To prezent, i to ode mnie. Taki osobisty i moja własność jak bum cyk-cyk.

Uchylił kapotę i wtedy ze zdumieniem zobaczyła za paskiem jego spodni kolbę pistoletu.

– Kurwa mać, co to jest, do cholery?

– Parabellum, jeszcze z wojny, mój stary utłukł wachmistrza wermachtu i zabrał mu to cacko. Wiem, że pewien sukinsyn łązi za panią. To stary ubek, którego zwolnili w pięćdziesiątym szóstym za pastwienie się nad więźniami. Ponoć tylko oficjalnie, a po cichu dalej dla nich pracuje. To skurwysyn jakich mało, na niego trzeba gnata, bo inaczej się nie odpierdoli.

Spojrzała na niego z nieskrywanym podziwem.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Ostatnio wciąż mnie zadziwiasz. Jesteś świetnie poinformowany.

– On był szwagrem mojej obecnej kobiety. Zakatował jedną babkę na śmierć i gówno mu zrobili. Kiedyś widzieliśmy na Grodzkiej, jak szedł za panią. On jest od mokrej roboty, a więc ktoś wydał na panią zlecenie. Teraz przynajmniej będzie miała się pani czym bronić. Ma pełny magazynek. Proszę się nie zastanawiać, tylko walić w niego jak w bęben. Nie żal będzie tego śmiecia. A jak trza będzie tę padlinę usunąć, to niech pani da znać, a z kumplami wrzucimy to coś do Wisły rybom na pożarcie.

Wcisnął jej pistolet w dłoń i zmył się, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Stała, oszołomiona, w progu i patrzyła na broń.

– Dziękuję! – krzyknęła po chwili za nim, ale chyba już nie usłyszała.

Zaskrzypiały drzwi od mieszkania sublokatorów. To Tomaszek, ancymonek pewnie znów był na wagarach. Widząc Zuzę z giwerą w dłoni, zbladł jak papier.

Wymierzyła w niego.

– Pif, pa! – krzyknęła.

Chłopak szybko cofnął się do środka. Może wystraszy się na tyle, że przestanie kraść żyletki z szafki w łazience?

Parabellum wylądowało na dnie torebki. Oby nie musiała go użyć, bo trudno jej się będzie z jego posiadania wytłumaczyć.

– Wejść! – krzyknął Januszek, odkładając gazetę.

Do gabinetu wtoczył się Mariański.

Pułkownik zmierzył go niechętnym spojrzeniem, wyraźnie niezadowolony z tej niezapowiedzianej wizyty.

– Czego znów chcecie? Macie coś konkretnego, bo jestem cholernie zajęty.

– Chciałem zameldować, że obywatelka Lewandowska wszędzie węszy i wypytuje o jakąś bibliotekarkę, co jest dziwne, bo tamta zabiła się kupę lat temu. Może trzeba ją śledzić?

– Tylko tyle? – Januszek nie krył zniecierpliwienia.

– No tak – odparł Mariański drżącym głosem.

– Dupę mi trujecie tylko po to? A co mnie obchodzi jakaś bibliotekarka? Kompletnie was popierdoliło. Zostawcie ten temat i zajmijcie się czymś innym. Idźcie, szukajcie wrogów ludu. Z waszą przeszłością do tego nadajecie się najlepiej.

– Miałem raportować wszystko.

– Piszcie notatki albo weźcie do tego któregoś z kotów. Każdy z nich jest bardziej biegły od was w piśmie. A teraz wynocha. Niech nie patrzę na wasz tępy pysk.

Twarz kapitana ze złości pokryła się purpurą. Zacisnął zęby, ale nic nie powiedział. Jedynie rzucił pułkownikowi wciekłe spojrzenie i wyszedł.

Po śniadaniu Zuza wsiadła do samochodu i pojechała na Cholerkę z zamiarem odszukania byłego kochasia bibliotekarki. Ulica Miła nie okazała się taka miła. Bruk, wertepy, błoto, aż strach tam wjechać. Domy też nie lepsze: parterowe chatki jak na wsi, długie baraki, no i na okrasę zaledwie kilka piętrówek. Skąd wzięła się ta nazwa? To jest dobre pytanie, ale akurat historię nazwania dzielnicy Zuza знаła świetnie. To tu, pod tymi domami, a raczej pod kościołem, pogrzebano ofiary epidemii cholery.

Stała przed pierwszą z brzegu piętrówką i wcisnęła przycisk dzwonek na furtce. Zza domu wyskoczył jakiś kundel i zaczął ją

obszczekiwać. Spojrzała na niego lekceważąco. Gdyby przyprowadziła Borysa, to ten siamel byłby dla niego na jeden kęs. Po chwili zjawił się i właściciel. Wielki chłop, w szarej roboczej kapocie, dłonie jak bochenki chleba, w jednej z nich trzymał ocynkowane wiadro. Postawił je z rozmachem na ziemi.

Spode łba spojrział na Zuzę.

– O co chodzi?

– Szukam Kamila Maliszewskiego, ponoć gdzieś tu mieszka.

– Ma pani na myśli księdza Kamila? On tu już od dawna nie mieszka. Ma parafię gdzieś koło Torunia. Owszem, czasem zajrzy, bo tu zostali jego rodzice.

Zuza zdumiała się, jeszcze nie dowierzała.

– Czy aby mówimy o tym samym Kamilu Maliszewskim? Ten, o którego pytam, jest wielki jak szafa trzydrzwiowa i bardzo wysoki.

– Zgadza się, teraz ma jeszcze wielki brzuch, tak jak każdy proboszcz, gosposia mu dogadza.

– Domyślam się – odparła z przekąsem. Pewnie na wielu płaszczyznach, dodała w duchu. – A gdzie mieszkają jego rodzice? Z chęcią zamienię z nimi słówko.

– A dwa domy dalej. – Wskazał palcem parterowy domek o dwuspadowym dachu.

Zuza przeszła około dwudziestu metrów i znów nacisnęła dzwonek. Tu nie było psa. Drzwi się otworzyły, po chwili do furtki doszła przygarbiona staruszka.

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Lewandowska, jestem prawnikiem, przyszedłem porozmawiać o państwa synu.

– Co proszę?!

– Dzień dobry, nazywam się Zuzanna Lewandowska, jestem prawnikiem, przyszedłem porozmawiać o państwa synu!

– Jakim synu? Nie mam żadnego syna.

– A Kamil Maliszewski?

– Nie znam tego pana. A kto to?

Zuza westchnęła z rezygnacją. Pewnie pomyliła domy, może to następny?

– A pani jak się nazywa?

– Jak ja się nazywam? – Staruszka zamyśliła się. – Zaraz, zaraz, nie mogę sobie przypomnieć.

Teraz wszystko było jasne. Od niej nie dowie się niczego. Rozejrzała się bezradnie. Z domku gospodarczego stojącego w głębi ogrodu wyrzała młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Zuza machnęła dłonią w jej kierunku, żeby podeszła.

– Dzień dobry, szukam rodziców pana Kamila Maliszewskiego.

Kobieta spojrzała wymownie na staruszkę.

– Dobrze pani trafiła, ale o co chodzi? Może ja pomogę? Panią Marię pamięć zawodzi i wszystko myli. Pan Tadeusz lepiej funkcjonuje, ale poszedł do spożywczego w kolejkę.

– Jestem prawnikiem i mam kilka pytań do tego pana... księdza – zaraz się poprawiła.

– On tu często zagląda, powinien być w sobotę. Powiem mu o pani.

– Dam swoje namiary.

Zuza sięgnęła do torebki po notatnik i długopis. Spisała dane kontaktowe, wydarła kartkę i podała ją kobiecie.

– Będę wdzięczna za przekazanie, a jeszcze może coś dopiszę, tak dla pobudzenia jego ciekawości. – Wykaligrafowała drukowanymi literami: „Józefina Sałacka”. – Myślę, że to skłoni go do szybkiego kontaktu ze mną. Do widzenia.

Wolnym krokiem poszła w stronę samochodu. Co chwila zerknęła na buty, już niemiłosiernie zabłocone. Jeszcze tylko brakowało, żeby uszkodziła obcasy. Klęła w duchu, że wybrała się tu w tak kosmicznie drogich kozakach. Przechodząc koło kościoła, natknęła się na tutejszego

proboszcza. Ten na jej widok przeżegnał się w popłochu, jakby zobaczył Lucyfera, widocznie jej sława dotarła nawet tutaj.

Mijając Rogatki Warszawskie, natrafiła na konwój kombajnów zbożowych „Bizon”, wlokący się w stronę mostu. Jechały na tych wielkich kołach i bujały się na wszystkie strony. Na długo zablokowały przejazd, przez co Zuza spóźniła się do kancelarii, gdzie już czekał na nią klient. Dobrze, że Kowalski zachował się odpowiednio i go wpuścił. Zanim się z nim przywitała, poszła do łazienki i zmieniła buty. Na szczęście obcasy były nieuszkodzone. Postanowiła, że następnym razem, zanim pojedzie na Cholerkę, to najpierw od Nowaka pożyczycy gumofilce. Dostał je z milicji w ramach ostatniego przydziału mundurowego.

Klient okazał się kobietą. Na jej posesji był spory staw, który podchodził aż pod granicę. Zbiornik był zarybiony karpem. Sąsiad kupił sobie wędkę i zawsze przed świętami siadał na płocie. Łowił ryby, które następnie sprzedawał na rynku. To pewnie ten mężczyzna, którego Zuza kilkakrotnie widziała, jak handlował karpami. Kobieta postanowiła raz na zawsze rozmówić się ze złodziejem i zamierzała wytoczyć mu proces. Zuza czuła, że to sprawa na lata, a właśnie dzięki takim mogła prowadzić spokojne życie, i to na wysokiej stopie, czego już nie mogła powiedzieć o swoich klientach. Oni harowali na swoich adwokatów niczym chłopcy pańszczyźniani na pana, a ewentualna wygrana nigdy nie zrekompensowała nawet małej części nakładów, była zwykłym pyrrusowym zwycięstwem. Tak jak parafianin wierzył księdzu opowiadającemu o wiecznym zbawieniu, tak klient wierzył papudze, że wygra sprawę, a jeden i drugi kłamał jak najęty. Nieraz rozmawiała o tym z proboszczem z fary, początkowo się kłócili, a na koniec po opróżnieniu kilku butelek stocka dochodzili do konkluzji, że dawanie ludziom nadziei jest moralnie chwalebne, i to skutecznie uspokajało ich sumienie.

Klientka wpłaciła sowitą zaliczkę i opuściła kancelarię pełna wiary w rychłe zakończenie sprawy. Ledwo drzwi się za nią zamknęły, Kowalski zajrzał do gabinetu Zuzy.

– Pamiętasz o dzisiejszej kolacji?

– Oczywiście, być świadkiem twojego kulinarnego Waterloo to czysta przyjemność.

– Nie sądzę. – Uśmiechnął się zagadkowo. – Zobaczysz, że cię zaskoczę. Będzie kaczką, palce lizać. Bądź o szóstej. Zapamiętałaś adres?

– Jak mogłabym nie zapamiętać adresu? Nowobogacka willa przy ulicy Pięknej – odparła z nutką uszczypliwości w głosie.

– Przynajmniej nie mieszkam w zrujnowanej kamienicy, sąsiadując przez tekturową ścianę z bandą łapciuchów. Tylko się nie spóźnij.

Zuza poszła się wykąpać i nakryła Tomaszka na gorącym uczynku, gdy kradł szampon z jej szafki. Chwyciła go za kołnierz.

– Zostaw to, gnojku! Wara od moich rzeczy, bo ci paluchy połamię albo włożę w zawiasy i zmiażdżę. To jest dobry pomysł, że też wcześniej na to nie wpadłam. – Roześmiała się w głos.

Pociągnęła go w stronę drzwi. Chłopak zapierał się ile sił w rękach i nogach, ale na nic to się zdało.

– Więcej nie będę, proszę pani, błagam! – krzyczał, ale Zuza była na to głucha. Dość już miała jego ciągłych psikusów. Cholerny ancymonek, musi nim znów potrząsnąć, żeby choć na jakiś czas był spokój. Palce gagatka wylądowały między drzwiami a futryną.

Tomuś rozbeczał się i dopiero wtedy go puściła. Pobiegł do siebie, pewnie naskarzyć na nią tej suce, jego matce. Niech no tylko ta wywłoka tu przyjdzie, to złapie ją za czuprynę i tak nią potrząśnie, że na długo popamięta. Będzie ją omijać, i to szerokim łukiem. Nigdy nie myślała, że kiedyś po latach będzie wspominać Borkowską z rozrzewnieniem, a tu taki złośliwy psikus losu.

Kukułka zakukała pięć razy. Zuza otworzyła drzwi z zamiarem wypuszczenia Borysa za potrzebą.

– Tylko wróć tu zaraz, dziś trzymaj wacka na uwięzi, bo wychodzę i nie będzie miał kto cię wpuścić. Zrozumiano?

Pies spojrzał jej głęboko w oczy, polizał po dłoni, chyba zrozumiał, po czym zbiegł na dół.

– Trzyyyymaj waaacka! Trzyyyymaj waaacka! Kuuurwa maaać! Kuuurwa maaać! – rozwrzeszczała się Zgaga.

Zuza szybko wysuszyła włosy, zrobiła makijaż, przebrała się, poczyniła jeszcze ostatnie poprawki, zmieniła torebkę na nową, miesiąc wcześniej kupioną w jednym z warszawskich komisów, była horrendalnie droga. No i problem, parabellum się do niej nie zmieściło. Trudno, postanowiła zostawić pistolet w domu, chyba zabójca nie zaatakuje jej o tak wczesnej porze, a na powrót weźmie taksówkę lub poprosi Kowalskiego, żeby ją odprowadził.

Co chwila zerkąła nerwowo na zegarek, bo był już najwyższy czas, by wyjść, a Borysa nie widać. No cóż, jabłko nie padło daleko od jabłoni. Trudno, dłużej nie będzie czekać. Zamknęła drzwi i zeszła na dół. Na schodach minęła zataczającego się ojca Tomaszka. Rzadko go widywała, ponoć pracował w delegacji. Nawet dzień dobry jej nie powiedział, cham jeden. Kiedy się mijali, jedynie spuścił łeb, udawał, że jej nie widzi. Cuchnęło od niego gorzałą. Wyszła na ulicę, zapaliła papierosa i rozejrzała się za Borysem, ale nigdzie go nie dojrzała. Cholerny włóczęga. W końcu się doigra.

Było ciepło, więc postanowiła się przejść, nie miała daleko. Idąc, co i raz zerkąła przez ramię, czy aby bandzior nie wyskoczy z jakiejś bramy i nie strzeli jej prosto w głowę. Przy Jagiellonce minęła sporą grupę uczniów, pewnie wracających z zajęć pozalekcyjnych. Też chodziła na takie zajęcia, a konkretnie z historii. Pamiętała dobrze, jak się pokłóciła z nauczycielką, kiedy wspomniała o zbrodni katyńskiej. Tamta stanowczo zaprzeczyła, że to sprawa Rosjan. Obwinięła o to Niemców. W konsekwencji doszło do ostrej pyskówki, a następnego dnia wizyty ojca w szkole. On też się pokłócił z nauczycielką i o to samo.

Zuza po dobrym kwadransie w końcu dotarła do celu, stanęła przed furtką. Wcisnęła przycisk dzwonka i trzymała go nieprzerwanie z minutę.

Zazgrzytał elektrozaczep zamka, wejście do jaskini rozwiąłości jej kolegi stało otworem.

Zuza nagle znalazła się w innym świecie. Marmurowe posadzki, w salonie klepka dębowa, stare meble wykonane z litego drewna, na ścianach obrazy w ciężkich złożonych ramach, wszystko to przypominało jej mieszkanie Leszka Jarzębowskiego. On miał podobny gust, no i pieniądze.

– I jakie wrażenia, podoba ci się? – spytał Kowalski pro forma z dumą w głosie, bo wiedział, że nie może być inaczej.

– Ujdzie. Widziałam gorsze. Przynajmniej już wiem, na co idą pieniądze twoich klientów.

– Twoich idą jedynie na stocka – szydził z niej. – Nie wiem, czy nie taniej byłoby ci kupić gorzelnię. Przeprowadziłabyś rurociąg bezpośrednio do swojego mieszkania i piłabyś prosto z rurki.

– Wszystkich gości tak witasz? Te lale też? Nie, jak ciebie znam, to ich tu nie zapraszasz, bo zdeptałyby ci te perskie dywany i gołymi półdupkami powygniatały kanapę. Do tego celu biurko w kancelarii jest najlepsze. Dobra, koniec tych grzeczności, teraz dawaj tę kaczkę, bo jestem wściekle głodna. Zobaczymy, jak się spisałeś. Od razu uprzedzam, kitu mi tu nie wciśniesz, wiem, jak powinna smakować. A tak z innej beczki, gdzie trzymasz papugę? Jakaś dziwnie cicha. Zgaga by już kilka razy rzuciła mięsem.

– W pokoju obok. – Ręką wskazał drzwi. – Rozlej wino do kieliszków, a ja wyjmę kaczkę z piekarnika.

– Mam sobie nalać? Oj, dżentelmenem to ty nie jesteś. Ale dobra, idź po tego ptaka, bo się uwędzi – rzekła pojednawczo.

W chwilę potem przyniósł brytfannę, pachniało wspaniale, ale to jeszcze za mało, by wydać werdykt.

Zuza przyglądała jej się uważnie.

– Coś nieduża ta kaczką – stwierdziła.

Kowalski nałożył porcje mięsiwa na talerze, uzupełnił dodatkami i wzięli się do konsumpcji.

W pewnym momencie Zuzie coś utknęło między zębami. Chwilę się z tym męczyła, ale w końcu to wydłubała i położyła na skraju talerza. Przypominało z wyglądu piórko. Było czerwone, a przecież pierze kaczek w takim kolorze nie występuje. Zdrętwiała z przerażenia. To niemożliwe! Spojrzała na gospodarza, śmiał się. Raptownie podniosła się z krzesła i zajrzała do pokoju obok. Zobaczyła klatkę – stała otwarta na stole. Po papudze nie było śladu.

Nagle poczuła, że zawartość jej żołądka zaczyna mknąć do góry, i to w szalonym pędzie. Ledwie zdążyła do łazienki i ledwie zdążyła otworzyć klapę od sedesu.

Wróciła po kwadransie, blada niczym śmierć, chwiejąc się na nogach. Bez słowa chwyciła torebkę z krzesła i poszła do wyjścia.

– Nie dokończysz kaczki? – rzucił Kowalski za nią, po czym parsknął śmiechem.

Huknęła drzwiami, że aż się tynk posypał, i poszła sobie.

Ledwie się drzwi zamknęły, gospodarz pobiegł do sypialni. Po ciemku zakradł się do okna, chwycił papugę siedzącą na parapecie i w chwilę potem na powrót siedziała w klatce.

– No i co, malutka? Zemściliśmy się na Lewandowskiej?

– Kooooocham ciiiię! Kooooocham ciiiię!

– Ja też cię kocham.

Zuza była wściekła, kolega zakpił sobie z niej, i to w bezczelny sposób. Za pomocą podstępny zmusił ją do zjedzenia jego własnej papugi. Zemsta zemstą, ale czy musiał się posuwać do czegoś tak obrzydliwego? Nie daruje mu, odechce mu się niesmacznych dowcipów, choć trzeba mu przyznać, że ptaszysko było dobrze przyrządzone. Nigdy nie myślała, że ara może tak smakować. Od dziś niech Zgaga lepiej uważa.

Tak była zaaferowana tą skandaliczną kolacją, że na moment zupełnie zapomniała o zabójcy być może czającym się gdzieś w mrokach nocy i nawet nie zauważyła, kiedy dotarła do swojej kamienicy. Jak zwykle na

klatce schodowej było ciemno. W końcu temu złodziejowi wkręci żarówkę w dupę.

– Kurwa mać! – zakląła szpetnie pod nosem, po czym zaczęła powoli wdrapywać się po schodach. Na drugim piętrze wyjęła z torebki zapalniczkę, żeby sobie oświetlić zamek, i wtedy go zobaczyła. Wielki facet w długim skórzanym płaszczu, kapelusz naciągnięty prawie na oczy, tak że twarzy dobrze nie widziała. Stał może metr od niej, oparty o ścianę, z pistoletem wycelowanym prosto w jej pierś. Tym razem ją dopadł, tym razem nie uratuje jej przypadkowo przejeżdżające auto, a parabellum zostało w domu. Pomyślała o swoich zwierzakach. Co z nimi będzie? Czy ktoś się nimi zaopiekuje?

Nie da bandziorowi radochy, przyjmie swój los z godnością, bo Lewandowscy nigdy nie wymiękają. Musiała się jeszcze tylko upewnić, czy jej podejrzenia były słuszne.

– Kto cię, sukinsynu, przysłał? Pewnie pułkownik Januszek, mam rację?

Nie odezwał się, jedynie skinął głową, tym samym potwierdzając jej domysły.

– No tak, a kto inny to mógł być? Czy mogę zapalić ostatniego papierosa? Ponoć nawet skazańcowi się tego nie odmawia. – W akcie desperacji próbowała grać na zwłokę.

– Nie. Palenie szkodzi, można dostać raka płuc – odezwał się w końcu. Głos miał niemiły, szorstki w barwie niczym papier ścierny.

– Widzę, że ten popapraniec przysłał mi tu dowcipasa. – Zaśmiała się gorzko. – Dobra, kończ. Przynajmniej nie będę musiała robić wielu rzeczy, które mnie wkurwiają, jak choćby pokonywać po ciemku tych przeklętych schodów, bo jakiś skurwysyn ciągle kradnie żarówki. Uwolnij mnie od tego wszystkiego.

Ręka z rewolwerem powoli uniosła się jeszcze wyżej, teraz lufa skierowana była na głowę Zuzy. A więc nastąpi to szybko, przemknęło jej przez myśl, gdy przymykała powieki. Ponoć to nic nie boli, tak w każdym razie twierdzą fachowcy. Zaraz się przekona, czy mają rację.

Nagle usłyszała krzyk, potworny huk i warczenie psa. O dziwo, wciąż żyła. Otworzyła oczy. Coś kotłowało się u jej stóp. Zdumiona, w świetle płomyka zapalniczki zobaczyła Borysa, który przewrócił bandziora i wbił mu zęby w gardło. Mężczyzna charczał okropnie, walczył, ale coraz słabiej. Zuza się temu zupełnie bezradnie przyglądała. Pies nagle puścił szyję ofiary i wbił zębiska w jego krok. Rozległo się potworne wycie, tak jakby Borys wycisnął z niego ostatnie soki, aż nagle zaległa cisza. Zuza wciąż stała jak sparaliżowana, dopiero po dłuższej chwili ocknęła się na tyle, że chwyciła psa i odciągnęła go na bok. U jej stóp leżał martwy bandyta, wszędzie dokoła było pełno krwi. Cholera, co robić? Nie może tak zwyczajnie sobie stąd pójść. Myśli szalały w jej głowie. Znała procedury – jeśli wyda się, że Borys zagryzł tego drania, to zostanie uśpiony. Nieważne, że uratował jej życie, liczy się fakt, że zabił człowieka, a na to za żadne skarby ona nie może się zgodzić. Cóż to byłaby za wdzięczność? Ten scenariusz odrzuciła natychmiast. Zaczęła nasłuchiwać, czy aby nikt nie zareagował na odgłosy walki, ale nic nie wychwytiła. Wciąż panowała niezmacona grobowa cisza. Chwała Bogu, odetchnęła z ulgą. Niech ta chwila trwa jak najdłużej. Otworzyła drzwi i psa wpuściła do mieszkania, a sama wróciła na korytarz. Co teraz należy zrobić? Rozejrzała się bezradnie, szukając jakiegoś w miarę rozsądnego pomysłu. Przede wszystkim trup nie mógł pozostać przed wejściem do jej mieszkania. Należało go gdzieś pilnie przenieść, a najlepiej na zewnątrz, na ulicę. Schyliła się, chwyciła go pod pachy i zaczęła ciągnąć po schodach w dół. Jego stopy odbijały się od stopni niczym piłeczki. W innej sytuacji pewnie by się dobrze bawiła, ale nie teraz. Wcale nie było jej do śmiechu. Mężczyzna był bardzo ciężki. Czuła, jak pot zalewa jej oczy, to z wysiłku lub z nerwów, bo było chłodno. W końcu wyciągnęła go z budynku i oparła plecami o ścianę. Rozejrzała się po ulicy. Pusto. Spojrzała w okna. W kilku paliło się światło. Jedyna nadzieja w tym, że akurat teraz nikt z sąsiadów nie wyjrzy, bo inaczej będzie źle. Ponownie chwyciła trupa pod pachy i zaciągnęła go z boku kamienicy. Wcisnęła mu jego pistolet za pazuchę i znów spojrzała w okna. Bez zmian. Uspokoila się. Pośpiesznie wróciła do siebie. Z łazienki chwyciła wiadro z wodą i szmatę. Rzuciła się na kolana

i bardzo dokładnie umyła schody, stopień po stopniu. Na koniec latarką oświetliła ścianę na piętrze i dobrze, bo wciąż widniał na niej czerwony zaciek, więc szybko się i jego pozbyła. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po powrocie do mieszkania, było zrzucenie z siebie ciuchów i nastawienie pralki. Dopiero kiedy się z tym wszystkim uwinęła, rozsiadła się na kanapie z papierosem i butelką stocka w dłoni, ale nie było jej dane długo posiedzieć. Zapomniała o Borysie, musiała go pilnie wykąpać, nie mogła z tym czekać do jutra. Była pewna, że rano do jej drzwi zapuka milicja, że będą sprawdzać psa, czy nie ma na nim śladów krwi. Ten zabieg to była prawdziwa droga przez mękę, bo pies tego nie cierpiał. Walczyli ze sobą blisko godzinę, aż w końcu udało się go namydlić, a później splukać. Następną godzinę dziczył się po mieszkaniu, starając się wytrzeć o dywan i o każdy mebel, oraz otrząsając się i rozbryzgując krople wody.

– Boorys czyyyyscioch! Boorys czyyyyscioch! – wydarła się Zgaga, podskakując na drążku.

Zuza źle spała, ale po tym, co wieczorem przeżyła, to było zrozumiałe. Śniło jej się, że Borys zagryza po kolei jej wrogów z Mariańskim na czele, ona zaś idzie za nim i niszczy wszystkie ślady jego zbrodni, a trupy chowa do tapczanu. Problem był w tym, że kapitan tam się nie mieścił, a to przez jego ogromny brzuch. Nic nie pomagało, nawet skakanie po nim. W końcu poszła do kuchni po wielki nóż i zaczęła nieboszczykowi wycinać tkankę tłuszczową. Wtedy się obudziła. Ponownie sen ją zmorzył dopiero tuż nad ranem.

Obudziło ją głośne pukanie do drzwi. Zarzuciła na siebie szlafrok i poszła otworzyć. Wcześniej zamknęła Borysa w kuchni, tak na wszelki wypadek. W progu stał Mariański, a za jego zwalistą sylwetką czaiła się grupka jego podwładnych.

– Obywatelka Lewandowska?

– Towarzyszu kapitanie, a co wam na oczy padło? Przecież ja się wam po nocach śnię. Od lat jestem waszym najgorszym koszmarem, a wy mnie nie poznajecie? – zadrwiła.

Nie zareagował na zaczepkę. Udał, że tego nie usłyszał.

– Macie dużego psa. Chcemy mu się przyjrzeć.

– To nie zoo, żeby tu zwierzaki oglądać. A jeśli już, to trzeba wnieść opłatę.

– Mariaaaański tooo chuuuj! Maaaariański tooo chuuuj! – rozkrzyczała się Zgaga.

Kapitan udał, że tego też nie słyszy, jedynie w stronę papugi rzucił wściekle spojrzenie.

– Macie nam go udostępnić, i to natychmiast.

Nie było sensu się opierać, tym razem prawo było po stronie milicji.

– Dobrze, ale uważajcie, bo on, tak jak i ja, nie cierpi innych psów – rzekła kpiącym tonem.

Otworzyła kuchnię. Borys, zobaczywszy milicjantów, zjeżył się cały i wyszczerzył groźnie kły. Mariański odruchowo cofnął się pod ścianę.

– Trzymajcie go krótko, musimy zajrzeć mu do pyska.

– A co wy, kapitanie, będziecie mu sprawdzać zgryz? Czy zęby liczyć? Ma ich aż czterdzieści dwa, więc nie wiem, czy dacie radę do tyłu zliczyć. A może bawicie się w ortodontę? Może każecie mu chrupać marchewkę, to ponoć pomaga na krzywe zęby?

– Nie wasza sprawa.

– Kurwa mać, mój pies, to i moja sprawa. O co tu chodzi? Czemu nękacie mnie i Borysa, i to od samego rana? To mam prawo wiedzieć.

– Podejrzewamy waszego kundla, że zagryzł funkcjonariusza służby bezpieczeństwa.

– Niemożliwe, gdyby to była prawda, to już by zdechł, bo jady z takiego sukinsyna by go w mig zabiły – drwiła w najlepsze.

– No więc jak będzie? Przytrzymacie psa czy mamy wezwać rakarza, a was aresztować za utrudnianie dochodzenia?

Zuza chwyciła Borysa krótko za obrozę. Mariański nachylił się nad jego rozdziawionym pyskiem i zajrzał mu w zęby.

Patrzył i patrzył, sapiąc przy tym niemilosiernie.

– No i znaleźliście, towarzyszu kapitanie, jakieś pozostałości swojego kumpla, na przykład klejnoty, a może o kły zaczepiła się jego legitymacja służbowa?

– Przestańcie mi tu wciąż pierdolić, ten wasz pies to tylko zwykły zapchlony kundel i nic więcej. Szkoda by było na niego nawet kuli.

Kuli to na ciebie żal, ty tłusty wieprzu, pomyślała. Chciała mu to wygarnąć prosto w twarz, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język, na to był paragraf k.k.

– Idziemy! – Kapitan zwrócił się w stronę swoich ludzi. – Ten to niezdatny, on by nawet kielbasy nie pogryzł.

W chwilę potem Zuza została w mieszkaniu sama. Schyliła się i pogłaskała Borysa.

– Wczorajszą postawą zasłużyłeś na kielbasę i myślę, że doskonale sobie z nią poradzisz. Chodź ze mną. Klientka podarowała mi coś, co ci się bardzo spodoba, tego jestem pewna.

Udała się do kuchni, wyjęła z lodówki duże pęto kielbasy wiejskiej i rzuciła je psu. Niespełna dwie minuty i po wędlinie nie było śladu.

Mariański zapukał do drzwi.

– Proszę. – Usłyszał męski głos ze środka.

Wszedł do gabinetu. Tego lekarza nie znał, pewnie nowy. Słyszał, że miał taki przyjechać, i to z samej Warszawy. Siedział za biurkiem ubrany w biały fartuch, ze stetoskopem wiszącym na szyi. Coś skrobał w jakimś kajecie.

– Siadajcie, kapitanie. – Doktor wskazał mu krzesło. – Siedzę nad waszą kartą i widzę, że od lat nie byliście na żadnych badaniach. Jak to jest możliwe? Owszem, rentgen robiliście co roku, ale nic poza tym. Bądź co bądź macie swoje lata. Coś musi wam dolegać.

Mariański nerwowo zastrzygł uszami. Czyżby to wezwanie na przyspieszone badania okresowe było sprawką pułkownika Januszka? Chcą

mu na siłę coś znaleźć i wypierdolić go na emeryturę. Tak zrobili z porucznikiem Wąsikiem. Wmówili mu, że ma chorą wątrobę, i w tydzień był na rencie.

– Jestem zdrowy jak koń, nic mi nie dolega.

Lekarz, słysząc to, parsknął śmiechem, czym zbił kapitana z tropu.

– Nie rozumiem, towarzyszu lekarzu. Z czego się śmiejecie?

– A wy myślicie, że wszystkie konie są zdrowe? Jeśli tak, to jesteście w błędzie. – Podniósł się z krzesła i sięgnął po gumowe rękawiczki. – Rozbierzcie się. Ściągnijcie spodnie, stańcie przodem do biurka i oprzyjcie się o nie rękoma – rozkazał.

– A po co?

– Jak to po co? Muszę was zbadać. Nie bójcie się, to nie boli.

Kapitan, choć niechętnie, zdjął mundur, ściągnął spodnie, a pas z pistoletem w kaburze położył na blacie.

– Bardzo dobrze. Widzicie, że to proste. Teraz pochylcie się.

Mariański nagle z przerażeniem poczuł obce ciało w odbycie. Długo się nie zastanawiał, tylko błyskawicznie sięgnął do kabury po tetetkę, po czym odwrócił się w stronę lekarza, mierząc mu w głowę.

– Ty pierdolony pedale! – krzyknął.

– Spokojnie, kapitanie. Patrzcie, to tylko palec. A myśleliście, że co?

– To teraz robicie to palcem? Zboki pierdolone!

– To tylko badanie. Nigdy nie byliście badani przez odbyt? No właśnie, całe to zamieszanie bierze się z tego, że przez lata omijaliście lekarzy. Macie prostatę...

Kapitan więcej nie słuchał, wciągnął spodnie, a resztę ubrania chwycił w garść i wybiegł z gabinetu.

Prostata, prostata... To straszne słowo wciąż krążyło mu w głowie. Niejedno słyszał o prostacie. Jego ojciec zmarł na prostatę, wujek też ją miał. Skoro i on ją ma, to znaczy jedno – że i on na nią umrze. Do dziś

pamiętał, jak ojciec cierpiał, nim wyzionął ducha, on nie chciał tak skończyć.

Wychodząc z mieszkania, Zuza w progu prawie zderzyła się z Nowakiem. Był bardzo podekscytowany.

– Coś ty taki podniecony, jakbyś wrócił ze spotkania z Bardotką? – zakpiła.

– Słyszałaś? Podobno jakiś pies zagryzł porucznika Grenia.

– Przynajmniej o jednego sukinsyna mniej na świecie – skomentowała sucho i włożyła klucz do zamka.

– Tu się z tobą trudno nie zgodzić, bo to był kawał skurwiela. Wszyscy się go bali. Szeptano po kątach, że to taki palant od mokrej roboty. Ponoć ostatnio widzieli go, jak wychodził z gabinetu pułkownika Januszka. Jeden wart drugiego, pewnie tamten coś mu zlecił.

– Nawet wiem, co to było za zlecenie – rzekła Zuza, robiąc tajemniczą minę. Wrzuciła klucze do torebki i zaczęła schodzić po schodach.

Nowak rad nierad podążył za nią.

– Nie mów tylko, że to dotyczyło ciebie? Prosiłem cię już nieraz, żebyś nie zadzierała z pułkownikiem. Takie kanalie jak on powinno się omijać łukiem, i to dużym.

– W kółko mi to pierdolisz nad uchem. Przecież go omijam, to nie moja wina, że się na mnie uwziął.

– Skoro nasyła na ciebie Grenia, to znaczy, że coś przede mną ukrywasz. Gadaj, w czym rzecz?

– Naprawdę nie wiem, przecież sprawa Wierzbickiego jest zakończona. Ostatnio zaczęłam się przyglądać ciekawemu zdarzeniu sprzed wielu lat. Chodzi o śmierć pewnej bibliotekarki. Dochodzenie szybko zamknięto, bo stwierdzono samobójstwo.

– Patrząc na to, co się ostatnio dzieje, to widzę, że od pewnego czasu stanowisko bibliotekarki w Płocku bywa skrajnie niebezpieczne.

– Czy masz na myśli zabójstwo tych trzech kobiet? – spytała. – Raczej trudno będzie to powiązać, choć należy powęszyć.

– Czemu w ogóle to rozgrzebujesz? Skoro wtedy nic nie ustalono, to teraz po latach nie masz żadnych szans na dojście do prawdy.

– Gdyby tak było, jak mówisz, to Januszek nie nasłałby na mnie tego zbira. Właśnie to daje mi dużo do myślenia.

– Sugerujesz, że pułkownik był w to umoczony? Wiesz coś na ten temat?

– Tego nie mogę ci powiedzieć, ale przyznaję, że dostałam pewien cynk. Będę w tym gmerać dotąd, aż znajdę dowody i wyślę tego skurwiela na szubienicę.

– Kroczysz po cienkim lodzie, on ma rozległe koneksje. Sama wiesz, jak się wywinął ze sprawy Wierzbickiego, śmiał ci się w oczy.

– Właśnie. Czas, żeby ja mu się zaśmiała.

Zuza weszła do kancelarii. Zwykle po drodze do swojego pokoju zaglądała do Kowalskiego, ale nie tym razem. Tuż za nią podążał Nowak, niczym cień albo – jak zwykła mawiać – jak smród za dupą.

Usiadła w fotelu, otworzyła szufladę i wyjęła z niej piersiówkę.

– Wypijemy po kielichu – zdecydowała za siebie i gościa, rozlewając trunek do kieliszków.

Sierzant, o dziwo, nie oponował. Faktycznie, sanatorium go bardzo zmieniło.

– Co słyhać u twojej gołąbki? – spytała prowokacyjnie.

– U żony?

– Kurwa mać, jakby twoja żona była dla ciebie gołąbeczką, tobyś nie spojrzął na inną. Zresztą za nic jej nie przypomina, prędzej starą, zapasioną wronę. Mówię o tej dzierlatce, co ci zawróciła w głowie.

– W porządku – odburknął, wyraźnie niezadowolony, że o nią pyta. –
Lepiej powiedz mi, co dalej. Co zamierzasz?

– Ja? – Roześmiała się, podnosząc kieliszek. – Wypić kielicha. Na pohybel
Januszkowi!

– Na pohybel! – zawtórował jej.

Skrzypnęły uchylane drzwi, w szparze pojawiła się głowa Kowalskiego.
Spojrzał niepewnie na Zuzę.

– Można?

To była dosłownie chwila. Zuzę cisnęła kieliszkiem w jego stronę i, co
najgorsze, trafiła w ścianę tuż przy nim. Szkło rozsypało się na drobne
kawałki, kalecząc mężczyznę w czoło i policzki. Zalał się krwią.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął sierżant. – Czyś ty zwariowała?

– Ja? To ten czubek zwariował! Spytaj lepiej tego skurwysyna, co on mi
zrobił! Koniec wspólnej kancelarii, nie będę dzielić lokum z tym palantem.
Lokal jest na mnie – zwróciła się do Kowalskiego – a więc wynocha. Daję ci
tydzień. W przyszły czwartek ciebie tu nie ma, inaczej otworzę okno
i wszystko wypierdolę na ulicę. To masz jak w banku, jakem Lewandowska.

Poderwała się z fotela, chwyciła płaszcz z wieszaka i wybiegła
z gabinetu, na koniec efektownie trzaskając drzwiami.

Sierżant podszedł do Kowalskiego i obejrzał jego rany. Na szczęście były
tylko powierzchowne, najważniejsze, że szkło nie uszkodziło mu oczu.

– Masz sporo szczęścia. O co tu chodzi? O czym ona mówiła? – Zupełnie
zdezorientowany zachowaniem przyjaciółki starał się czegoś dowiedzieć.

Adwokat jedynie wzruszył ramionami. Jakoś nie miał ochoty się
zwierzać.

– No gadaj – napierał Nowak. – Czym tak jej zalazłeś za skórę? To
musiało być coś mocnego. Dobrze ją znam i wiem, że byle co nie
wyprowadzi jej z równowagi.

– To pewnie przez kolację. Zaprosiłem ją, konkretnie na pieczoną
kaczkę.

– Była aż tak wstrętna? Zupełnie niezjadliwa? To nie mógł być powód, Zuza nie jest smakoszem, a prócz tego wiedziała, że podle gotujesz. Najwyżej by cię wyśmiała.

– Nie, przeciwnie, wyszła mi jak nigdy dotąd, palce lizać, ale sobie zażartowałem i wcisnąłem w mięso kilka papuzich piór. Zuza myślała, że to papuga, i się wkurwiła. Tak szybko ode mnie wybiegła, że nie zdążyłem jej niczego wyjaśnić.

– Nie wciskaj mi tu kitu, nie wierzę, że chciałeś się przyznać. Ciebie też dobrze znam i wiem, że bawiłeś się w najlepsze. Po cholerę jej to zrobiłeś? Po tej całej aferze z malowaniem papugi to był idiotyczny żart, nie dziwię się, że cię skreśliła.

Ktoś zapukał, przerywając im dysputę. To był mężczyzna.

– Ja do pani mecenas Lewandowskiej. Nazywam się Bielski, jestem prezesem spółdzielni wydawniczej „Kacze Pióro”.

Kowalskiemu natychmiast oczy zabłyśły. Wskazał wolne krzesło.

– Proszę siadać. Słyszałem o panu, współpracowniczka mi mówiła, że namawia ją pan na napisanie autobiografii.

– No tak, bardzo by mi na tym zależało, to tak barwna postać i do tego znana. Wszyscy w Płocku chcieliby poznać jej życie od środka.

– Ale wie pan, że aby było tak prawdziwie, to do każdej książki musiałby pan dołączać butelkę koniaku? – rzekł adwokat i parsknął niepohamowanym śmiechem.

Nowak skrzywił się ostentacyjnie. Niech to tylko dojdzie do Zuzy, a ona jak nic go ukatrupi, i to własnymi rękami. Zerknął na wydawcę, ale Bielski zachował kamienne oblicze niczym wytrawny pokerzysta.

– Mam dla pana świetną propozycję. – Kowalski wciąż nie tracił dobrego humoru. – Mogę napisać swoją autobiografię. Zrobię to z przyjemnością. To będzie znacznie ciekawsze niż wycpiny mojej koleżanki.

– Słyszałem dużo o panu, faktycznie ma pan bujne życie w sferze, powiedzmy, nieobyczajnej, ale w naszym kraju jest zabronione

publikowanie treści o tematyce pornograficznej i pan jako adwokat powinien o tym wiedzieć. Czas na mnie, żegnam!

Podniósł się z krzesła i wyszedł.

– Palant, duppek – warknął Kowalski. – Co może być tak ciekawego w życiu pijaczki i nałogowej palaczki? Powiedz mi!

– Naprawdę tego nie wiesz? Nie wiesz? Ona jest lustrzanym odbiciem naszego społeczeństwa, każdy coś z siebie znajdzie i właśnie to wszystkich pociąga. Muszę już iść. Jeśli szukasz lokalu, to wiem, że w „Antypodkowie” na piętrze jest coś do wynajęcia. Gówniany adres, ale lepsze to niż nic.

Kowalski został sam. Nagle jego dobry humor prysł, ulotnił się niczym powietrze z dziurawego balonika. Prawnik wrócił do swojego pokoju, wyjął z biurka butelkę wódki i dwa kieliszki, napełnił je i po kolei wypił.

Zadzwoił telefon. To była Zenka, jego najnowsza dziewczyna. Wyzwała go od dupków i z nim zerwała.

Ponownie napełnił kieliszki i znów wypił.

Mariański siedział, zamyślony, przy biurku. Przed nim na blacie leżały: pistolet, kartka papieru i długopis.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Nie przeszkadzać! – ryknął.

Postanowił dziś ze sobą skończyć. Diagnoza tego nowego konowała wywróciła do góry nogami całe jego życie. Kiedy dowiedział się, że ma prostatę, wszystko runęło. Widział, jak dogorywali nieuleczalnie chorzy, i nie zamierzał dzielić ich losu. Sam to zakończy i na własnych warunkach, ale najpierw się pożegna. Wziął długopis i zaczął pisać.

Ja kapitan Mariański zaraz szczele sobie w łep, bo jestem hory na nieuleczalność. Lekaż stwierdził u mnie horobe ktura się zwie proztata. Jako oficer odejde z chonorem. Nie bendem leżał w łuszku i gnił jak inni czekajonc na umarcie. Szczele sobie w łep jak oficer. Hcem być pohowany na cmętażu w Radzanowie gdzie pohowane som moi rodziciele. Fszystko zapisuje mojej babie Stanisławie i dzieckom. Niech szyje proletariat! Niech szyje PZPR! Ku chfale ojczyzny!

Mariański

Odłożył długopis i chwycił pistolet. Odbezpieczył go, wcisnął sobie lufę w usta i po chwili zawahania pociągnął za spust. Rozległ się huk wystrzału.

Zuza po opuszczeniu kancelarii poszła na spacer. Od lat stosowała tę metodę na uspokojenie nerwów. Przeszła ulicą Sienkiewicza, a mijając komendę milicji, zobaczyła zbiegowisko. Zaciekawiona podeszła bliżej. W tłumie zauważyła pana Zdzisia, znajomego z ryb. Też ją zobaczył.

– Witam panią mecenas, słyszała pani, co tu się stało? Ponoć jakiś milicjant strzelił sobie w łeb. Widzi pani, do czego to doprowadzili ci komuniści, już sami do siebie strzelają.

– Mam nadzieję, że to pułkownik Januszek, to by mi ułatwiło życie.

– Nie, to jakiś kapitan, ale nie wiem, jak się nazywa. Ponoć bardzo gruby, do ambulansu wynosiło go ośmiu ludzi.

– Mariański? Nie, to niemożliwe – mruknęła Zuza pod nosem. – Ten durny pyszałek był za bardzo wpatrzony w siebie, żeby targnąć się na własne życie. To musiał być ktoś inny. Powiada pan, że do ambulansu go nieśli? To znaczy, że jeszcze żył.

– Łapiduchy, ci, co go ładowali, mówili, że już po nim. Gęba potrzaskana, że aż trudno patrzeć. Zabrali go do szpitala, żeby nie było, że samobójca. Jutro będzie w gazecie, że to zawał. Zobaczysz pani, że mam rację. A co u pani? Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Już dawno nie spotkaliśmy się na rybach.

Zuza zapaliła ekstra mocnego i głęboko się nim zaciągnęła.

– Brakuje mi czasu na wędkowanie, mam kilka trudnych spraw i trochę problemów. Właśnie przegoniłam współnika. Teraz muszę sobie to jakoś poukładać.

– To mecenas Kowalski już nie ma kancelarii przy Tumskiej?

– A co? – Spojrzała na niego zdumiona. – Jest pan jego klientem? Nic o tym nie wiedziałam.

– Ależ, pani Zuzo, no gdzie tam. Ja od lat nie jestem z prawem na bakier, ale pani były wspólnik moją kuzynkę rozwodzi. Mówiłem, żeby poszła do pani, ale jej koleżanka go wzięła i bardzo jej polecała.

– No i dobrze, ja i tak mam za dużo klientów, a jak słyszę o następnym rozwodzie, to dostaję torsji. Chyba nikt w Płocku nie uwolnił tylu kobiet z pęt małżeństwa co ja. Powinnam dostać jakiś medal.

– Jeśli się pani takiego spodziewa od księży, to marne szanse.

– Od nich nigdy niczego się nie spodziewam i nie spodziewałam. Oni są jak grabie, wszystko grabią do siebie, a odnośnie do poglądów na temat małżeństwa, to żyją jeszcze we wczesnym średniowieczu. Zresztą i w innych sprawach też jest nie lepiej. Wiem, że gdyby mogli, toby mnie spalili na stosie, ale mają pecha, to jest dwudziesty wiek i lud nie jest już tak ciemny jak kiedyś.

Neurochirurg stał nachylony nad stołem operacyjnym. Obok niego kręcił się anestezjolog. Słysząc było świdrujący w uszach odgłos aparatury medycznej. Na salę zajrzała jakaś kobieta w białym fartuchu. Coś szepnęła do jednej z pielęgniarek. Ta podeszła do lekarza.

– Panie doktorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale na korytarzu czeka komendant milicji, niecierpliwi się i co mają mu powiedzieć?

– Żeby spierdalał – warknął. – Nie truj mi tu dupy, chyba widzisz, że operuję. Dziwię się, że pacjent jeszcze żyje, rokowania kiepskie, więc raczej nie dożyje do końca zabiegu. Możecie dzwonić po doktora Ludwickiego. Pewnie niebawem przekażę mu tego pacjenta.

Ponownie nachylił się nad Mariańskim. Nagle spojrzał na anestezjologa.

– Kurwa mać, co się dzieje? On mi się budzi, chyba się poruszył. Zaraz, coś szepnął, chyba „Lewandowska”. Zróbcie coś, zwiększcie narkozę!

Odczekał chwilę i kontynuował wydlubywanie z twarzy drobnych kawałków kości i fragmentów zębów. Usuwał też skrzepy krwi.

– Zetrzyj mi pot z czoła – wydał polecenie instrumentariuszce.

Zuza, idąc do domu, wstąpiła do sklepu mięsnego. Kierowniczka obiecała zostawić dla niej kilogram kielbasy śląskiej i słowa dotrzymała. Borys będzie szczęśliwy. No cóż, zasłużył na specjalną nagrodę i chyba jej dozgonną wdzięczność.

Ledwo stanęła w drzwiach, pies skoczył na nią przednimi łapami, próbując polizać ją po twarzy.

– Tylko nie to! – krzyknęła na niego, wciąż mając przed oczami przegryzioną grdykę ubeka, jak i jego odgryzione klejnoty.

– Kuuurwa maaać! Jeeeść! Kuuurwa maaać jeeeść!

Zuza zbliżyła twarz do prętów klatki, spoglądając na papugę.

– Poczekaj na swoją kolej, teraz jest czas bohaterów. Owszem, kiedyś mi dupę uratowałaś, ale musisz przyznać, że cię po tym zdarzeniu przez blisko rok wyjątkowo hołubiłam.

– Suuuka! Suuuka! Kuuurwa maaać! – wydarła się Zgaga.

– A drzyj się ile chcesz, uważaj tylko, żebym cię nie potraktowała tak jak Kowalski swoją pierzastą poczwarę, żebyś nie skończyła w brytfannie, na dodatek nadziana jabłkami.

Papuga nagle zamilkła. Zuza, zdumiona, pokręciła głową.

– Kurwa mać, ty naprawdę wszystko rozumiesz.

Zadzwoił telefon.

W słuchawce usłyszała męski, zupełnie jej obcy głos.

– Czy mam przyjemność z panią Lewandowską?

– Panie kochany, faceci uciekają ode mnie, jakbym była zadzumiona, więc to raczej wątpliwa przyjemność, a zatem nie pierdol mi takich frazesów. O co chodzi?

– Teraz poznaję, to ty, Zuza. Nikt inny nie ma tak ciętej riposty.

– Może i Zuza, ale nie dla każdego. Może się, łaskawco, przedstawić, bo inaczej zaraz pierdolną słuchawką o widełki jakem Lewandowska. A zatem, kto dzwoni?

– Tu Andrzej, nie poznajesz mnie?

– Kurwa mać, dosyć tej zgadywanki, Andrzejów to znam na pięćki, oczekuję czegoś bliżej, tylko się streszczaj, bo moja cierpliwość się kończy.

– Cała Zuza. Andrzej Dyszy, razem studiowaliśmy, byliśmy w jednej grupie. Teraz kojarzysz?

No tak, pewnie, teraz go sobie przypomniła. Jajcarz był z niego, jakich mało i fajny kolega. Nie widzieli się od studiów, a zatem to już szmat czasu.

– Co u ciebie? Dalej kisisz się w Łodzi czy wyjechałeś do Wrocławia, tak jak planowałeś? Pamiętam, że zamierzałeś aplikować u Garlickiego, najlepszej tamtejszej papugi, a później miałeś otworzyć własną kancelarię.

– Niestety, proza życia, wszystko wzięło w łeb. Na aplikaturę się nie dostałem. Tam było miejsce tylko dla dzieci adwokatów, no i w końcu zostałem prokuratorem.

– I teraz wsadzasz opozycjonistów? Ilu już przez ciebie garuje? Jak wyglądają twoje statystyki? Pochwal się.

– Na szczęście nie mam z tym nic wspólnego. Musimy się koniecznie spotkać, powspominać stare czasy. Może skrzykniami całą naszą grupę? Byłoby świetnie.

– Raczej na to nie licz. Wojtek wyjechał do Anglii, Ulka do Ameryki, a Aneta wyszła za Szwajcara i mieszka w Lozannie. Reszta porzrucana po Polsce, ale teraz podczas wojny marny z nimi kontakt, a właściwie żaden.

– Słuchaj, mam do ciebie prośbę.

– Domyślam się, bo głupia nie jestem, inaczej pewnie byś nie zadzwonił. Ciekawi mnie, z czym przybywasz, no bo co może chcieć prokurator z dużej metropolii od prowincjonalnej adwokacyny?

– Nie bądź taka skromna, w naszych kręgach dużo się o tobie mówi. Jesteś gwiazdą.

– No pięknie, byle nie czerwoną, bo mi się to źle kojarzy. Dobrze się mówi czy źle?

– Oczywiście, że dobrze, choć krytyków też znajdzie się kilku, ale to nieliczni, ci, co w kieszeniach noszą czerwone legitymacje.

– Dobra, przestań mi już tu kadzić, tylko wal prosto z mostu, o co chodzi.

– Mam taką dziewczynę, zdolna jak diabli, dopiero co skończyła prawo. A właśnie, zapomniałem spytać, czy masz jakiegoś aplikanta?

No tak. Teraz wszystko jasne.

– Dalej nie musisz mówić, bo wiem, do czego zmierzasz. Nie mam aplikanta i nie miałam go w swoich planach.

– Może czas zmienić plany? Dziewucha bystra jak cholera, nie pożałujesz.

– Już żałuję – odparła z rezygnacją. – Skąd ona jest?

– No właśnie, jest z Płocka.

– Czyli mam wyhodować sobie konkurencję, następną sukę palestry? Dobrze to wykoncypowałam czy coś pomyliłam? Jeśli tak, to mnie popraw.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Idealnie, w samo sedno! Wybacz, ale nie wierzę, że słynna Zuzanna Lewandowska boi się konkurencji. Ty, moja droga, jesteś niepowtarzalna.

– Przestań już pierdolić, jak słyszę takie bzdety, to zaczynam mieć odruch wymiotny. Zgoda, przyślij mi tu tego jeszcze nieopierzonego adepta prawa, a sama go ocenię. Zastrzegam tylko, że jak mi się nie spodoba, to nici z aplikantury.

– Oczywiście, ale o to jestem spokojny, polubisz ją. Znam ciebie dobrze, a ona mi bardzo ciebie przypomina.

– No, ja bym tego nie była taka pewna, mój drogi. Zmieniłam się przez te lata. Stałam się zgorzkniałą starą babą. System polityczny i podli faceci

wypalili moją duszę, i to do cna. Została już tylko skorupa, niczym u żółwia.

– No właśnie, taki młody duch wniesie dużo dobrego do twojego życia.

– Słuchaj, zgodziłam się, a ty, zamiast być mi wdzięczny, to zaczynasz mnie wkurwiać. Ma być u mnie za dwa dni w kancelarii, adres pewnie już zna, powiedzmy w południe. Tylko niech się nie spóźni, bo tego nie cierpię. A teraz muszę kończyć, bo mi zupa wykipi – skłamała. Przynajmniej to był dobry pretekst do zakończenia rozmowy.

– Zadzwoń za tydzień – usłyszała jeszcze, nim odłożyła słuchawkę.

– Ciekawe po co? – mruknęła pod nosem i udała się do kuchni. Dziś nie miała ochoty na restauracyjne żarcie, a tym bardziej barowe. Postanowiła zrobić sobie jajka sadzone na boczku, bo to nie wymagało wyjątkowej wiedzy kulinarnej, która od zawsze była jej obca. Myśli wciąż miała zaprzątnięte zamachem na jej życie. Czy interwencja Borysa doprowadzi do tego, że Januszek odpuści, czy też wynajmie następnego zbira? Trudno żyć, wciąż oglądając się za siebie, właściwie się nie da. O co tak naprawdę chodzi z tą bibliotekarką? Tajemniczy nieznajomy nic jej nie zdradził. Widocznie uważał, że sama dojdzie do sedna sprawy, a ona wciąż dreptała w miejscu. Musi pogrzebać w archiwach, popytać emerytowanych pracowników biblioteki, może ta kobieta z kimś się przyjaźniła. Jej ojciec często powtarzał, że zawsze jest ktoś, kto wie więcej niż inni. Problem w tym, jak go znaleźć, i to po tylu latach? Nagle na jej twarzy ukazał się szelmowski uśmiech, przecież będzie mieć czeladnika, niech się wykaże.

– Siostró, proszę podać mi skalpel.

Neurochirurg już czwartą godzinę operował milicjanta, a tamten jak na złość wciąż żył.

– Nic nie rozumiem – mamrotał lekarz pod nosem, grzebiąc rannemu w mózgu. – Nigdzie nie widać kuli. Przecież sobie w łeb strzelił. Gdzie ona, do cholery, jest?

– Panie doktorze, czemu ten biedak ma tak gładki mózg? Czy to prawidłowe? – spytała pielęgniarka. – Bo mnie uczyli, że normalnie jest pofałdowany.

– Faktycznie, jest nietypowy. Kiedy ten milicjant wyzionie ducha, to jego mózg wrzucimy do słoja i zalejemy formaliną. Będzie nowy eksponat do naszego laboratorium. Ja już nie potrzebuję pomocy, więc proszę teraz pójść do pana Edzia do magazynu i poprosić o duży słoje i formalinę. Choć... – rzucił okiem na otwartą czaszkę – wystarczy średniej wielkości.

Zuza od dawna wybierała się do proboszcza, ale zawsze wypadało jej coś ważniejszego. Miała do niego interes, a konkretnie chodziło o remont grobowca wujostwa. Musiała przedłużyć dzierżawę miejsca, zanim kamieniarz wejdzie z robotami. Cmentarz przy Kobylińskiego od zawsze był własnością fary. Dziś miała więcej czasu i postanowiła to załatwić. Wchodząc na schody, słyszała odgłosy perkusji. Z tego wywnioskowała, że proboszcz musi mieć już nieźle wlane, tylko wtedy tak pastwił się nad bębnami i talerzami. Drzwi od mieszkania były otwarte, więc nawet się nie pofatygowwała, żeby zapukać, tylko od razu weszła do środka. Wszędzie było siwo od dymu papierosowego. Duchowny nie był sam, pił i grał w towarzystwie innego księdza, chłopca zwalistego, wielkiego niczym szafa trzydrzwiowa. Tamten męczył struny gitary. „Męczył” to było trafne określenie. Wyglądało to tak, że jak wypije kolejnego kielicha, to wszystkie powyrywa z instrumentu. Proboszcz na widok Zuzy wyraźnie się ucieszył, a co najważniejsze – przestał grać i chwalał mu za to.

– Oj, widzę, że muszę pójść po jeszcze jeden kieliszek, a koniak mam przedni. To prezent od kolegi. – Wskazał nieznanego duchowego. – Proboszcz z Torunia z parafii Świętego Jakuba, Kamil Maliszewski.

Zuza zdumiała się, co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Przecież to właśnie jego szukała na Cholerce!

– Może się znacie, bo ksiądz Kamil wywodzi się z Płocka. Tu skończył szkoły i seminarium duchowne.

– Nie, ale bardzo chciałam poznać księdza. Nazywam się Zuza Lewandowska.

Spojrzał na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy, co oznaczało, że nie przekazano mu informacji od niej.

Wypili w milczeniu, zapalili.

– Wiem, że ksiądz znał Józefinę Sałacką. Chciałabym o niej porozmawiać – rzekła nagle, wbijając w Maliszewskiego natarczywe spojrzenie.

Dłoń, w której trzymał kieliszek, zadrżała mu tak silnie, że ulało się sporo koniaku. Był kompletnie zaskoczony.

– Czemu pani o nią pyta? Ona już od wielu lat nie żyje. Panie, świeć nad jej duszą. – Przeżegnał się.

– Interesują mnie okoliczności jej śmierci. W tej sprawie jest sporo znaków zapytania.

– Nie rozumiem. O ile wiem, to sama sobie odebrała życie.

– Taka jest wersja oficjalna, ale to nie znaczy, że tak było. Ksiądz znał ją dobrze, nawet bardzo dobrze. Chciałabym się czegoś o niej dowiedzieć. Z kim się przyjaźniła? Jaka była? Czemu się targnęła na własne życie? Czemu rozpadł się wasz związek?

Twarz księdza Kamila przybrała wyraz zaniepokojenia.

– Widzę, że sporo pani wie, za to ja nie wiem, czy jest sens rozdrapywać zabliznione rany. Życia jej ani pani, ani ja nie zwrócimy. Teraz możemy się tylko modlić za jej duszę.

– Ja się nie modlę, więc wolę zrobić coś innego, czyli ustalić prawdę. Słyszałam, że jeszcze dzień przed śmiercią robiła plany na przyszłość, była wesoła, a następnego dnia już nie żyła. Czy to nie dziwne?

– Hmm, ja się z nią widziałem może tydzień wcześniej. Spotkaliśmy się w kawiarni PTTK. Chwilę rozmawialiśmy i poszła.

– O czym rozmawialiście?

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– To przecież dwadzieścia lat, jak mam to pamiętać?

– Proszę nie żartować. – Zuza nie dała się zbić z tropu. – Takiego kitu nie przyjmę. Ostatnie słowa ukochanej osoby pamięta się do śmierci. Rzuciła księdza i dlatego ksiądz wrócił do seminarium. Mam rację?

Zaległa kłopotliwa cisza. Proboszcz dźwignął się znad perkusji.

– Muszę pójść na minutkę do kancelarii, a wy sobie tu pogadajcie. – Popatrzył znacząco na księdza Kamila. – Z nią możesz rozmawiać szczerze. Ona jest lepszym strażnikiem tajemnicy niż niejeden spowiednik. Znamy się od lat, i to jak dwa łyse konie.

Zostali sami. Zapalili. Zuza cierpliwie czekała, aż się tamten odezwie.

– Tak, to prawda, rzuciła mnie – wyszeptał po chwili drżącym głosem. – W sumie miała rację, byłem wobec niej zaborczy, momentami brutalny. Do dziś nie wiem czemu, bo z natury jestem bardzo spokojny. W jej obecności coś we mnie wstępowało. Później nie było końca przeprosinom i obiecywaniu poprawy. Wszystko na nic, bo nie potrafiłem inaczej jej traktować. Jakiś diabeł wciąż we mnie tkwił i dlatego po rozstaniu ponownie zwróciłem się w stronę Kościoła.

– Tak też bywa, w każdym z nas drzemią demony, tylko nie zawsze dają o sobie znać. Proszę mi powiedzieć: czy ktoś się koło niej kręcił? Może jakiś inny mężczyzna?

– Był ktoś, mówiła, że pomaga jej dorobić do pensji. Bibliotekarka nie miała wysokiego uposażenia. Chciała wpłacić pieniądze do spółdzielni na mieszkanie. Mówiła, że razem tam zamieszkamy.

– Jak się nazywał ten kolega? Gdzie pracował?

– Nic więcej nie wiem. Nazwiska nigdy mi nie wyjawiała. Chyba na imię miał Staszek, ale głowy nie dam.

– Spotkał go ksiądz? Czy tylko znał z opowieści?

– Raz się natknąłem na niego, jak niespodziewanie przyszedłem do Józki. Coś gorączkowo omawiali, ale po moim przybyciu urwali temat.

Z fragmentu rozmowy, który usłyszałem, wynikało, że chodzi o jakieś pieniądze. Nie wiem jednak, kto komu był je winien, on jej czy na odwrót.

– Poznałby go ksiądz teraz po tylu latach?

– Nie wiem, być może. Wszystko zależy od tego, jak się zestarzał. Jedni ludzie nic się nie zmieniają, a drudzy wyglądają zupełnie inaczej.

– Mam jeszcze jedno pytanie: gdzie Józefina została pochowana? Chciałabym zobaczyć jej grób.

– Leży na prawosławnym, przy Norbertańskiej, tuż przy kaplicy, tak że łatwo tam trafić.

– Ksiądz tam zagląda?

– Owszem, nawet często, i nad jej mogiłą modlę się za jej duszę.

– Czy kiedykolwiek ksiądz zauważył, żeby ktoś nieznajomy kładł tam kwiaty lub zapalił świeczkę?

– Nie, poza jej siostrą i mną nikt nie odwiedza jej grobu. Tyle razy tam byłem, że mogę to stwierdzić z całą odpowiedzialnością. Może jeszcze po kieliszeczku?

– Czemu nie. A nie domyśla się ksiądz, jak Józefina sobie dorabiała? Pracowała jeszcze gdzieś na pół etatu?

– Nie, na pewno nie. Przyznam szczerze, że sporo się nad tym zastanawiałem, ale nie ustaliłem, o co tam naprawdę chodziło.

– Nie rozumiem. Rozmawiałam z jej siostrą i ona się zarzekała, że tamta nic po sobie nie zostawiła. W takim razie co się stało z jej oszczędnościami?

– Nie mam pojęcia. Może siostra tak twierdzi, bo nie odprowadziła podatku od spadku?

Zuza pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Może i tak.

Trzasnęły drzwi i do pokoju, głośno sapiąc, wkroczył proboszcz.

– Muszę ograniczyć jedzenie, bo za ciężko mi chodzić po schodach. Tylko jak to zrobić, kiedy gospościa tak świetnie gotuje?

– Może trzeba ją zwolnić? – zażartowała Zuza.

– Co ty, kobieto, opowiadasz? Nie daj Boże. Widzę, że szatan przemawia twoimi ustami. – Na powrót usiadł przy bębnach. – Może zagramy we troje? Zuza, zagrasz na fujarce?

– To chyba zły pomysł – odparła. – Lepiej już pójdę.

Wracając do domu, natknęła się na Tomaszka, sikał na ścianę kamienicy. Nim się zorientował, dopadła go i pociągnęła za ucho do góry. Chłopak zawył z bólu.

– Sukinsynku, nie wiesz, gdzie się załatwiać? Mam ci tego małego fajfуска urwać? – ryknęła na niego.

– Boli! Boli! – krzyczał.

– I dobrze, bo może w końcu coś ci trafi do tego pustego kapucyna. Uważaj, bo zaraz zawołam milicjanta, tego, co stoi przy kiosku Ruchu, to ci na dodatek plecy pałką wygrzmoci, tak dla zapamiętania.

W końcu zlitowała się i poluzowała chwyt; Tomaszek wyrwał się jej i z głośnym płaczem czmychnął do domu. Nagle usłyszała przeraźliwy krzyk kobiety. Jakaś elegantka w jasnym płaszczu, cała roztrzęsiona, stała na chodniku ze smyczą w dłoni i pokazywała coś palcem. Zuza spojrzała w tym kierunku, a tam rozgrywała się scena co najmniej gorsząca i na dodatek prawdziwy psi mezalians, bowiem Borys dosiadł białej pudlicy niczym jeździec rumaka i starał się usilnie przedłużyć gatunek. Natychmiast zrobiło się małe zbiegowisko, jedni zaczęli psu kibicować, inni wzięli stronę właścicielki pudła. Tylko patrzeć, jak przyplącze się milicja. Należało zakończyć tę orgię, i to szybko, bo przyjdzie jej płacić alimenty. Zuza podeszła do Borysa, chwyciła go za obrożę i odciągnęła od ukochanej, tym samym kończąc widowisko.

– Ty cholerny erotomanie, jeszcze jeden taki numer, a każę cię wykastrować. Wystarczy mi własnych kłopotów. Wiem, że mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności, ale nie przeginaj. Wszystko ma swoje granice. Zrozumiałeś?

W odpowiedzi polizał ją po dłoni. Chyba zrozumiał.

Lekarz opuścił salę operacyjną; był okrutnie zmęczony. Zabieg na otwartym mózgu trwał blisko dziesięć godzin, dziesięć godzin stania na nogach w pozycji bardzo obciążającej kręgosłup.

Na korytarzu podszedł do niego dyrektor szpitala. Musiał tu na niego czekać.

– Doktorze Torbicki i jak, już umarł?

– Niestety nie. Sam się temu ogromnie dziwię. Ale jak tu pracować, kiedy rentgen zepsuty? Wprawdzie go naprawiali, ale należało pilnie operować. Może już działa. Trzeba go tam przewieźć i sprawdzić, gdzie utkwiała kula, bo mimo że rozgrzebałem mu pół mózgu, poza odłamkami kości nic nie znalazłem.

– No właśnie ja w tej sprawie pana łapię. Nie ma kuli.

Lekarz spojrzał, zdziwiony, na zwierzchnika.

– Co proszę? Nie rozumiem, przecież strzelił sobie w łeb. Czaszka jest paskudnie pogruchotana.

– Sprawdzono broń i okazało się, że kula utknęła w lufie, bo podobno syf tam był, gdyż pistolet od dawna nie był konserwowany. Ponoć to się zdarza bardzo rzadko, ale jednak. W efekcie rozsadziło pistolet i stąd te rany.

– Kurwa mać. To wszystko to jeden wielki skandal! Cholera, czemu nikt mi tego nie powiedział? – Neurochirurg zatrzęsł się ze złości. – Tyle godzin pracy i wszystko na marne. Gdybym wiedział, to nie grzebałbym mu tak agresywnie w głowie i być może miałby szansę przeżyć.

– Ja też nic nie wiedziałem. Proszę się nie denerwować, opiszemy wszystko w papierach tak, że nikt się nie przyczepi. Tylko zanim pan wyjdzie do domu, to trzeba go będzie jakoś do kupy złożyć, tak na wszelki wypadek, gdyby rodzina chciała otworzyć trumnę.

– Już go oporządziłem. No niestety, ale zębów, które stracił, nadsztukować mu się nie da. Aha, mam sprawę. – Nachylił się do ucha dyrektora. – Chcę tylko po cichu wyjąć jego mózg i zalać go w słoju

formaliną. To tak na pamiątkę. Sporo się nad nim natrudziłem, a niepotrzebnie.

– Dobrze, ale ja nic o tym nie wiem i później proszę tak zaszyć wszystko, żeby nikt nic nie zauważył.

Lekarz puścił do niego oko.

– Oczywiście, śladu nie będzie. Jak wykituje, to pielęgniarka zaraz do mnie zadzwoni, wtedy przyjadę i dokończę robotę.

– A tak spytam z ciekawości: po co panu jego mózg?

– To rzadki przypadek, bo jest gładki niczym pupa niemowlaka. Wciąż się głowię, jak ten człowiek w ogóle funkcjonował. Mało tego, był oficerem.

– No tak, to faktycznie jakiś fenomen.

Zuza zerwała się z łóżka już wcześniej rano. Idąc do baru mlecznego na śniadanie, jak zwykle kupiła „Trybunę Mazowiecką”. Od zawsze, zanim przeszła do lektury bieżących informacji, najpierw zaglądała do nekrologów. Tym razem z pośpiechu o mało nie podarła gazety, ale nie znalazła żadnego znajomego nazwiska, co dziwne, zabrakło też nekrologu milicjanta, który palnął sobie w łeb. Ciekawa była, kto to, i wczoraj wieczorem zadzwoniła w tej sprawie do Nowaka, ale nie zastała go – wyjechał pilnie do Łodzi. Od razu się domyśliła, w czym rzecz. Pewnie teraz w jakimś hotelu obściskuje się z tą dzierlatką poznaną w sanatorium.

Kiedy piła ostatni łyk kakao, nawinął się Piosik. Ostatnio wciąż na niego wpadała.

– Kurwa mać, śledzisz mnie czy co? Wszędzie cię pełno – zdenerwowała się.

– Ja? – zapytał ze zdziwieniem. – Pani mecenas, nigdy w życiu. Może ma pani poczęstować papierosem? Akurat mi się skończyły.

– Mam, ale ci nie dam, chyba że mi powiesz, który milicjant palnął sobie wczoraj w łeb.

Piosik wybałuszył na nią oczy, nie kryjąc zdumienia.

– To pani nie wie? Nie wierzę.

– Kurwa mać, a skąd mam wiedzieć? Z kakaowych fusów nie udało mi się tego wywróżyć. Mów, do cholery, kto to? Znam go?

– To ten skurwiel Mariański.

– Co? – wydukała. – Nie wierzę! Niemożliwe, ten wieprz był za bardzo zadufany w sobie, żeby to zrobić.

– Jak matkę kocham, pani mecenas, to on. Chłopaki z sąsiedztwa z radości pili na melinie przez całą noc, aż jednego zabrali na płukanie żołądka.

– Przestań mi tu wciąż pierdolić o matce. Co się mogło stać, że targnął się na własne życie? Fakt, było nędzne, jednym słowem gówno warte, ale mimo to jestem zaskoczona.

– Ale jeszcze nic nie wiadomo.

– Mów, o co chodzi. Co masz na myśli? On to był czy nie on?

– On, ale wciąż dycha. Siora koleśka pracuje na neurologii. Ten doktor Torbicki cały dzień go operował i ponoć, owszem, do kupy poskładał, ale nie ma szans. Teraz tylko czekają, aż walnie w kalendarz, to kwestia godzin. Podobno chcą mu wypruć mózg z czaszki i utopić go w słoiku.

Zuzie aż oczy zabłysły z podekscytowania.

– O, to ciekawe. Jeśli tak się faktycznie stanie, to musisz im go zwędzić, koniecznie. Postawię go sobie na biurku, obok popielniczki – rozmarzyła się.

– Da się zrobić, pani mecenas. Koleżanka mojej kuzynki Frani pracuje u tego lekarza, co grzebie w trupach, za połówkę załatwi inny mózg i się go podmieni.

– Bystry jesteś – pochwaliła go. – Tylko mnie nie zawieź.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów i wcisnęła mu ją w dłoń.

– Pamiętaj o mnie. Chcę to trofeum, cena nie gra roli.

– Jasne, pani mecenas, dla pani wszystko.

Zuza nawet nie zauważyła, kiedy dotarła do kancelarii, tak była zaaferowana samobójstwem Mariańskiego.

W drzwiach zderzyła się z mężczyznami w waciakach, nieśli krzesła.

– Co tu się, do cholery, dzieje? Dokąd z tym idziecie?! – krzyknęła zaskoczona.

– Przenosimy rzeczy pana Kowalskiego, już kończymy.

– A gdzie się pan mecenas wynosi?

– Na Nowy Rynek.

– No i dobrze, tam jego miejsce, na targowisku.

Weszła do siebie i zamknęła drzwi. Usiadła za biurkiem i spojrzała na portret starego Lewandowskiego. Wydawało jej się, że zmarszczył brwi. Czy to przez wyprowadzkę wspólnika?

Czemu się złości, wszak tamten sobie okrutnie zakpił z jego córki? Musiała zareagować. Zresztą ostatnio współpraca się im nie układała. Dochodziło do zatargów, pretensji przy płaceniu rachunków, wielu drobnych i poważniejszych różnic zdań. Szalę goryczy przepeliła pieczona papuga. To było perfidne i dobrze przemyślane.

Sięgnęła do szuflady po koniak i kieliszek. Wypiła. Podeszła do szafy w celu wyjęcia akt sprawy Sokalskich. Żądali od syna sąsiadów odszkodowania za rozbicie samochodu. Chłopak wykradł im kluczyki i pojechał z kolegami nad jezioro w Grabinie. Niestety nie dojechali na miejsce, bo tuż za Radziwiem auto z fasonem zaparkowało na przydrożnym drzewie. No i teraz nastał czas rozliczeń. Wyjmując teczkę, niechcący zawadziła dłonią o inną, tak nieszczęśliwie, że wyrzuciła ją na podłogę. Schyliła się, żeby ją podnieść, to znów były akta dotyczące śmierci trzech bibliotekarek. Co za zbieg okoliczności, przecież Józefina Sałacka też pracowała w bibliotece, tyle że wiele lat wcześniej. A może to nie było przypadkowe? – pomyślała. A jeśli te sprawy się w jakiś sposób zazębiają? Musiała sprawdzić, gdzie tamte pracowały, czy też w tej samej bibliotece? Zerknęła do teczki, przerzuciła kilka kartek, palcem jechała po tekście. Nagle się zatrzymał. Zuza poczuła mrowienie w kręgosłupie, czyżby miała

rację, czyżby znów intuicja miała jej pomóc w rozwikłaniu następnej zagadki? Cholera, czy to możliwe, że zabójca tych kobiet przyłożył rękę również do śmierci Sałackiej? Jeśli to seryjny morderca, to czemu zrobił sobie przerwę na tyle lat? Może siedział u czubków, a może gnił za kratkami. Wszystko to należało sprawdzić, a zatem mnóstwo pracy przed nią.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Zuza poczuła niepokój, pośpiesznie wyjęła z torebki parabellum i położyła je na blacie. Czyżby Januszek wynajął następnego zabójcę? A może to Kowalski, sukinsyn przyszedł pewnie wygarnąć jej, co o niej myśli. Słyszała czyjeś kroki, dłoń bezwiednie zacisnęła się na kolbie pistoletu. Ktoś zapukał.

– Proszę!

Do gabinetu weszła dziewczyna. Zuza odetchnęła z ulgą, przybyła nie wyglądała na mordercę. Drobna, niewysoka, z burzą ciemnych loków na głowie. Ubrana w dzinsy i krótki płaszczyk w szkocką kratę, spod którego widać było gruby wełniany sweter robiony na drutach.

– Nazywam się Jolanta Siedlecka, kilka dni temu wujek do pani dzwonił w mojej sprawie. Miałam się dziś stawić i jestem – powiedziała drżącym głosem.

Zuza nic na to nie rzekła, tylko jej się wciąż przyglądała.

– Nazywam się Jolanta Siedlecka, kilka dni temu wujek do pani dzwonił w mojej sprawie. Miałam się dziś stawić i jestem – powtórzyła.

Zuza wciąż milczała.

– Czy pani się dobrze czuje? – spytała dziewczyna, wyraźnie zaniepokojona jej co najmniej dziwną reakcją.

– A czy ja wyglądam na chorą? Zastanawiam się, czemu mam takiego życiowego farta. Czym i u kogo sobie zasłużyłam?

– Pewnie w niebie – podpowiedziała Siedlecka, nieśmiało się uśmiechając.

– Co ty mi tu pierdolisz? W jakim niebie? Wierzysz w te bzdury, które głoszą w kościołach? Nie bądź głupia.

– Mój brat jest księdzem, mój wujek również.

Kurwa mać, kogo mi on tu przysłał? Zuza jęknęła i sięgnęła po papierosy.

– Zapalisz?

– Z chęcią.

– O, to już lepiej, a może kielicha?

– Jeśli koniak, to z przyjemnością.

– No, to już całkiem dobrze, może jeszcze będą z ciebie ludzie.

Wypiły po kielichu.

– Dobry – pochwaliła dziewczyna.

– Wiem, byle czego nie piję. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Udały się do pomieszczenia po Kowalskim. Zuza stanęła w progu i zaklęła w głos.

– Kurwa mać, jak można zostawić po sobie taki syf? Trzeba tu pomalować i postawić jakieś biurko. Dobra, dziś już idź do domu, a ja to ogarnę. Sprowadzę malarza i stolarza. Zostaw mi tylko swój numer telefonu.

– Ale my nie mamy telefonu, wciąż czekamy w kolejce.

– Jak to nie macie? No tak, pierdolona komuna, wszystko jest reglamentowane. Dobra, przyjdź za dwa dni, może już będzie gotowe. Tak czy owak, to będzie twój pokój. Chociaż poczekaj, skoro i tak masz dużo czasu, to mogę cię wysłać w teren.

– W teren? Ja mam być pani aplikantką – bąknęła nieśmiało dziewczyna.

– Wiem, kim masz być, ale ja pracuję nieszablonowo. Twój wujek ci nic o tym nie wspomniał? Zresztą, jak się nie podoba, to droga wolna, tam jest wyjście. – Ostentacyjnie wskazała ręką drzwi.

– Nie, nie, w porządku. Chciałam się tylko upewnić, czy mnie pani aby nie pomyliła z kimś innym.

– A z kim miałabym cię pomylić, z hydraulikiem, a może z malarzem? Dobrze wiem, kim jesteś. Jutro rano pójdziesz do redakcji „Trybuny Mazowieckiej” i zajrzysz do wydań archiwalnych z sześćdziesiątego

drugiego. Masz wynotować wszystkie kryminalne zdarzenia z terenu Płocka. Pamiętaj, z całego roku. Kiedy to skończysz, sprawdzisz rok siedemdziesiąty siódmy i też to wynotujesz.

– Wszystko?

– Dokładnie, wszystko i pamiętaj, nic nie omiń. – Widząc mocno zawiedzioną minę dziewczyny, zaraz dodała: – Spokojnie, ja przez pierwszy tydzień donosiłam koniaki i opróżniałam popielniczki. W drugim kazano mi palić w piecu i pomalować hol. A wiesz, kto mi to zlecał? O, ten sukinsyn. – Pokazała palcem portret Ambrożego Lewandowskiego. – Tak czy owak, palić w piecu nigdy się nie nauczyłam, malowania także. Dlatego też tego ci nie zlecam. Teraz możesz już iść, bo mam sporo pracy, a zaraz muszę lecieć do sądu.

Dziewczyna ruszyła do wyjścia. Kiedy była już w progu, Zuza krzyknęła za nią:

– Zapomniałam spytać, czy lubisz psy!

– Psy? – zdziwiła się. – Tak, a czemu pani pyta?

– Mam takiego wielkiego kundla, sukinsyna erotomana, bywa, że nie ma go kto wyprowadzić na spacer, a właściwie patrząc na nową sytuację, to bywało do dziś.

– Oczywiście, jak trzeba, mogę go wyprowadzać, oczywiście jeśli mnie polubi.

– Polubi, polubi, tego jestem pewna, ale na razie tym się nie przejmuj. Mam sprzątaczkę i z reguły nią się wysługuję. Tu chodzi mi o tak zwane sytuacje awaryjne.

Zuza siedziała za biurkiem i bujała się na fotelu. Kiedy to czyniła, zawsze lepiej jej się myślało. Zastanawiała się nad związkiem Januszka ze śmiercią Sałackiej i tych trzech pracowników biblioteki. To nie miało żadnego sensu. Intuicja podpowiadała jej, że pułkownik był tym mężczyzną, o którym wspomniał ksiądz Kamil, ale jeśli nawet, to trudno będzie teraz po latach udowodnić, że w jakikolwiek sposób przyczynił się do jej śmierci. Musiało

być coś jeszcze. Coś, o czym wiedział nieznajomy darczyńca teczki Januszka.

Ktoś zapukał do drzwi. Zuza odruchowo położyła dłoń na pistolecie. Widząc nieznanego jej młodego mężczyznę, zacisnęła ją na kolbie parabellum.

– Dzień dobry, ja przyszedłem do pani mecenas Lewandowskiej.

– Proszę spocząć. – Wskazała mu krzesło.

Usiadł na jego krawędzi. Czemu klienci prawie zawsze siadają w ten sposób? – przemknęło jej przez głowę.

Gęba prostacka, ale poczuła od niego drogie perfumy, na pewno z pewexu, a zatem mimo pospolitego wyglądu to może być dobry klient.

Poczęstowała go papierosem, ale odmówił.

– Słucham pana.

– Nazywam się Jacek Niegórski i przyszedłem z bardzo skomplikowaną sprawą. Jeśli ktoś może mi w tym pomóc, to tylko pani. Dużo słyszałem o pani osiągnięciach, sukce...

– Proszę mi tu nie pierdolić takich głupot, tylko od razu przejść do sedna sprawy – przerwała mu, ostentacyjnie spoglądając na zegarek.

– Zależy mi na dyskrecji, bo pracuję w Komitecie wojewódzkim, w dziale propagandy. Chciałbym się rozwieść.

– To chyba u was nie problem. Nie potrzeba do tego kogoś takiego jak ja.

– Potrzeba, bo chodzi mi o rozwód kościelny, mój i mojej narzeczonej. – Ostatnie słowa wyszeptał, rozglądając się nerwowo.

Zuza się zdumiała. Rozwód kościelny? Owszem zdarzały się, ale to było już w gestii Watykanu, a nie świeckiego sądu. Mało tego, chciał go partyjniak, który w ogóle nie powinien ślubować przed ołtarzem. Gdyby się jego zwierzchnicy dowiedzieli, to natychmiast wyleciałby z hukiem z roboty, i to na zbity pysk. Tak było choćby z towarzyszem Janikiem. Tydzień po ślubie był już na bruku i przez dwa lata nie mógł znaleźć pracy. Od razu odechciało mu się sakramentów.

– Chciałbym, żeby pani reprezentowała mnie i moją narzeczoną. Damy wszystkie pełnomocnictwa.

Zuza przygasiła nerwowo papierosa i zapaliła następnego. Rzadko kiedy coś ją zaskakiwało, a dziś był właśnie taki dzień.

– Rozumiem, że małżeństwa nie zostały do dziś skonsumowane? – spytała pro forma, bo innej odpowiedzi niż „nie” to się nie spodziewała.

Mężczyzna wyraźnie się zakłopotał.

– Mamy troje dzieci – odparł po chwili.

– Kurwa mać, chłopie, jak mam cię rozwieść? O ile wiem, to wbrew wszystkim przepisom kościelnym. Jeśli to złożymy, to się tylko wygłupimy.

– A co pani radzi?

– Są dwie możliwości: albo zabijesz żonę, ale wtedy pójdziesz do kryminału na tyle czasu, że twoja nowa wybranka nigdy się ciebie nie doczeka, a być może wcześniej zwiędnie jej uczucie lub ona sama, albo bez rozwodu ożenisz się w innej wierze. Nie wiem w jakiej, ale jest kilka, które są wyrozumiałe dla bigamistów.

– Nie, to odpada, ja i Monika jesteśmy bardzo wierzący.

– Widać to, a szczególnie praktykujący w łóżku – mruknęła pod nosem sama do siebie.

– Proszę spróbować, proszę obiecać, komu trzeba, sporą kwotę pieniędzy, i to wolną od podatków.

– A pana narzeczoną, jeśli można wiedzieć, dzieciata?

– Ma dwójkę.

Zuza tego nie skomentowała, jedynie głośno westchnęła.

– A jaki jest powód unieważnienia małżeństw z tak licznym potomstwem? Powiem szczerze, że jestem tego bardzo ciekawa – spytała z drwiną w głosie.

– Wszystko wygasło.

– Tylko to? – wydukała ze zdumienia. – Chyba pan żartuje? Jestem srodze zawiedziona. Myślałam, że wymyślicie coś ciekawszego. A może

wasi małżonkowie uprawiali sodomie, może są satanistami? Może dopuścili się brzydkich rzeczy na swoich dzieciach? Coś takiego może by kimś wstrząsnęło, oczywiście poza mną, bo ja już chyba wszystko widziałam. „Wygasło” to jest za słabe określenie, z nim nic nie ugramy.

– To co pani proponuje?

– Jeszcze nie wiem, muszę to sobie przemyśleć. Sprawa jest nietypowa, więc wymaga nietypowych rozwiązań. Proszę przyjść za tydzień.

– Dopiero? Nam się spieszy.

– Kurwa mać, do tej pory mogliście działać po kryjomu, to dodatkowy tydzień na partyzanta chyba nie zrobi wam dużej różnicy.

Kiedy tylko mężczyzna opuścił kancelarię, Zuza parsknęła śmiechem. Do dziś nie spotkała się z czymś takim. Powiedzieć, że ci ludzie mają podwójną moralność, to było stanowczo za mało. Jako człowiek brzydziła się nimi, ale jako prawnik była ciekawa końca sprawy, bo zapowiadała się konfrontacja dwóch stron naprawdę wartych siebie. Co zwycięży? Czy pieniądz złamie wszystkie bariery, czy odbije się od ściany? Za dobrze znała życie, żeby myśleć, że sprawa jest z gruntu przegrana.

Rzuciła okiem na portret Ambrożego Lewandowskiego.

– No i co, tatuńciu, widzisz, z czym muszę się mierzyć? Wciąż mi mówiłeś, że skończę w rozwodach, ale nawet gdyby, to o takim rozwodzie będzie się mówić długo, a być może wręcz pisać w podręcznikach. To jest dużo ciekawsze niż niejedno zabójstwo. Chyba jesteś ze mnie dumny?

Wydało jej się, że się uśmiechnął. Spojrzała z niepokojem na stocka.

Albo coś jest z tym alkoholem, albo bzikuję. Nie ma innej alternatywy.

Podniosła się zza biurka, narzuciła płaszcz na siebie, wzięła torebkę i opuściła kancelarię.

Na Tumskiej natknęła się na Nowaka. Był cały czymś podekscytowany.

– A co ty taki podniecony? Aż tak ci ta dzierlatka dogodziła? – zakpiła z niego.

– Nie słyszałaś o Mariańskim? Strzelił sobie w łeb.

– Wiem o tym, ale chyba nieudolnie, bo sukinsyn wciąż żyje.

– Pistolet wybuchł mu w gębie, bo pocisk utkwiał w lufie. Mimo to ponoć jego stan jest beznadziejny.

– Jego stan od lat jest beznadziejny, a on wciąż żyje. Dokąd nie będę miała na biurku słoja z jego mózgiem, to nie uwierzę w jego śmierć.

Nowak spojrzał na nią podejrzliwie.

– Co proszę? Już coś w tej sprawie kombinujesz? Za dobrze cię znam, żeby nie brać na poważnie tego, co mówisz.

– Sądzisz, że to naganne? Wiesz, ile mi skurwiel krwi napsuł przez te lata? Nie wspomnę już o jego ciemnej przeszłości, za którą powinien dostać czapę.

– Wszystko rozumiem, ale trzymać na biurku słoje z czyjś mózgiem? To chyba coś nie tak? To nie jest zdrowe.

– Ja tak nie uważam.

– Czemu akurat on? Przecież wiesz, ilu ci krew psuło. Nie starczyłoby ci biurka na te słoiki.

– Pewnie nie, ale ten to coś zupełnie innego, choć jeszcze jeden słoik mógłby się tam znaleźć.

– Czyj mózg masz na myśli?

– To mój słodki sekret. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Myślę, że nie mój.

– Twój to by się zmieścił w musztardówce. A tak z innej beczki, co się dzieje z naszym lokalem? Mieliśmy wznowić działalność, zdaje się, że go wymalowałaś i sprowadziłaś majstra do lodówki.

– Wszystko gotowe, ale sanepid nie wyraża zgody. Ponoć zadarłaś z ich kierownikiem.

– Owszem, bo to idiota i prostak. Reprezentuję w sądzie jego byłą pracownicę. Kobieta procesuje się o przywrócenie do pracy. Wygrałyśmy w pierwszej instancji, a ten durny zakapior odwołał się do sądu wojewódzkiego. Nie ma najmniejszej szansy, żeby z nami wygrać, tylko niepotrzebnie wydłuża proces.

– No to powinnaś być zadowolona, dłuższy proces to większe uposażenie.

– Nie mam serca brać od niej pieniędzy, to biedna kobieta i ma troje bachorów na utrzymaniu.

– Jak tak będziesz postępować, to nigdy się nie dorobisz.

– A na co mi pieniądze? Nie zabiorę ich do grobu. Januszek poluje na mnie, więc liczę się z tym, że w końcu może mnie ustrzelić. Nie mam komu zapisać papugi i Borysa. Obiecuj mi, że gdyby mi się coś przytrafiło, to się nimi zaopiekujesz.

– Na mnie tu nie licz. Zresztą przestań gadać głupoty. Dasz sobie radę.

Roześmiała się.

– A nie wiesz, czy Januszek już wynajął kogoś innego? Tym razem nie dam się wziąć przez zaskoczenie, wpakuję mu kulkę, i to prosto między oczy.

Nowak rozejrzał się płochliwie, sprawdzając, czy aby nikt ich nie słyszy.

– Nie mów, że masz tetetkę tego Grenia? Jak cię z nią złapią, to się nie wywiniesz. Wpierdolisz się na amen.

– Spokojnie, mam ponemieckiego gnata. Nie jestem głupia, nie ruszałam jego pistoletu. A co? Zaginął?

– Zgadza się. Nie chcę być w skórze tego, przy którym go znajdą, bo przypiszą mu zabójstwo ubeka, a za to czapa, bez dwóch zdań.

Zafrasowała się. O tym wcześniej nie pomyślała.

– Cholera jasna. – zakląła. – Mógł ją zapieprzyć jakiś żul. Trzeba ją koniecznie odnaleźć i zniszczyć, nikt nie pójdzie siedzieć za Borysa, nawet najgorsza łajza. Muszę pilnie pogadać z Piosikiem, on ma dobre kontakty z elementem.

– A co ty masz za konszachty z tym kryminalistą? Wciąż o nim słyszę, Piosik to, Piosik tamto. W końcu przez niego napytasz sobie biedy.

– Kurwa mać, nie wtrącaj się, wiem, co robię. Chodź, odprowadź mnie do domu, to jeszcze pogadamy, bo zimno tak tu stać.

Zatrzymali się przy księgarni. Zuza wskazała palcem biografię Lenina zdobiącą główną witrynę.

– Wiesz, że dostałam propozycję spisania swoich wspomnień? Pismaki to mają tupet.

– Poważnie?! Kto ci to proponował?

– Taki tam prezesik gołowąs, chyba Bielski się nazywa. Jest prezesem spółdzielni „Kacze Pióro”.

– Znam go. To świetny facet. Kto jak to, ale ty akurat masz o czym pisać, myślę, że mogłaby nawet powstać cała seria przygód Zuzy Lewandowskiej. Pomyśl tylko, jaka by cię czekała sława. Może by nawet nakręcili o tobie serial?

– Spierdalaj! Sam pisz swoje wspomnienia. Po sanatorium masz ich pewnie sporo.

Zuza ruszyła dalej. Przy ulicy Koziej zobaczyła kilku obwiesiów. Gęby znajome, więc odważnie podeszła do nich.

– Znacie Piosika?

Jeden z nich skinął głową.

– Jak go zobaczysz, powiedz mu, że mecenas Lewandowska go szuka.

– Jasne, a ma pani może pożyczyć na browar?

– Pożyczyć to znaczy, że oddasz. Pytam kiedy? – rzekła drwiąco, sięgając ręką do torebki.

– Jak zdobędę kasę, słowo. Zaklinam się na matkę.

– Kurwa mać, wszyscy się zaklinacie na matki, aż tak ich nie znosiliście? Pewnie chciały zrobić z was ludzi i to się im nie udało.

Wybiła północ. Zuza siedziała przy biurku. Borys leżał u jej stóp, Zgaga nuciła *Międzynarodówkę*. Z popielniczki wysypywały się pety, w butelce stocka świeciło dno. Lewandowska przeglądała zawartość teczki dotyczącej zabójstwa trzech bibliotekarek. Szukała czegoś, co mogło jej umknąć, a być może naprowadziłoby ją na jakiś trop. Pierwszą kobietę znaleziono z rozprutym brzuchem w podziemiach płockiego ratusza. Nim wyzionęła

ducha, ktoś się okrutnie nad nią znęcał. Palce miała zmiażdżone młotkiem, twarz poprzypalaną papierosami, kolana potrzaskane; morderca nawet sutkom nie przepuścił, obciął je, według patologa za pomocą sekatora ogrodniczego. Drugą ofiarę znaleziono w poczekalni dworca autobusowego przy ulicy Jachowicza. Oskalpowana, uszy odcięte, paznokcie u dłoni powyrywane, w krocze wbita noga od krzesła. Trzecią bibliotekarkę znaleziono w zoo przy grzybku, dobrze znanym wszystkim płocczanom. Poćwiartowana, wydłubane oczy, w uszy wbite druty ze stali żebrowanej. Trzeba powiedzieć, że zabójca miał wyobraźnię – zanim jego ofiary zeszły z tego świata, okropnie cierpiały. Czemu się tak nad nimi pastwił? To było prawdziwą zagadką. Zuza, mimo że ślęczała nad tym już kilka godzin, do niczego sensownego nie doszła. W końcu włożyła papiery na powrót do teczki, a tę schowała do szuflady. Nim ją zamknęła, jej wzrok padł na fioletową okładkę małej książeczki. To przecież pamiętnik z dzieciństwa. Otworzyła go.

„Na górze fiołki, na dole bratki, a my się kochamy jak dwa gołąbki”
Henia z drugiej b.

„Na górze róże, na dole maki, niech cię kochają wszystkie chłopaki”
Anka z trzeciej a.

Już nie pamiętała tych koleżanek, ale wpisy zostały. Uśmiechnęła się, patrząc na te kulfoniaste litery, na kleksy z atramentu. Ile to lat minęło? Szmat czasu.

Od razu pomyślała o propozycji prezesa Kaczego Pióra. Czy na pewno wie, z czym do niej przyszedł? Czy ktoś chciałby czytać wycieczki o jej życiu i picciu przeplatanych papierosami oraz dochodzeniami? O czym miałyby pisać? O rozwodach, o damskich bokserach czy o bezdomnych łajzach, których broniła za darmo? Idiota, niech się stuknie w ten zakuty redaktorski łeb. Nie ma mowy, nie będzie wspomnień. Nie opowie zwykłej gawiedzi historii swojego życia, i to za żadne pieniądze.

Pielęgniarka zajrzała na intensywną terapię. Podeszła do łóżka, na którym leżał Mariański. Aparatura pikała ospale, a zatem pacjent jeszcze dychał. Kobieta zerknęła na stojący na parapecie duży słój z formaliną. Doktor Torbicki musi jeszcze poczekać. Nachyliła się nad następnym pacjentem.

Nagle kapitan usiadł.

– Lewandowska! – krzyknął na całą salę i bez przytomności osunął się z powrotem na łóżko.

Pielęgniarka wystraszyła się okropnie. Nieprawdopodobne, to było prawie jak zmartwychwstanie. Podbiegła do Mariańskiego. Znow był nieprzytomny, ale wciąż żył. Należało o tym zdarzeniu poinformować lekarza, i to pilnie. Wybiegła z sali.

Zuza, schodząc po schodach, natknęła się na pana Tadzia.

– Witam, sąsiedzie, dawno pana nie widziałam. Już myślałam, że i panu komuchy dobrały się do dupy. Ostatnio zamknęli sporo porządných ludzi, i to pod byle pretekstem. Sukinsyny, chcą naród zastraszyć.

– Byłem chory, dopadła mnie grypa. Miałem blisko czterdzieści stopni gorączki i cholernie się bałem, że będąc w malignie, wygadam się żonie, że przechowuję część pani teczek. Oj, dałaby mi popalić!

– Ciszej, panie Tadziu. – Zuza nerwowo rozejrzała się po korytarzu, ale byli sami. – W tym kraju to nawet ściany mają uszy.

– Pani Zuzo, jak już pani o tym wspomniała, to ktoś panią widział, jak ciągnęła pani po chodniku zwłoki tego ubeka.

Zuza zbladła jak ściana. Cholera, tylko nie to. Z tego się nie wytłumaczy.

– Kto widział? – wydusiła z trudem przez zaciśnięte gardło.

– Spokojnie, tylko ja. Nie mogłem spać, więc poszedłem do garażu przetrzeć karoserię mojego fiata. Widziała go już pani? Piękny, błyszczący chromem i pachnie nowością.

Uff, odetchnęła z ulgą. Wielki kamień spadł jej z serca, bo wiedziała, że sąsiad nie piśnie słowa, i to choćby pasy z niego darli.

– Nie. Co tym razem u pana zaparkowało? Pan to ma chody jak mało kto. Puścił do niej oko.

– Wiem, z kim polować. A tak na serio, to z przedpłaty. Tym razem mam malucha. Wie pani, my już sami, więc nie potrzebujemy dużej gabloty, a i pali niewiele.

– Skoro mnie pan złapał na gorącym uczynku, to może widział pan, kto ukradł trupowi spluwę? Muszę go koniecznie odnaleźć, i to pilnie.

– Niestety, ale nie. Wolałem szybko wrócić do siebie, żeby uniknąć później mnóstwa dziwnych pytań. Muszę przyznać, że pani niczym magnes przyciąga różne podejrzone elementy i kuriozalne zdarzenia. Ja sam wiem o tylu, że mógłbym napisać o tym książkę.

– Co proszę? – wydukała.

– Spokojnie, żartowałem. Nie potrafiłbym.

– To mi ulżyło, bo tylko tego mi brakowało do szczęścia, żeby mnie najlepszy sąsiad obsmarował. Idę już, bo zaraz do kancelarii ma przyjść malarz i ochlapać ściany. Teraz urzęduję tam sama, więc muszę go wpuścić, do widzenia.

Był wieczór. Zuza siedziała w kancelarii i czekała, aż pani Ela skończy sprzątać po robociarzach. Przeglądała dokumenty związane ze sprawą rozwodu kościelnego swojego nowego klienta. Przygotowała odpowiednie pisma, bo następnego dnia wybierała się na rozmowę do biskupa. Zastanawiała się, jaka kwota zjedna jej poparcie dostojnika kościelnego. Równowartość dwóch dużych fiatów wydawała się rozsądną ceną. Chyba bardziej pazerny nie będzie. Wczoraj konsultowała sprawę z proboszczem z fary i to on jej tyle poradził.

W drzwiach niespodziewanie pojawiła się Jolanta Siedlecka. A ona tu skąd?

– Mam wszystko – zakomunikowała z dumą w głosie.

– To znaczy? Nie rozumiem. Mów, o co chodzi, bo tego nie łapię.

– Byłam w archiwum i tak jak pani kazała, wynotowałam te wszystkie przestępstwa.

Wyjęła z siatki gruby brulion i położyła go na blacie biurka tuż przed nosem zdumionej Zuzy. Ta bez słowa go otworzyła. Był zapisany prawie do połowy, odnotowane zostało każde zdarzenie, dokładna data. Nie było się do czego przyczepić, a to już niedobrze, bo aplikanta trzeba na początku przeciągnąć pod kilem, tak było od zawsze, a tradycja rzecz święta.

– Czy mogę już iść? – spytała dziewczyna.

– Idź, ale bądź jutro z samego rana. Widzę, że się postarałaś.

– O siódmej?

– Kurwa mać, o jakiej siódmej? Zwariowałaś czy co? Myślisz, że się będę zrywać w środku nocy, żeby ci otwierać kancelarię? Bądź o dziesiątej.

Po kwadransie pani Ela skończyła pracę, więc i Zuza mogła się wreszcie zwijać do domu.

Na dworze było już ciemno. Owszem, latarnie świeciły, ale we wszechobecnej zapaści energetycznej jedynie co druga, a i czystość ich kloszy pozostawiała sporo do życzenia, więc panował półmrok. Zuza szła z duszą na ramieniu, bo w tej ciemnicy w każdej chwili znów mógł ją ktoś niespodziewanie napaść. Jedną dłoń trzymała w kieszeni płaszcza, na gotowym do strzału parabellum, a w drugiej dzierżyła papierosa, którego nerwowo ćmiła. Nigdy wcześniej ta trasa jej się tak nie dłużyła. W końcu dotarła szczęśliwie do celu. Żule podpierający ściany jej kamienicy, których z reguły przeganiała, tym razem dali jej namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Nawet posłała im uśmiech. Weszła na schody i nagle coś się pod jej nogami poruszyło, przemknęło. Z głośnym krzykiem odskoczyła jak oparzona do tyłu. To przecież szczur, obrzydlistwo. Wtem usłyszała chichot, po głosie od razu poznała Tomaszka. Wyjęła latarkę z torby i oświetliła korytarz. Teraz widziała wszystko dobrze, cholerny gnojek do ogona zdechłego szczura przywiązał długi sznurek i nim pociągał.

– Ty mały sukinsynku, miarka się przebrała! – ryknęła wściekła i ruszyła w jego kierunku.

Chłopak dopiero teraz zorientował się, że znów zadarł z tą nielubianą sąsiadką, rzucił postronek i czmychnął na górę. Zuza, kipiąc z wściekłości, podążyła za nim. Kiedy już go prawie chwyciła za kołnierz, niespodziewanie poślizgnęła się na schodku i wywinąwszy efektownego kozła, wylądowała na półpiętrze.

Chciała wstać i wtedy poczuła nieprzyjemny zgrzyt w lewym kolanie. Ostrożnie, trzymając się ściany, dowlokła się do mieszkania, cały czas klnąc w duchu dowcipnisia. W kuchni w szafce miała maść na stłuczenia, więc zaraz ją sobie zaaplikowała, i to bardzo grubą warstwą. Oby szybko przeszło, bo następnego pobytu w szpitalu chyba nie przeżyje. Jeszcze dobrze pamiętała, jak tam trafiła po katastrofie kolejowej i jak z niego po kryjomu zbiegła.

Postanowiła położyć się na kanapie, ale zanim na niej spoczęła, to po drodze ze stołu zgarnęła butelkę koniaku i kieliszek. Pilotem włączyła telewizor, a tam Fredro, lubiła go. Teraz mogła się spokojnie kurować.

Jednak nie było jej to dane. Ktoś zapukał do drzwi i Borys natychmiast się rozszczękał na pół kamienicy.

– Ciszej sabaka! Kto tam?! – krzyknęła ile sił w płucach, starając się go przekrzyczeć.

– Saaabaka! Saaabaka! Kuuurwa mać! – wtrąciła swoje trzy grosze Zgaga.

– To ja! – dał się słyszeć męski głos.

– Co za ja?

– No ja, Piosik, chciała mnie pani widzieć.

– Owszem, ale się wywaliłam na schodach. Nie mogę ci otworzyć, mam kontuzję kolana! Leżę i kroku nie zrobię.

– Nie ma sprawy, tylko proszę psa przytrzymać!

– Borys, do nogi! – ryknęła.

Psisko posłusznie ułożyło się przy kanapie.

Od strony drzwi rozległ się metaliczny zgrzyt i w chwilę potem pojawił się Piosik. W dłoni trzymał wytrych.

– Proste, powinna się pani postarać o coś lepszego. Ten zamek to otworzy byle gnojek.

– A po co? Szkoda pieniędzy. Jak ktoś zechce wejść, to i tak wejdzie. Potrzebuję twojej pomocy. Słyszałeś pewnie, że jakiś pies zagryzł ubeka?

– Jasne, tego skurwysyna, co panią śledził. Dobrze mu tak, pewnie się teraz w piekle smaży.

– A od kiedy ty taki wierzący? – zakpiła.

– Ja? Od urodzenia, przecież nawet mam chrześniaka i chrześnicę. Owszem, do kościoła nie łążę, bo mi nie po drodze, ale w Boga wierzę.

– Dobra, to nieważne. Problem w tym, że ktoś trupowi zapierdolił pistolet. Teraz milicja go szuka i jeśli go przy kimś znajdzie, to marny tamtego los. Znajdź mi tego idiotę, co przygarnął tetetkę, póki nie jest za późno.

– Popytam tu i ówdzie, może czegoś się dowiem – odparł wykrętnie.

– Nie może, tylko znajdź go i każ mu ją gdzieś wyrzucić, aby jak najdalej od Płocka. Ona ma przepaść, i to na wieki wieków amen.

– Dobra, załatwię to. Pani mecenas może być spokojna. Giwera zniknie bezpowrotnie, jakem Piosik. Ma pani poczęstować szlugiem?

– Tam na stole – wskazała ręką – leży paczka carmenów. Weź ją, ja takich perfumowanych nie palę, a teraz zmiataj, bo późno i żebyś się na patrol milicji nie natknął. Tylko zamknij za sobą. Aha, bym zapomniała spytać, a co z Mariańskim? Kiedy dostarczysz mi jego mózg?

– Pamiętam o tym, ale on jeszcze dycha. Dziś podobno poderwał się bez przytomności z łóżka i wykrzyczał pani nazwisko.

– To mi schlebia. – Roześmiała się. – Umarł z nazwiskiem Lewandowska na ustach, brzmi fajnie.

– Pewnie przyjdzie pani na jego pogrzeb?

Słyszając to, parsknęła głośnym śmiechem.

– Chyba zwariowałaś! Nigdy w życiu, na mój widok jeszcze by ożył.

Dochodziła godzina dziesiąta wieczorem, most przez Wisłę spowijała gęsta mgła. Płock spał, nawet ruch samochodowy ustał zupełnie. Chodnikiem szło dwóch łapciuchów. Co chwila przystawali i rozglądali się na boki. Zatrzymali się na środku przeprawy.

– Pilnuj, czy nikt się nie zbliża – szepnął wyższy z nich. Sam podszedł do balustrady, wyjął zza pazuchy jakieś zawiniątko, chwilę się zawahał, po czym zamachnął się i cisnął je w wodne odmęty.

– Piosik, co tam wałęsałeś? – spytał ten stojący na czatach.

– Gównu ci do tego, pilnuj własnego nosa. Chodź, lepiej spierdalamy stąd, bo jeszcze psy się nawiną.

Szybkim krokiem ruszyli z powrotem.

Zuza z trudem dotarła do kancelarii, mimo całonocnych okładów i maści kolano spuchło. Aplikantka już na nią czekała, przechadzała się nerwowo przed drzwiami, co chwila zerkając na zegarek.

– Pani Zuzo, co się stało? Może trzeba lekarza? – Najwyraźniej przejęła się stanem zdrowia swojej chlebowodziny.

– Nic mi nie będzie. Przejdzie samo. Zaraz idę do biskupa na rozmowę. Chyba będziesz musiała mi zamówić taksówkę.

– Ale to blisko. Przez okno widać jego siedzibę.

– I co z tego, jak ja ledwie do kibla dochodzę? Idź na postój i sprowadź mi tu kogoś.

– Nie można tego przełożyć? A może ja pójdę zamiast pani?

– Co proszę? Nie rozśmieszaj mnie. To poważna sprawa i jednocześnie bardzo delikatna. Zresztą jak pomyślę o twoich krewnych w stanie duchownym, to lepiej, żebyś nie wiedziała o pewnych rzeczach. Żyj jak najdłużej w idealnym świecie.

– Nie rozumiem.

– I niech tak zostanie. Lepiej ruszaj już, bo nie mogę się spóźnić. Biskup jest bardzo humorzysty i później może mnie nie przyjąć.

Siedlecka razem z taksówkarzem zjawiała się po kwadransie. Wspólnie pomogli Zuzie zejść na dół i zapakować się do taksówki. Kierowca podjechał jej prawie pod wejście do pałacu biskupiego. Niestety, schody musiała pokonać sama. Pojękując, dotarła do drzwi, później holem i następnymi schodami na górę. To była prawdziwa droga przez mękę, aż w końcu Lewandowska stanęła przed obliczem biskupa. Nie czekając na zaproszenie, usiadła na najbliższym krześle.

– Nie bardzo wiem, czemu zawdzięczam pani wizytę. Znam sprawę i moja odpowiedź brzmi: nie. Zresztą, inna być nie może. – Przywitał ją tymi słowami, chcąc szybko zamknąć temat. Każdy inny podniósłby się i wyszedł, ale nie Zuza, po pierwsze noga ją zanadto bolała, a po drugie miała asa w rękawie i zamierzała go wyciągnąć.

– Sprawa moich klientów jest wyjątkowa. Są bardzo dobrymi katolikami i żyli w trudnych związkach. Ich małżonkowie nie przyjmowali sakramentów, uprawiali sodomie, mało tego, czcili diabła, czego potwierdzeniem są raporty milicji, jak choćby ten o mszy satanistów na cmentarzu przy ulicy Norbertańskiej. Dwa koty obdarli ze skóry, ponoć na żywcą.

– Faktycznie, słyszałem coś o tym – przytaknął jej biskup.

– Otóż to. I jak tu żyć pod jednym dachem z takimi potworami? Czy w ogóle ślub z taką osobą jest ważny? Według mnie nie. Mało tego, w tych rodzinach są małe dzieci, które wciąż są narażone na diabelskie pokusy. Dla moich klientów najważniejsze jest wychowanie potomstwa na dobrych katolików i dlatego w tym swoim nieszczęściu skierowali się ku sobie, żeby się wzajemnie wspierać i tym samym wzmocnić psychicznie. Wiedzą, że ich prośba jest trudna do spełnienia, ale to wszystko jest nie dla nich, tylko dla dobra ich pociech. Czyż można odmówić młodemu człowiekowi możliwości rozmawiania z Bogiem? A przecież ich grzeszni małżonkowie ze wszystkich sił starają się im w tym przeszkodzić. Moi klienci chcieliby też wnieść pewną ofiarę materialną na rzecz wspólnoty katolickiej,

przekazać ją na ręce Waszej Eminencji. To kwota czterystu tysięcy złotych i, co ważne, wolna od opodatkowania.

Zuza skończyła swoją przemowę. Zauważyła, że wysokość łapówki, no bo jak to inaczej nazwać, zrobiła na biskupie spore wrażenie, a zatem wszystko było jeszcze możliwe. Zawsze wierzyła, że mamona działa prawdziwe cuda i otwiera każde drzwi. Ciekawe, czy i tym razem?

– No tak – zaczął biskup – pani argumentacja wstrząsnęła mną do głębi. Niejedno słyszałem o odrodzeniu satanizmu, zresztą jego wyznawcy trafiają tu na podatny grunt, bo komuniści przemykają na to oczy, a niektórzy z nich nawet uczestniczą w tych mrocznych rytuałach. Będę się modlił za pani klientów i ich potomstwo. Sama sprawa stwierdzenia nieważności małżeństwa nie leży w mojej gestii. Muszę porozmawiać o tym wyżej i nic nie obiecuję, ale dobrze się składa, bo jutro lecę do Watykanu i zobaczymy, co da się zrobić. Proszę się zgłosić do mnie za dwa tygodnie. Myślę też, że tak hojne wsparcie naszej wspólnoty bardzo się przyda. Proszę przekazać swoim klientom moje błogosławieństwo.

Audycja była zakończona. Zuza nie kryła zadowolenia, bo sprawy przybrały dobry obrót. Teraz należało uzbroić się w cierpliwość.

Przy pomocy siostry zakonnej, co chwila pojękując z bólu, opuściła pałac biskupi. Taksówkarzowi kazała wieźć się na Zduńską, bo w pracy nie usiedziałyby nawet godziny z tak bolącą nogą. Zadzwoiła po lekarza.

Doktor Kalicki zjawił się u niej po dwóch godzinach. Przyniósł ze sobą zestaw najróżniejszych maści i zaserwował go po zbadaniu nogi. Kolano obandażował i dał jakiś zastrzyk.

– Jutro będzie lepiej, a za dwa dni może pani biegać w maratonie – zażartował.

– Prędzej w marszu do gułagu, tam najchętniej widzieliby mnie komuniści, a całe to zamieszanie przez synalka sublokatorów. Mawiano, że co cię nie zabije, to cię wzmocni, ale chyba ze mną będzie inaczej. Kiedyś myślałam, że ich przetrwam, że doczekam innej epoki, że komuchy odejdą w niesławie w niepamięć, ale coraz częściej nachodzi mnie zwątpienie. Nie

dociągnę do tych czasów. Zdechnę tu, a oni zaorzą po mnie, zajmą resztki mojego mieszkania.

– Pani Zuzo, skąd u pani tyle pesymizmu? Już niebawem to wszystko się rozleci. Zobacz pani.

– Oby, doktorze, bo zaczynam tracić jakąkolwiek nadzieję.

Zadzwoiła do kancelarii i kazała Siedleckiej natychmiast przyjść tu do niej, do domu. Dziś Geńka miała wolne i trzeba było wyprowadzić Borysa. Pies w pierwszej chwili był dość nieufny, ale pół pęta kiełbasy przełamało wszystkie lody. Jedynie Zgadze dziewczyna wyraźnie nie przypadła do gustu i papuga wydarła się na pół kamienicy:

– Zdziira! Dziiwka! Zdziira! Dziiwka!

– Może dziwka, a może zdzira, tego jeszcze nie wiem, ale musisz ją zaakceptować, bo to moja aplikantka. Zrozumiano? – rzekła do niej Zuza.

– Aaaapliiikaaaantka! Aaaapliiikaaaantka!

– Zgadza się i uważaj, co tym swoim dziobem klepiesz.

Dziewczyna wróciła po godzinie. Borys nie wyglądał na zadowolonego, pewnie nawet na chwilę nie został spuszczonej ze smyczy. Zuza położyła się na kanapie i zabrała do przeglądania notatek swojej pracownicy. Zaczęła od roku 1962. Sporo tego było: drobne kradzieże, rozboje, gwałty, pobicia, a nawet zabójstwa. Szczególną uwagę zwróciła na te ostatnie. Mąż chwycił siekierę i zarażał żonę, koledzy pobili się i jeden nieszczęśliwie upadł, głową uderzając o krawężnik, chuligani napadli na samotnie spacerującego emeryta, zabili go dla paczki papierosów, w bibliotece zaginęła cenna książka, włamanie do domu znanego filatelisty, nakrył włamywaczy na gorącym uczynku i przypłacił to życiem, a na koniec zabójstwo milicjanta. Z wahaniem podkreśliła zabójstwo filatelisty i emeryta. Musiała się dokładniej przyjrzeć tym dwóm sprawom. Teraz spojrzała na notatki z 1977 roku. Było ich dużo więcej, a zatem panowała większa przestępczość. Oczywiście prym wiodła sprawa seryjnego zabójcy, który pozbawił życia trzy bibliotekarki, ale znalazło się jeszcze kilka morderstw w półświatku. Te od razu odrzuciła. Zerknęła na przestępstwa pospolite, lecz zaraz zorientowała się, że szkoda na nie czasu. Trudno

sobie głowę zawracać kradzieżą roweru czy wyrwaniem torebki. Zdarzały się też kradzieże na targowisku, tu głównie chodziło o płody rolne. Był już późny wieczór, kiedy odłożyła notatki. Z jednej strony była zadowolona, że mało spraw zwróciło jej uwagę, bo miała mniej sprawdzania, ale z drugiej strony nawet te już na pierwszy rzut oka nie pasowały do jej dochodzenia. Może coś jeszcze jej umknęło? – zastanawiała się.

Dziś w nocy nikt z personelu na intensywnej terapii nie zmrużył oka, a wszystko przez kapitana Mariańskiego. Wciąż będąc w malignie, niespodziewanie zrywał się z łóżka, zrywał wszystkie kable i wenflony, krzycząc:

– Lewandowska!

Pielęgniarki miały już dość wyjątkowo uciążliwego pacjenta i z utęsknieniem spoglądały na słój. Mariański jednak wciąż żył, choć trudno to było nazwać życiem, i wcale nie zamierzał pozbywać się swojego mózgu, to zaś powodowało dużą frustrację u doktora Torbickiego, bo już się pochwalił kolegom po fachu, że posiada bardzo ciekawy pod względem medycznym eksponat. Do dziś nauka wykluczała tak płaską korę mózgową u człowieka, a jednak się myliła. W tym odkryciu Torbicki pokładał wielkie nadzieje, być może w uznaniu jego zasług dla nauki otrzyma Order Odrodzenia Polski, na którym mu bardzo zależało.

Doktor Kalicki, trzeba przyznać, znał się na swoim fachu jak mało kto. Faktycznie następnego dnia opuchlizna zniknęła i Zuza o własnych siłach dotarła do kancelarii. Ledwie rozsiadła się w fotelu, nawet nie zdążyła zapalić papierosa, gdy pojawiła się aplikantka.

– Zaparz mi herbatę, tylko siekierę, a może nawet kawę, bo nie spałam pół nocy – rzekła Lewandowska głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna skrzywiła się, ale bez słowa poszła do kuchni. Zuza tymczasem wyjęła stocka i kieliszek, to też nie zaszkodzi na dobry rozruch.

Jolka przyniosła kawę.

– A czemu sobie nie zaparzyłaś? Jeszcze pomyślę, że mi do niej dosypałaś cykuty – zażartowała Lewandowska.

– Nie wiedziałam, że mogę, kawa jest reglamentowana – wydukała speszona dziewczyna.

– E tam. Na jakim ty świecie żyjesz? – Zuza się skrzywiła. – Prawnik, lekarz i ksiądz to trzy zawody, którym niestraszne restrykcje gospodarcze. Jeszcze o tym nie wiesz? A właśnie, à propos kawy, kierowniczka z delikatesów kazała w południe się pokazać. Ma dla mnie dwie paczki robusty. – Widząc zawód na twarzy aplikantki, zaraz dodała: – Spokojnie, to dla mojego kolegi, sierżanta Nowaka, on wszystko wypije. Myślę, że jakbym mu kazała, to i ług sodowy by wychłał.

– A jak moje notatki? Przydały się pani?

– Jeśli mam być szczerą, to są do dupy, bo nie ma w nich nic ciekawego. Albo coś ominęłaś, albo w tym gównianym mieście nic ciekawego się nie dzieje. Nic z finezji w tych zabójstwach. Królują prostackie metody, siekiera, nóż, łom, a jak samobójstwa, to powieszenie. Tyle, kurwa mać, wysokich bloków, most nad Wisłą, stara wieża ciśnień, wieże kościelne, w aptekach półki się uginają od trucizn, a oni biorą powróż. Wiesz, czym różni się Warszawa od takiego Płocka? Wszystkim! Mam dość tego prostactwa, wyprowadzam się! Ale zanim to zrobię, wyjaśnię jeszcze kilka spraw, kilku skurwysynów wsadzę do pudła i jednego towarzysza rozwiodę, i to, żeby było śmieszniej, po katolicku. Ty teraz idź na komendę milicji do porucznika Florka i powołaj się na mnie. Ustalisz, czy mają zarejestrowanego kogoś, kto kibluje od roku sześćdziesiątego drugiego do dziś z przerwą na siedemdziesiąty siódmy. Wiem, że tego ci nie sprawdzi od ręki, ale w dwa dni powinien się uwinąć. Kiedy od niego wyjdiesz, pojedziesz do Gostynina, do domu wariatów. Tam pracuje moja koleżanka. Spytasz ją o to samo, ale ona raczej od razu udzieli ci informacji. Zadzwoiłabym do niej, ale pewnie telefon mam na podsłuchu, a ta sprawa wymaga szczególnej dyskrecji. No to zmykaj, już cię nie ma, a ja skupię się na pracy.

Ledwie Siedlecka wyszła, Zuza ponownie sięgnęła do szuflady, na drugą nóżkę, dla zdrowotności.

Włączyła radio, a tam Jaruzelski chwalił się, że przeciwdziałał anarchii, że uratował kraj. Chyba on sam w to nie wierzył. To było nie do słuchania, ze złością wyrwała wtyczkę z gniazdka. Wyjęła z szafy czyste koperty,

musiała wysłać kilka pism, stwierdziła, że je przygotuje, a Jolka pójdzie z nimi na pocztę. W sumie ta dziewczyna to jej z nieba spadła.

Skupiła się na przyklejaniu znaczków, ich tylną część śliniła i kładła na kopercie, dociskając palcami. Nagle wstrzymała oddech, coś jakby zakiełkowało w jej głowie, jakaś myśl, być może prawdziwa eureka. Otworzyła brulion aplikantki i zaczęła palcem jechać po tekście. Nagle się zatrzymał – sprawa zabójstwa filatelisty. W rzeczach Sałackiej znalazła klaser na znaczki pocztowe. Przypadek czy może to element łączący dwie sprawy? Postanowiła, że musi się przyjrzeć bliżej temu zabójstwu, musi poszperać w archiwach. Ona tej sprawy nie pamiętała, ojciec też nic o niej nie wspominał. Ciekawe, czy ujęto zabójcę? Trzeba zadzwonić do Nowaka, i to pilnie.

Wykręciła jego numer, sierżant odebrał od razu.

– To ja, tylko nie pomyśl mnie z tą swoją cizią. – Zarechotała do słuchawki.

– Przestań – odparł, wyraźnie rozdrażniony jej ciągłymi przytykami. – Co się stało?

– Potrzebuję informacji. Kto może pamiętać śledztwo sprzed dwudziestu lat, a najlepiej kto prowadził sprawę zabójstwa filatelisty?

– Nie rozumiem tych czubków. Jak można zapłacić kupę szmalu za kawałek papieru? Dla mnie to jakiś obłąd.

– Jak każdy kolekcjoner, nie dziw się, zresztą to nieważne, co lubisz, popytaj, kto prowadził tamto śledztwo. Ten zabity mężczyzna nazywał się Jan Kłopotowski. Zresztą z takim nazwiskiem aż się prosił o kłopoty.

– Na kiedy ci potrzebne te informacje?

– Na wczoraj.

Odłożyła słuchawkę i przygasiła peta w popielniczce. Spojrzała na portret ojca. Chyba się uśmiechał.

– Zadowolony? Nie wierzyłeś, że mogę być lepsza od ciebie? Widzisz, mogę. Wciąż ci to mówię.

Wychodząc z kancelarii, zajrzała do pokoju obok. Pusto tu. Chwilami trochę tęskno jej było za Kowalskim, ale tylko chwilami, bo gdy sobie przypominała, jak tyłkami kochanek froterował blaty ich biurka, to od nowa krew ją zalewała ze złości. Niech teraz gnije w „Antypodkowie”. Ciekawe, kto do niego tam przyjdzie? Najwyżej zawita baba, której zapieprzyli kurę. Zaśmiała się pod nosem.

Zanim poszła do domu, udała się do biblioteki Zielińskich. Znajdowało się tam opracowanie naukowe o Płocku, gdzie wspomniano rodzinę Lewandowskich i jej zasługi dla miasta. Była ciekawa, co dokładnie zawiera. Nie mając dzieci, będąc ostatnim przedstawicielem rodu, uważała za swój obowiązek zapoznanie się ze wszystkimi dostępnymi materiałami. Po prostu nie było się kim wyręczyć. Dwie godziny jej zeszło, dwie godziny bez papierosa, to było prawdziwe wyrzeczenie. Ciekawe, czy przodkowie tam na górze to docenili? Niestety, nic nowego, wszystko, co tam było, dobrze znała z rodzinnych opowieści. Opuściła bibliotekę i poszła ulicą Teatralną w stronę Małachowianki. Zawsze jak tędy szła, przypominało jej się kręcenie serialu *Stawka większa niż życie*. To z pobliskiego podwórka wypchnięto wózek, żeby zablokować przejazd więźniarki, do dziś dźwięczały jej w uszach serie z karabinów maszynowych. Stare dzieje. Skręciła w ulicę Małachowskiego. Szła zamyślona, nie zwracając uwagi na przechodniów. Mijała jakiegoś mężczyznę, kiedy ten nagle pchnął ją wprost pod nadjeżdżającą syrenę bosto. Zawdzięczała życie kierowcy, który wykazał się refleksem godnym Sobiesława Zasady, bo zdążył ją ominąć, wjeżdżając z impetem na chodnik. Stała na jezdni i rozglądała się wokół siebie, nie wiedząc, co się wydarzyło. Sprawca oczywiście zniknął, a co najgorsze, nawet nie zauważyła, jak wyglądał. Januszek nie daje za wygraną, nie spocznie, póki jej nie ukatrupi, pomyślała.

W domu przywitał ją chór głosów – popiskujący Borys domagający się wypuszczenia na siku i Zgaga wznosząca pierwszomajowe okrzyki:

– Niiiech żyjjje Leeenin! Kooocham Giiierka! Paaaartia siiiiła narooodu!

– Ty pierzasty potworze, już ci kiedyś mówiłam, że nie jesteś na bieżąco. Gierka wynieśli na strych, teraz prowadzi nas ślepiec, a swoją drogą, ciekawe, kto będzie u steru tej rozklekotanej łajby za czterdzieści lat? Pewnie jakiś obleśny karzeł, a na dodatek pedał, no bo może być tylko gorzej.

Nie zamierzała dziś na powrót wychodzić, więc tylko uchyliła drzwi. Niech psisko rozsiewa swoje nasienie po okolicy, a co mu ma żałować. Byle tylko nie spotkał następnego tajniaka, bo wtedy jak nic przegryzione gardło, a w konsekwencji pies przerobiony na mydło.

Włączyła gramofon i, jak to często robiła, wybrała płytę Czesława Niemena, dobrze się jej wtedy myślało. Nalała sobie koniaku i z kieliszkiem w dłoni rozsiadła się na kanapie. Dzisiejszy zamach jeszcze bardziej jej uświadomił to, że musi się mocno spieszyć ze swoim dochodzeniem, bo inaczej go nie skończy. Jutro ponownie wybierze się do starej willi przy Jachowicza i dokładniej przyjrzy się temu klaserowi, gdyż wcześniej nie poświęciła mu większej uwagi.

Znów sobie nalała i wypła. Powieki powoli robiły się coraz cięższe i cięższe, aż w końcu opadły; Zuza zasnęła. Obudził ją dziki wrzask dochodzący z korytarza. Od razu poznała po głosie, że to Tomuś. Co tu się, kurwa, dzieje?! Co ten ancymonek znowu wyczynia?

Otworzyła drzwi. Chłopak stał przytulony plecami do ściany. Naprzeciw niego, groźnie warcząc, siedział Borys.

Chwyliła psa za obrozę i wciągnęła do siebie. Z satysfakcją zauważyła kałużę pod Tomaszkiem, znów się sukinsynek zmoczył ze strachu. Może tym razem pójdzie po rozum do głowy i wreszcie zacznie ją omijać wielkim łukiem.

Doktor Torbicki badał Mariańskiego, który wciąż był nieprzytomny, nie licząc krótkich incydentów, kiedy siadał na łóżku i wykrzykiwał:

– Lewandowska!

Głowa goiła się dobrze, więc nadzieja medyka na umieszczenie mózgu kapitana w słoju zaczęła powoli przygasać, mimo że szansy na całkowite

wyzdrowienie nie było. Niemniej jednak jako chodzące warzywo mógł wegetować przez jakiś trudny do określenia czas – rok, może dłużej.

Lekarz siedział przy łóżku i osłuchiwał pacjenta. Nagle kapitan raptownie otworzył oczy, po czym chwycił doktora za gardło i zaczął go dusić, szepcząc:

– Lewandowska, ty suko, zabiję cię.

Pielęgniarka, widząc co się dzieje, pobiegła po dwóch roślących pielęgniarzy, którzy się migiem zjawili i uwolnili ofiarę z rąk napastnika. Ledwie to uczynili, gdy Mariański ponownie stracił przytomność.

Dziś od rana padało. Zuza rozłożyła czaszę parasola i energicznym krokiem ruszyła w stronę Jachowicza. Przy drogerii na Tumskiej spotkała Geńkę, która od nocy stała po szampon, ale ponoć zamiast niego przywieźli pastę do zębów. Sprzątaczką obiecała podzielić się zdobyczą. To było miłe z jej strony, ale Zuza i tak stwierdziła, że jej nie polubi. W Herbapolu w kolejce natknęła się na pana Zdzisia. Dyskretnie wsunęła mu w dłoń kartkę z listą zakupów. Kto wie, może uda się coś załatwić. W kiosku przy Nowym Rynku kupiła „Tygodnik Płocki”. Rzadko to robiła, bo jakoś się nie mogła do niego przekonać. Tak czy owak, gazeta skończy jak każda inna, czyli w ubikacji na haku.

Dotarła na miejsce. Miała fuksa, bo zastała kobietę, która wcześniej ją oprowadzała po byłym mieszkaniu Sałackiej, i od razu poszły na strych. Przez te kilka dni sąsiadka bibliotekarki chyba jeszcze utyla. Z trudem, sapiąc niczym stary parowóz, wdrapała się na górę.

– Ma pani szczęście, bo syn zamierzał to wszystko wywalić jutro na śmietnik.

– To prawda, często mi ono sprzyja, aż boję się pomyśleć, co będzie, jak się na mnie obrazi. Nie zajmę pani dużo czasu, tylko coś sprawdzę, bo to mi nie daje spokoju.

– Proszę się mną nie przejmować. Jak pani skończy, to niech pani zamknie strych na kłódkę i odniesie mi klucz. Ja będę u siebie. Mam mnóstwo prasowania.

Zuza została sama. Wydawało jej się, że klaser był na spodzie starej tekturowej walizy. Wyrzuciła z niej wszystko. Faktycznie, dobrze pamiętała, leżał na samym dnie. Żółta plastikowa obwoluta, dość gruby, z wieloma rzędami zafoliowanych okienek. Tym razem obejrzała go bardzo dokładnie. Był pusty, ale jak się mu bliżej przyjrzała, to zauważyła, że nosi ślady używania, że kiedyś, zapewne wiele lat temu, był zapełniony jakimiś walorami filatelistycznymi. Zdjęła z niego obwolotę, a pod nią widniała szara kartonowa okładka. Już miała ją na powrót założyć, kiedy dojrzała coś w lewym górnym rogu. Wyjęła latarkę z torebki i sobie przyświeciła. Serce mocniej jej zabiło. Nie myliła się, to były dwie litery, inicjały J i K. Jan Kłopotowski? Czyżby faktycznie znalazła wspólny punkt obydwóch spraw? Jeśli tak, to co robił u Sałackiej klaser tego filatelisty i czemu był pusty? I najważniejsze pytanie: co łączyło pułkownika z tym zabójstwem? Ciekawe, kto prowadził dochodzenie w tej sprawie? Nie zdziwiłaby się, gdyby to był Januszek.

Od tych wydarzeń upłynęło tyle lat, że trudno będzie coś ustalić, a jeszcze trudniej komuś coś udowodnić. Zuza jednak stwierdziła, że lubi wyzwania i musi spróbować rozwiązać tę zagadkę.

Jeszcze raz przeszukała bardzo dokładnie wszystkie rzeczy, żeby już tu nie wracać, wrzuciła klaser do torby i opuściła strych, po czym, zgodnie ze wskazówkami, zamknęła drzwi na skobel i spięła go stalową kłódką.

Przed wejściem do kancelarii stał jakiś mężczyzna w długim płaszczu. Zuza spojrzała na niego z niepokojem. Bądź co bądź byli tu sami. Mógł ją udusić, potraktować nożem lub zastrzelić i nikt by tego nie zauważył. Podejść do drzwi czy dać nogę? – rozważała. To było pytanie z gatunku: „ratować skórę czy iść jak owca na rzeź?”.

– Jestem z zakładu energetycznego, przyszedłem do licznika – rzekł nieznajomy. Teraz dopiero zauważyła, że przez ramię ma przewieszoną raportówkę na długim pasku. Podobną nosił poprzedni poborca. Od razu poczuła ulgę.

– Już pana wpuszczam.

Podeszła do drzwi i otworzyła zamek. Ledwie weszli do kancelarii, kiedy zjawił się Nowak. Machnął tamtemu jakimś dokumentem tuż przed nosem, oznajmił, że jest z milicji, i go wylegitymował, tak na wszelki wypadek. Odczytanie licznika trwało trochę, po czym Zuza wraz z sierżantem zostali sami.

– Czegoś tu, kurwa, nie rozumiem, przecież znów jesteś na rencie, co mu pokazałeś?

– Książeczkę wojskową, właśnie wracam z komendy uzupełnień.

– Dobrze, że nie kwit na węgiel. – Lewandowska zaśmiała się.

– To byłby kiepski pomysł, tam nie ma zdjęcia. Zajrzałem od Kowalskiego, wspominał cię. – Popatrzył na nią wymownie.

– I co? Pewnie mnie klął jak ja jego. Zresztą jest mi to obojętne. Nie było chemii, teraz przynajmniej mam spokój, a tak nigdy nie wiedziałam, co się działo na moim biurku podczas mojej nieobecności.

– Nie przesadzaj, chwilami odnoszę wrażenie, że mu zazdrościłaś – wbił jej szpilę.

Zuza rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Tak myślisz? – wydusiła przez zaciśnięte zęby. – Naprawdę?

– Nie znasz się na żartach? – Nowak wycofał się pośpiesznie. Dobrze ją znał, więc wiedział, że rozwścieczona Zuza jest nieobliczalna i nie będzie na nic zważać, nawet na ich długoletnią przyjaźń. O tym bardzo boleśnie przekonał się niedawno Kowalski.

– Beznadziejnie kiepski. Masz coś dla mnie? Miałeś się czegoś dowiedzieć na temat tamtego zabójstwa.

– Owszem, choć nie było łatwo. W kryminalnej służy chorąży, który wtedy jako pierwszy przyjechał na miejsce zdarzenia. Kłopotowskiego

znalazł w łazience, ktoś go zastrzelił, a potem poderżnął mu gardło. Wszędzie było pełno krwi, nawet na suficie. Ofiara musiała znać zabójcę, bo wpuściła go do mieszkania. Kłopotowski był bardzo nieufny, zawzięcie strzegł swojej prywatności, w oknach kraty, w drzwiach zamki patentowe i judasz. Mało kto go odwiedzał.

– Sprawdzono jego znajomych? Rodzinę? Żonę?

– Nie miał rodziny. Był samotnikiem.

– To pewnie miał jakiegoś kochasia. Trzeba go odnaleźć.

– Wszędzie widzisz pedałów. Nie, to już wtedy sprawdzono. Mieszkał w domku przy ulicy Ostatniej, nieopodal kościoła Świętego Jana. Jego najbliższa sąsiadka wiecznie siedziała w oknie i wszystko obserwowała, ale tego dnia nie widziała nic podejrzanego. Widywała nieraz jakieś kobiety, choć rzadko, przewijały się wczesnym rankiem, czasem wieczorem, ale mężczyźni w ogóle.

– Pewnie przychodziły oglądać kolekcję znaczków – rzekła kpiąco Zuza.

– A w ogóle, to ile miał lat?

– W chwili śmierci czterdzieści pięć, dzień wcześniej wypadły jego urodziny.

– Pewnie je obchodził i jednemu z gości nie spodobał się poczęstunek – mruknęła pod nosem. – Czy coś zginęło z mieszkania?

– Nie wiadomo. Nie było nikogo, kto by to mógł stwierdzić. W protokole jest, że nie, ale pewności żadnej mieć nie można. Jedno zdziwiło tego chorążego: że sprawę szybko zamknięto, choć nie udało się znaleźć zabójcy.

– Kto prowadził śledztwo? Zresztą nie odpowiadaj, pozwól, że zgadnę. Pewnie ten sukinsyn Januszek?

– Zgadza się, ale muszę cię zmartwić, żaden ze świadków nie wymienił jego nazwiska, wszystko wskazuje na to, że się nie znali.

– Równie dobrze mogło być inaczej. Co jeszcze masz, bo widzę po twojej głupiej minie, że zaraz jakiś królik wyskoczy z kapelusza. Mam rację?

– Zdobyłem zdjęcie tego Kłopotowskiego, buchnąłem je z archiwum.

– O kurwa, jaki ty jesteś dzielny – zakpiła Zuza, zerkając ciekawie na fotkę. – Całkiem przystojny, szkoda go. Pokażę to kilku osobom z otoczenia Sałackiej. Może go u niej widzieli?

– Uważasz, że coś ich łączyło? Skąd te przypuszczenia?

– A stąd.

Z torebki wyjęła klaser i podała go sierżantowi.

– Skąd wiesz, że to jego?

– Po inicjałach J i K, czyli Jan Kłopotowski.

– Niejednemu psu Burek. Równie dobrze może być Jan Kowalski.

– Jeśli mi znajdziesz w tamtym okresie trupa filatelisty o takim nazwisku, to przyznam ci rację. Jak na razie mam tylko jego. Podświadomie czuję, że to on, a przecież wiesz, że mnie intuicja nie zawodzi.

– Z Kowalskim cię zawiodła.

Spojrzała na niego pytająco.

– O czym ty pierdolisz? Pogoniłam łobuza niczym burą sukę i jestem z tego bardzo zadowolona.

– On nie poczęstował cię pieczenią z papugi, to był żart. Wczoraj widziałem jego arę, ma się całkiem dobrze.

Zdumiała się.

– To po cholere tak ze mnie zakpił? Niech się leczy ten czubek. Zrobił sobie ze mnie jaja, sukinsyn, parszywiec cholerny. Nie chcę go znać! Koniec rozmowy na jego temat. Potrzebuję jeszcze zdjęcia Januszka, najlepiej z młodości. Załatw mi to. – Z szafy wyjęła jakąś butelkę i kieliszki.

– Dostałam od klienta ciekawy koniak, lampki chyba nie odmówisz?

– Jeśli dobry?

– No wiesz? – zdenerwowała się. – A piłeś u mnie kiedyś gówniany trunek? Gdyby mnie nie było stać na drogie alkohole, tobym była abstynentką, choćby z szacunku dla własnej wątroby.

– O fotografii pułkownika to radzę ci zapomnieć. Nie zamierzam z nim zadzierać, jeśli nie ze względu na siebie, to na dzieci.

– Koniecznie muszę ją mieć i stanę na głowie, żeby ją zdobyć. Jak nie przez ciebie, to przez kogoś innego. Jest płocczaninem czy to napływowy fiut?

– Płocczanin, chyba kończył technikum elektryczne, albo siedemdziesiątkę, nie jestem pewny, choć bardziej bym stawiał na tę pierwszą szkołę.

– Albo, albo, kurwa mać, dowiedz mi się dokładnie, co kończył i w którym roku. Poszukam jego kolegów lub koleżanek. Dowiedz się też, gdzie się żenił. Jeśli w Płocku, to musiał wziąć fotografa. W mieście w tamtych czasach imprezy obskakiwało jedynie kilku, tego z Kobylińskiego i tego z „Antypodkowy” znam, to sama z nimi pogadam. Mogą mieć stare klisze czy odbitki.

Wypili, Zuza znów naląła.

– Wiesz, nieraz jak tak siedzę i patrzę na portret ojca, to wydaje mi się, że jego twarz się zmienia. Raz jest surowa, innym razem się śmieje, a jeszcze innym wygląda, jakby chciał mnie o coś spytać.

Nowak rzucił spojrzenie na portret, potem na Zuzę.

– Od kiedy tak się dzieje? Może ktoś ci czegoś dosypał do koniaku? – spytał z troską.

– A czemu akurat do koniaku?

– Bo łoś go co dzień.

– A jeśli to nie to? Myślisz, że wariuję? – spytała, wbijając w niego natarczywe spojrzenie. – Tylko mów szczerze!

– Nie, skądże – odparł, ale jakoś tak bez przekonania.

Był wieczór, Mariański już drugi tydzień okupował łóżko na intensywnej terapii. Słoik z formaliną wciąż czekał na parapecie, ale doktor Torbicki już dawno stracił wszelką nadzieję na pozyskanie eksponatu. Kapitan miał coraz częstsze momenty powrotu świadomości, choć może to określenie

było mocno przesadzone, skoro wciąż żył w swoim odosobnionym świecie. Dochodziła północ, gdy Mariański niespodziewanie usiadł na łóżku, wyrywając sobie z rąk wenflony, a następnie próbował z niego zejść. Chwiał się na nogach, więc przytrzymał się stojaka na kroplówkę. W końcu udało mu się dojść do stolika, przy którym nieraz siadywały pielęgniarki. Wziął z niego długopis i kartkę papieru. Opierając się o ściany, dotarł do okna, położył papier na parapecie i zaczął pisać.

Notatka operacyjna

My kapitan Mariański jezdeśmy uwiezieni w pałacu jakimś To sprafka nijakiej Lewandowskiej i jej papugi Karmiom nas tu przez jakieś rury bo chcom nasz muzg zaminić bo muwiom, że jest niezpotykan To jakiś spisek imperialistów Dajom nam jakieś pastylky czerwone i niebieskie i jakieś preperaty medyczne Musimy stond koniecznie uciec i powiadomić towarzyszy z milicji

Trzasnęły drzwi. Mariański szybko zmiął kartkę i schował ją w zaciśniętej dłoni. Dwóch pielęgniarzy podeszło do niego, chcąc mu pomóc w dojściu do posłania. Opierał się, krzyczał:

– Precz z imperialistami! Partia siłą przewodnią narodu! Zabiję tę przeklętą Lewandowską!

Użyli więc siły, a na koniec przywiązali go pasami do ramy łóżka. Wtedy z jego ręki wypadła kartka. Pielęgniarka zabrała ją, żeby pokazać lekarzowi dyżurnemu. Ten po zapoznaniu się z jej treścią kazał natychmiast zmniejszyć dawkowanie leków psychotropowych.

Zuza tej nocy prawie nie spała. W podwórzu rozgrywały się istic dantejskie sceny, awantura rodzinna z rękoczynami w tle. Najpierw zjawiała się milicja, później ambulans. Aż czterech zomowców potrzeba było, żeby wyprowadzić krewkiego lokatora i zapakować go do suki. Dopiero przed godziną piątą zapanował względny spokój, ale Zuza już nie zasnęła. Wzięła Borysa na smycz i wczesnym rankiem wybrała się z nim na spacer. Jak zwykle starą trasą, Tumami aż do Górek, w okolice starego opactwa i z powrotem. Okazało się, że nie tylko ona już, lub jeszcze, nie śpi. Nieopodal ratusza natknęła się na proboszcza z fary, wracał z pokera, zadowolony, dziś karta mu sprzyjała. Przy Małachowiance spotkała doktora nauk, Dąbrowskiego, wcale jej to nie zdziwiło, pewnie był u kochanki, w całym Płocku od dawna aż huczało o jego płomiennym romansie. Przy katedrze natknęła się na biskupa, akurat pakował się ze swoimi ogarami do wołgi pierwszego sekretarza, zapewne razem jechali na polowanie, tu wiara, czy też brak wiary, nie była żadną przeszkodą. Przy pomniku Władysława Broniewskiego dwóch leciwych pijaczków obalało pół litra, pewnie przyszli w odwiedziny do kolegi, tajemnicą poliszynela było to, że słynny poeta za kołnierz nie wylewał. Na ulicy Kolegialnej stary

Wierzbicki wraz z pracownikiem rozładowywali żuka z pieczywem, a w jej ulubionym barze mlecznym sprzątaczką jeździła na szmacie, lokal szykował się do otwarcia. Przy placu Narutowicza Zuza dosłownie wpadła na Marcinkowskiego.

– Kogo moje oczy widzą? Moja ulubiona có...

– Nawet nie waż się kończyć! – ryknęła mu w twarz. – To wierutna bzdura.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Mów, co chcesz, faktom nie zaprzeczysz, no chyba że sobie to znamię wypalisz gorącym żelazem.

– Wy, komuchy, od prawie czterdziestu lat zaprzeczacie.

– Dokumenty, proszę!

To patrol ZOMO, który nie wiadomo kiedy się przyplątał.

Marcinkowski odwrócił się i zmierzył ich wściekłym spojrzeniem.

– Spierdalać, i to migiem! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Milicjanci zdębieli. Najwyraźniej nie zorientowali się, z kim mają do czynienia. Jeden z nich zdjął z ramienia kałasznikowa i jego lufę znacząco skierował w stronę pułkownika.

– Dokumenty! Więcej nie będę powtarzać.

– Kompanię karną macie jak w banku, i to od jutra. Tam dupy wam wymiękną – rzekł lodowatym głosem Marcinkowski i podał im jakiś dokument.

Zomowiec spojrział na papier i zbladł jak kreda. Kiedy go oddawał, drżała mu dłoń.

– Przepraszamy, ale nie poznaliśmy – bąknął, niezdarnie salutując, po czym pociągnął kolegę za ramię i pośpiesznie się oddalili.

– Czegoś potrzebujesz? Może chcesz talon na samochód? A może mieszkanie w spółdzielni? Chyba czas, żeby opuścić te norę na Zduńskiej. Powiedz tylko i od razu to masz.

– Nic nie chcę – warknęła i ruszyła w kierunku domu, ciągnąc Borysa za sobą.

– Na mózg Mariańskiego to nie licz, bo mu się poprawia! – krzyknął za nią, pokładając się ze śmiechu.

Skąd ten skurwiel nawet o tym wie? – zastanawiała się Zuza. Jak taki troskliwy, to szkoda, że pozwala, aby Januszek urządzał sobie na nią polowanie. Chyba że akurat o tym nie wie. Nie ma mowy, nie zwróci się do niego o pomoc, sama sobie poradzi.

Przed swoją kamienicą zobaczyła przechadzającego się mężczyznę. Poczła niepokój, który jeszcze się spotęgował, kiedy tamten zaczął iść w jej stronę. Szybko otworzyła torebkę i sięgnęła po lugera. Dopiero kiedy poczuła kolbę pistoletu w dłoni, poczuła się pewniej.

Mężczyzna zbliżył się do niej na kilka kroków. Nie wyglądał na wynajętego draba, ale pozory mogły mylić. O tym przekonała się już nieraz.

– Od kilku dni poluję na panią – oznajmił podniesionym głosem.

Dłoń trzymająca parabellum jeszcze mocniej się na nim zacisnęła.

– Pani pies zgwałcił moją suczkę. Teraz pewnie będą szczeniaki i co ja mam z nimi zrobić? Musi mi pani pomóc się ich pozbyć. No bo jak można wypuszczać psa luzem? Chciałem je oddzielić, ale jak wywalił na mnie zęby, to odpuściłem. To niebezpieczne bydlę i powinno być uśpione.

– To pana powinni uśpić. A skąd pan wie, że to był mój pies? Podobnych do niego biega tu multum. Proszę przyjść do mnie z twardymi dowodami, to pogadamy, bo teraz to nie ma o czym.

Ominęła mężczyznę i ciągnąc Borysa na smyczy, weszła do kamienicy. Pies, przechodząc koło nieznanego, wywalił na niego zęby, jakby chciał powiedzieć: „Palancie, nie igraj ze mną”.

Ledwie się drzwi za nimi zamknęły, Zuza zatrzymała się i ryknęła:

– Sukinsynu, będziesz dostawał brom do żarcia. Nie zamierzam zajmować się twoimi bękartami. Jeśli to się powtórzy, to każę ci obciąć jaja i je zamarynuję. Zapamiętaj to! Koniec kropka.

Tego dnia wybrała się na ulicę Ostatnią. Chciała popytać o Kłopotowskiego, może ktoś coś pamięta? Nie robiła sobie dużych nadziei, ale musiała sprawdzić każdy wątek, choćby najbardziej nierealny. To było bardzo blisko, dosłownie po kilku minutach była na miejscu. Patrząc na domki i stojący nieopodal kościół, trudno było nie pomyśleć od razu o dzwonach. Jak tu żyć z tak uciążliwym sąsiedztwem? Fara znajdowała się dużo dalej od jej mieszkania, ale mimo to jej dzwony budziły Zuzę w każdą niedzielę punkt szósta rano. Ponoć dzwonili na Anioł Pański, ale był z tym nie anioł, lecz raczej krzyż pański.

Dom Kłopotowskiego był ostatni w rzędzie. Od razu poznała go po okratowanych oknach. Przypuszczała, że to jedyna pozostałość po byłym właścicielu. Zadzwoiła do furtki sąsiada. Pierwszy przy ogrodzeniu zameldował się łaciaty kundel i zaczął ją obszczekiwać. Bohater, a jakby tylko weszła na teren, to pewnie podkuliłby ogon i zwiął. W końcu pojawiła się jakaś kobieta. Młoda, niedobrze, nic się od niej nie dowie, ale może ma dziadków na dożywociu. Przyglądała się Zuzie ciekawie.

– O co chodzi?

– Nazywam się Lewandowska i jestem adwokatem, szukam kogoś, kto tu mieszka co najmniej od ponad dwudziestu lat.

W oczach kobiety pojawił się niepokój. Pewnie pomyślała, że coś jest nie tak ze sprawami własnościowymi, może ktoś wyciąga ręce po ich nieruchomość.

– Ale o co konkretnie chodzi? Proszę mówić jaśniej.

– Ten dom obok należał kiedyś do pana Kłopotowskiego. Szukam ludzi, którzy go znali. Może pani rodzice, teściowie, ktokolwiek?

– Spóźniła się pani, rodzice od kilku lat nie żyją. Wiem, że tu doszło do okropnej zbrodni, ale sama nic nie pamiętam, bo wtedy byłam mała. Jedyne, co mi utkwilo w pamięci, to mnóstwo radiowozów milicyjnych i karettek, a na wszystkich mrugały niebieskie koguty. To mi się wtedy

bardzo podobało. Ponoć prosiłam później mamę, żeby mi kupiła samochód z takimi światełkami, bo chciałam się bawić w milicjantów.

– A czy ktoś tu w okolicy może to lepiej pamiętać?

– Raczej nie. Może ksiądz proboszcz u Jana, bo jest stary, ale nie jestem pewna, czy aż tak długo tu pełni swoją posługę. Jeśli tak, to może chodził z kolędą.

Faktycznie, to był bardzo leciwy mężczyzna, ale objął parafię niecałe dwadzieścia lat temu. Zuza wiedziała to stąd, że pierwszego dnia odprawił mszę żałobną jej ciotki Feli, a ona zmarła w czasie wydarzeń marcowych. Wtenczas była w Warszawie w odwiedzinach u przyjaciółki. Na ulicy została popchnięta przez zomowca, i to tak silnie, że się przewróciła. Miała pecha, bo uderzyła skronią o krawężnik, co się z reguły źle kończy; tak było i tym razem. Do dziś Zuza dobrze pamiętała pogrzeb przez płomienne polityczne kazanie nowego proboszcza. Wtedy poczuła do niego sporo sympatii, ale kiedy przyszło do płacenia za pochówek, wszystko się gdzieś nagle ulotniło.

– Nie sądzę, ale dziękuję za radę.

W kancelarii Zuza zjawiała się tuż po ósmej. Chwilę później przyszła aplikantka. Jeszcze w płaszczu zajrzała do jej pokoju zdać relację.

– Byłam wczoraj w Gostyninie. Pani koleżanka sprawdziła wszystko dokładnie i jest pewna, że nikt niebezpieczny nie przebywał w zakładach zamkniętych w tym przedziale czasowym. Owszem, mają kilku wariatów zgodnych profilowo, ale oni wciąż siedzą. Nawet mi jednego pokazała przez okienko w drzwiach. Niesamowite, wyglądał jak z filmu, dziki wzrok, włosy w nieładzie. Za żadne skarby nie chciałam takiego spotkać na ulicy.

Zuza nie wydawała się zaskoczona.

– Spodziewałam się tego. Dostaniesz nowe zadanie. Masz może aparat fotograficzny?

– Oczywiście, od wczoraj nawet dwa. Przez parę lat należałam do klubu fotografów amatorów.

– To się chwali. Pójdiesz zrobić zdjęcie jednemu sukinsynowi, tylko dyskretnie.

– A kto to?

– Zastępca komendanta, niejaki pułkownik Januszek. Pamiętaj, chodzi mi wyłącznie o jego twarz, resztę możesz uciąć.

– Ale jak on wygląda? Jak mam poznać, kogo sfotografować?

– Poglówkuj, popytaj w komendzie. Na pewno coś wymyślisz, a teraz możesz już lecieć do domu po sprzęt.

– Nie trzeba. Mam go tutaj. Zawsze noszę przy sobie aparat od czasu, kiedy spotkałam Stanisława Mikulskiego. Porozmawiał ze mną, i to długo. Gdybym go wtedy miała... – rozmarzyła się.

– Później mi o tym opowiesz. Teraz zrób mi kawę, sobie zresztą też. A za godzinę w delikatesach jest do odebrania oryginalna angielska herbata, przy okazji weź dla mnie dwie butelki stocka. Aha, bym zapomniała, w punkcie skupu makulatury przy Gagarina czeka na mnie wór papieru toaletowego. Masz kogoś, kto by cię podwiózł? Jeśli odbierzesz, to się z tobą podzielę.

– Mój chłopak ma trabanta, to mogę go poprosić.

– Każ mu, a nie proś. Wychowuj go od samego początku, bo potem będzie za późno. Skurczybyk się znarowi. Posłuchaj mnie, znam się na facetach jak mało kto.

Dziewczyna wołała nie wchodzić w dysputy na ten temat, jedynie się uśmiechnęła, po czym wyszła, żeby zaparzyć kawę. W progu minęła się z jakimś klientem.

Zuza akurat przypalała papierosa. Spojrzała na wchodzącego z zainteresowaniem, zachowywał się tak, jakby był z nią wcześniej umówiony, a tego sobie nie przypominała. Niski, krępy, młody, nie miał więcej niż trzydzieści kilka lat. Gładko ogolony, włosy krótko przyszczyżone, na jeża. Milicjant lub wojskowy, oceniła go na szybko Zuza.

Wskazała mu krzesło, skrzętnie z zaproszenia skorzystał.

– Słucham pana, w czym mogę pomóc? Chyba jest pan u mnie pierwszy raz, mam świetną pamięć do twarzy, z nazwiskami już trochę gorzej.

– To ja mogę pani pomóc, i to bardzo.

Zdziwiła się. Co on bredzi? Następny czubek? Co jakiś czas pojawiali się w kancelarii i znikali.

– Nie rozumiem. Proszę się streszczać, bo mam dużo pracy.

Mężczyzna podniósł się, podszedł do zegara wiszącego na ścianie, odchylił go i wyjął zza niego jakieś urządzenie, następnie sięgnął po słuchawkę telefonu i ją rozkręcił, tam też coś tkwiło, a na koniec skupił się na abażurze lampki. I znów celne trafienie. Wszystkie znaleźiska rzucił na podłogę i zgniótł je obcasem, po czym na powrót usiadł.

– Nieźle. – Pokręciła głową z podziwem. – Widzę, że ma pan sporą wiedzę na pewne tematy.

– Owszem, mam zlecenie na panią – rzekł lodowatym głosem.

Zuza poczuła, jak ciarki przemknęły jej przez kręgosłup. Uważnie przyjrzała się gościowi. Nie wyglądał na żartownisia.

– Nie rozumiem. Jakie zlecenie i na kogo?

– Czego, kobieto, nie rozumiesz? Mam cię ukatrupić, a inaczej mówiąc: zabić. Wyraziłem się dość jasno?

Nawet na chwilę nie spuszczała z niego wzroku. Kamienne oblicze, zimne spojrzenie. Kurwa mać, ten facet nie żartuje, to dzieje się naprawdę.

– Mam rozumieć, że to pan mnie wepchnął pod samochód? Kiepsko wyszło, żyję – zadrwiła.

– Jeszcze, ale to tylko kwestia czasu.

– W takim razie nie wiem, po co ta wizyta. Przyszedł mnie pan ostrzec przed samym sobą? To jest co najmniej dziwne. Jeśli chciał pan zobaczyć strach w moich oczach, to się pan przeliczył. Kurwa mać, nie zamierzam błagać o litość. Zresztą nie tak łatwo jest się mnie pozbyć. Wielu już próbowało i wciąż żyję, a oni nie.

– Tym razem będzie inaczej. Jestem w tym fachu najlepszy. Nie po to przyszedłem, proponuję układ.

– Jaki układ? – zdziwiła się. – Mów pan jaśniej, bo ja już nie nadążam.

– Mogę zrezygnować z tego zlecenia. Oczywiście za pewną sumę pieniędzy, taką małą rekompensatę.

Zuza, słysząc to, zaśmiała się z goryczą.

– Raczej nie jestem zainteresowana. Wiem dobrze, że jak nie pan, to ktoś inny będzie za mną chodził i czekał na odpowiedni moment, żeby mi łeb ukręcić. A zatem byłyby to pieniądze wyrzucone w błoto.

– Słusznie i dlatego proponuję opcję odwróconą. Zabiję mojego zleceniodawcę, a kiedy go zlikwiduję, to nikt już nie będzie nastawał na pani życie. To będzie kosztować trzy tysiące dolarów w gotówce. Co pani na to?

– Nic. Jak powiedziałam wcześniej, nie jestem zainteresowana. To nie wy mnie dorwiecie, ale ja was. Zaprowadzę Januszka na szubienicę, a i na ciebie, kolego, znajdę odpowiedni paragraf.

Mężczyzna wzruszył nerwowo ramionami, wyraźnie zawiedziony odmową.

– Radzę przyjąć moją propozycję, proszę nie być głupią.

– Nie potrzebuję zabójcy, żeby pozbyć się pułkownika. Chcę, żeby cierpiał, żeby czekał w celi śmierci na wykonanie wyroku, wsłuchiwał się w odgłos kroków na więziennym korytarzu i w strachu czekał na tych, co przyjdą po niego, by go zabrać na ostatnią przechadzkę. Tego chcę, mój panie, a ciebie się nie boję.

Mężczyzna dźwignął się z krzesła.

– Przyjdę jutro po ostateczną odpowiedź, proszę się jeszcze raz dobrze zastanowić.

– Czemu jest pan nielojalny wobec Januszka? Czemu chce go pan zdradzić? To mnie bardzo zastanawia. Mnie też by pan wykiwał?

– Będę jutro – rzekł, po czym wyszedł.

Zuza zapaliła następnego ekstra mocnego. Wciągnęła głęboko dym i równie głęboko się zadumała. Kurwa mać, to dzieje się naprawdę? Zawodowy zabójca przychodzi do swojej przyszłej ofiary z niemoralną propozycją. No bo jak to inaczej nazwać? A może to jest jakaś wyjątkowo wyrafinowana zagrywka? Ale czyja? Januszka? Nie, tu zapewne chodzi o coś jeszcze innego. Tak czy owak, pewnie jakby dostał pieniądze, to i tak by ją zabił.

Aplikantka przyniosła kawę. Zuza gestem ręki kazała jej usiąść.

– Słuchaj, co byś zrobiła, gdyby przyszedł do ciebie zabójca mający na ciebie zlecenie i oświadczył, że za jakieś tam konkretne pieniądze zabije nie ciebie, ale zleceniodawcę?

Pytanie kompletnie zaskoczyło dziewczynę. Dłuższą chwilę się zastanawiała.

– Nie uwierzyłabym mu. Tak jak chce zdradzić zleceniodawcę, tak może zrobić to i na odwrót. A może to zwykły naciągacz? Chyba nie chodzi o panią? – Wbiła w Zuze przerażony wzrok.

– Spokojnie, nikt nie chce mnie zabić, to tylko takie czysto hipotetyczne pytanie, nic więcej. Jesteśmy prawnikami i mogą nas w życiu spotkać różne dziwne sytuacje. Dobra, ruszaj w teren, zrób zdjęcie temu skurwysynowi Januszkowi, to bardzo pilne.

W chwilę potem dziewczyna wyszła polować z aparatem na pułkownika, a Zuza ruszyła ze swoistą pielgrzymką po zakładach fotograficznych. Zaczęła od tego w „Antypodkowie”, od Drabika. Widząc ją, mocno się wystraszył, pewnie pomyślał, że znów będzie musiał ukrywać jakiegoś solidarnościowca.

Januszka znał z widzenia, ale nie przypominał go sobie z wcześniejszych lat. Długo sprawdzał w zapiskach, lecz nic nie znalazł. Klisze z reguły oddawał klientom, a te pozostawione spalał w piecu. Poszła do drugiego, tego z figurką kominiarza w witrynie. Tak jak Drabik bardzo chciał jej pomóc, ale i tym razem skończyło się tylko na dobrych chęciach. Był jeszcze trzeci zakład, jednak od miesiąca zamknięty z powodu choroby fotografa. Zuza wciąż nie traciła nadziei, przecież zostały jej szkolne

archiwa. Wróciła do domu po samochód. Technikum elektryczne znajdowało się na obrzeżach miasta, naprzeciwko siedziby straży pożarnej. Zaparkowała przy boisku i weszła do gmachu. Chyba trafiła na przerwę, bo na korytarzach przewalał się tłum młodzieży. Woźna zaprowadziła ją do sekretariatu, a tam zastała dwie pracownice przekładające jakieś dokumenty. W ogóle nie zareagowały na jej przybycie, jakby była niewidzialna. Chrząknęła, ale i to nie pomogło.

– Jest tu kto?! – ryknęła na cały regulator.

Dopiero teraz łaskawie na nią spojrzały.

– O co chodzi? – spytała opryskliwie jedna z nich.

– Szukam waszego szefa.

– Jest zajęty – odparła sekretarka i wróciła do papierów.

Zuza nie zamierzała ustępować, więc wzięła sprawy w swoje ręce i wykorzystując nieuwagę biurw, bezceremonialnie wtargnęła do gabinetu dyrektora.

Za biurkiem zobaczyła dobrze znaną jej twarz. To przecież Franciszek Malinowski, gdyby wiedziała, że tu rządzi, to pewnie wystarczyłby telefon. Mężczyzna też od razu ją poznał. Szeroki uśmiech rozlał się na jego twarzy.

– Co za niespodzianka! Zapraszam.

Wtem zjawila się sekretarka i zaczęła się tłumaczyć zwierzchnikowi.

– Ta obywatelka weszła tu siłą. Czy mam wezwać pana Stasia?

– Spokojnie, pani Zosiu, wszystko w porządku, to moja dobra znajoma. Proszę nam lepiej zrobić dwie kawy.

Zostali sami. Przypatrywali się sobie z ciekawością, bądź co bądź nie widzieli się szmat czasu. Franek był chłopakiem jej przyjaciółki Danki. Zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach tuż przed ich ślubem. To był prawdziwy szok dla wszystkich. Zuza kiedyś obiecała sobie, że zajmie się tą sprawą i ją wyjaśni. Do dziś tego nie zrobiła i przez to wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– Ile to już lat? Chyba z piętnaście? Dobrze liczę? Jeśli nie, to mnie popraw.

– Tak, minęło w lipcu – odparł Franek. – Tydzień temu byłem na pogrzebie jej matki, dostała wylewu krwi do mózgu.

– Nie wiedziałam, też poszłabym na pogrzeb. A co u ciebie? Jak żyjesz?

– Ożeniłem się, nawet dwa razy, i mam dwie córki. Chyba nie nadaję się na męża. Dzieci mam z pierwszą żoną. Chodzą już do szkoły. A ty?

– Co ja? – Spojrzała na niego pytająco.

– No, czy masz męża, dzieci?

– Nie żartuj, wy, wszyscy faceci, jesteście do dupy. Szkoda na was zachodu. A dzieci? Po co mi zmieniać pieluchy, chodzić na wywiadówki i wysłuchiwać durnych nauczycieli? Lepiej w tym czasie sięgnąć po dobrą książkę lub posłuchać muzyki.

Sekretarka weszła do gabinetu z kawą, postawiła filiżanki i wyszła.

– Co cię do mnie sprowadza? Domyślam się, że nie chodzi o ucznia.

– Zgadza się, choć niezupełnie. Prawdopodobnie to technikum ukończył kiedyś pewien mężczyzna, poszukuję jego zdjęcia z tamtego okresu.

– Który to rocznik i jak się nazywa? Sprawdzimy w archiwum.

– Roku urodzenia nie znam, nazywa się Januszek.

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

– Czy przypadkiem nie chodzi ci o komendanta?

– Niezupełnie przypadkiem, ale właśnie tego sukinsyna mam na myśli. Znasz go?

– Jako absolwent jest nieraz zapraszany na rozdanie świadectw. Niestety, mam dla ciebie złe wiadomości.

– To znaczy? Co konkretnie masz na myśli?

– Bodajże dziesięć lat temu w szkole wybuchł pożar i spaliła się część archiwum, a w tym dokumenty całego jego rocznika. Choćbym chciał, to nie mogę ci pomóc. Po prostu ogień wszystko strawił, i to doszczętnie.

– Kurwa mać – zaklęła pod nosem. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewała. – Podpalenie czy przypadek? – spytała pro forma, bo przecież to nie mogło być przypadkowe. Januszek niszczył wszystko, co mogło mu zaszkodzić.

– Podpalenie, ale sprawców nie udało się ustalić.

– Domyślam się, nawet wiem, kto prowadził dochodzenie – rzekła drwiąco. Wyjęła papierosy i zapalili.

– A co u Frani? Chyba się z nią kumpłowałaś?

– Nie wiem, jakiś czas temu straciłam z nią kontakt...

Zuza weszła do kancelarii. Czowała się jak zbity pies, ze swoim śledztwem nadal była w czarnej dupie. Januszek wciąż ją wyprzedzał, i to o całe lata. Trzeba przyznać, że był godnym jej przeciwnikiem. Wyjęła stocka i naląła sobie. Zaczęła się zastanawiać, co dalej czynić, ale w głowie miała wielki galimatias. Nawet nie zauważyła, gdy wróciła Siedlecka.

– Chodź, chodź, tylko mi nie mów, że nic nie działałaś. Dziś nie chcę więcej złych wiadomości, bo się chyba, kurwa mać, z rozpaczy upiję.

– Powinna pani być ze mnie zadowolona, mam zdjęcia.

– Zdjęcia? Wystarczyłoby jedno, ale dobre. Doskonale, idź je gdzieś wywołać, ale dyskretnie.

– Mam wywołane.

– Już? Jakim cudem? Jestem pod wielkim wrażeniem. – Zuza nie kryła zadowolenia. Dziewczyna coraz bardziej jej się podobała. Była inteligentna i chętna do pracy. Czego więcej trzeba w tym zawodzie? Chyba tylko szczęścia, ale ono wszędzie jest potrzebne.

– To polaroid, amerykański wynalazek i mój najnowszy nabytek.

– A co to za cholerstwo?

– Robi zdjęcie i od razu je wywołuje. Nie słyszała pani o tym? Jest dostępny w pewexie. Teraz mogę spotykać aktorów i od razu mam fotkę, a na niej autograf.

– Coś kiedyś słyszałam, ale dawaj te zdjęcia. Zobaczę, jak się spisałaś.

Aplikantka podała jej trzy fotografie. Zuza zerknęła na nie i zdumiała się. Spojrzała z nieskrywanym podziwem na swoją pracownicę.

– Zrobiłaś też zdjęcie mężczyźnie, który był u mnie dziś rano? Nawet nie wiesz, jaką mi wyświadczyłaś przysługę. Ta fotka może komuś uratować życie.

– To jednak o panią chodziło? – spytała drżącym głosem Siedlecka.

– Nie bądź, kurwa, za domyślna, bo tego nie lubię – warknęła na nią, wrzuciła fotki do torebki i z płaszczem przerzuconym przez rękę

pośpiesznie opuściła biuro. Wróciła po chwili, jakby czegoś zapomniała. – Skoro jesteś taka sprytna, to pomyśl, jak zdobyć zdjęcie tego milicjanta, ale z młodości. Jeśli coś wymyślisz, to daj mi znać, będę w domu.

Po czym wcisnęła jej w dłoń jedną z fotek.

Ledwo zdążyła na spotkanie z biskupem. Dziś miała otrzymać odpowiedź, czy Kościół przychyli się do prośby Jacka Niegórskiego, działacza PZPR, czy też nie. Bardzo była ciekawa decyzji. W sumie w grę wchodziły spore pieniądze. Co wygra – pazerność dostojnika kościelnego czy kościelne zasady? Za długo błędziła po tym świecie, żeby stawiać na to drugie. Była więcej niż pewna, że jak zwykle i tym razem nic się nie oprze potędze mamony.

Tak jak poprzednio, zakonnica zaprowadziła ją do gabinetu hierarchy. Czekał już na nią. Zwróciła uwagę na jego dłonie, masujące się, jakby wcierał w nie krem. Chyba mimo wszystko czuł się trochę niezręcznie, chyba ciut przyzwoitości jeszcze tliło się w jego duszy.

Usiadła na przygotowanym dla niej krześle i spojrzała wyczekująco na biskupa.

– Właśnie wróciłem ze Stolicy Apostolskiej – zaczął – gdzie przedstawiłem prośbę pani klienta, a naszego dobrego parafianina.

Dobrze się zaczyna, pomyślała.

– Nie ukrywam, że uznanie małżeństwa za nieważne to wielka rzadkość, bo żeby do tego doszło, musi zaistnieć równolegle wiele ważnych okoliczności. Tu takowe miały miejsce, co rzetelnie przedstawiłem, dodatkowo poręczając swoją osobą prawdziwość zaistniałych zdarzeń. A zatem, żeby nie przedłużać, została stwierdzona nieważność sakramentu. W mojej kancelarii są przygotowane stosowne dokumenty. Uzgodnioną wpłatę proszę uiścić w terminie tygodnia, najlepiej gotówką u siostry Teresy. Z Bogiem, córko!

Uczynił dłonią znak krzyża, ciężko się dźwignął z fotela i opuścił salę, tym samym kończąc jej wizytę.

Zuzą zaczęły targać mieszane uczucia – z jednej strony czuła niesmak, ale patrząc z drugiej, za pieniądze zarobione na tej sprawie postanowiła kupić aparat do zdjęć Polaroida. Trzeba nadążać za postępem, który czasem zapuka nawet i do tego siermiężnego komunistycznego potworka zwanego Peerelem.

Po wyjściu z pałacu biskupa zaraz na placu Narutowicza zeszła za potrzebą do podziemi, do publicznego szaletu, ale w połowie schodów cofnęła się z obrzydzeniem. Ślady na stopniach świadczyły o tym, że bydło załatwia się już przed drzwiami. Trudno, nie będzie nurzać się w gównie pospólstwa.

Idąc Tumską, spotkała Kowalskiego. Skłonił się nisko, czym ją mocno zaskoczył, bo myślała, że potraktuje ją jak powietrze. Czyżby puszczał do niej oko na znak chęci pojednania? Pewnie znudziły mu się wieśniaczki z kurami w koszykach i chłopci wiecznie kłócący się o miedzę. Temu się akurat nie dziwiła. W sumie papugi nie upiekł, to był tylko żart, swoją drogą beznadziejnie głupi. Jej też trochę było smutno bez jego towarzystwa, dobrze, że chociaż miała aplikantkę, no bo ile można rozmawiać jedynie z portretem ojca? W końcu jeszcze by ją zabrali do Gostynina, do czubków, do pokoju bez klamek ze ścianami wyłożonymi materacami.

Ledwie zdążyła wstawić wodę na herbatę i opróżnić popielniczkę, kiedy zjawił się klient, Jacek Niegórski. Usiadł na krześle i wbił w nią wyczekujące spojrzenie pełne obaw. Zuza chwilę odczekała, poczęstowała go papierosem, zapalili, celebrowała moment obwieszczenia sukcesu.

– Było ciężko, bo biskup twardo obstawał przy swoim stanowisku. Jednak w końcu nasze argumenty trafiły do niego i wygraliśmy! Będzie pan mógł ponownie stanąć na ślubnym kobiercu, może pan też poprosić swoją byłą żonę, żeby została pańskim świadkiem. Nawet by to było zabawne. – Nie mogła się powstrzymać od drobnej uszczypliwości.

Ten pomysł wyraźnie nie przypadł mu do gustu.

– Nie, to niemożliwe. Zresztą Ela nie chce mnie widzieć. Dziękuję za pośrednictwo. Bardzo nam pani pomogła.

– No cóż, od tego są adwokaci. Zapraszam ponownie, kiedy znów będzie pan chciał zrzucić z siebie jarzmo małżeństwa. Powinno pójść gładko, bo szlaki już mamy przetarte. Może dostaniemy jakiś upust?

– Nie, teraz to miłość do grobowej deski. – Wyjął z za pazuchy grubą kopertę i położył ją na blacie biurka. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko, przyślę pani zaproszenie na ślub i wesele. Niestety z racji mojej funkcji nie mogę się z tym afiszować i dlatego uroczystość odbędzie się w Toruniu.

– Proszę się nie fatygować, na pewno nie skorzystam. Od czasu, kiedy w trakcie powrotu z wesela chciano mnie zabić, nie uczestniczę w tego rodzaju imprezach. Wolę nie kusić losu.

Niegórski opuścił gabinet, zaś koperta wylądowała w szufladzie biurka. Tym samym sprawa została zamknięta, amen.

Zuza dziś miała do załatwienia jeszcze jedną rzecz. Zamknęła kancelarię, na drzwiach przykleiła kartkę o treści „Zamknięte z powodu awarii elektryczności” i poszła do ratusza spotkać się z Marcinkowskim. Znów złamała świętą zasadę, ale i powód wizyty był wyjątkowy, chodziło o jej życie.

Pułkownik zdumiał się niezmiernie na jej widok.

– Prędzej bym się tu ducha Mariańskiego spodziewał aniżeli ciebie.

– Mariański, o ile wiem, ma się coraz lepiej – zauważyła, nie kryjąc rozczarowania.

– Podobno. Co cię do mnie sprowadza? Może się napijesz koniaku?

– Nie mam ochoty.

Wyjęła z torebki zdjęcie i bez słowa wyjaśnienia mu je podała.

Spojrzał, chwilę mu się przyglądał uważnie. Zuza w tym czasie nawet na moment nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Zawiodła się – albo był dobrym graczem, albo nie znał zabójcy, bo to jego fotkę mu pokazała. Oddał jej zdjęcie i spojrzał na nią pytająco. Jakby chciał usłyszeć, o co konkretnie jej chodzi.

– Kto to jest? Znasz tego typa? Jeśli tak, to powiedz mi coś o nim. Muszę się koniecznie czegoś dowiedzieć – zaatakowała go pytaniami.

Uśmiechnął się zagadkowo i sięgnął po butelkę.

– Najpierw się napijmy.

– Dobra, nalej – zgodziła się, choć niechętnie.

Wypili w milczeniu. Potem zapalili. Marcinkowski wyraźnie się nie spieszył. Każdą czynność długo celebrował.

– No mów, do cholery. Kto to jest? – Zuza w końcu go ponagliła.

– Jan Kołakowski, a właściwie major Kołakowski, oficer Ludowego Wojska Polskiego. Zadowolona?

– Czym się w armii zajmuje? Chyba nie czyści butów generałowi? – spytała kpiąco.

– Robi to, co ja kiedyś, chyba wiesz, co mam na myśli?

– Ach tak, kolega po fachu. Widzę, że to w tym kraju bardzo popularny zawód, chyba bardziej niż elektryk. Co i rusz takich napotykam.

– To świr, strzeż się go. Znajomość z nim może być śmiertelnie niebezpieczna.

– Owszem, o tym już się przekonałam – odparła Zuza.

Roześmiał się.

– Nie wiem, co o nim wiesz, raczej nie to, co ja, bo to wie tylko wąskie grono, ale ze względu na nasze koligacje właśnie tym się z tobą podzielę. Ten cały Kołakowski jest podejrzany o szpiegostwo na rzecz NATO. Lada moment zostanie aresztowany, czekamy tylko na sygnał z Warszawy. Trzymaj się od niego z daleka, żeby ci nie zarzucili tego samego. Chyba wiesz, że za to grozi czapa?

Zuza zdumiała się. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. To chyba niemożliwe? Czy na pewno mówili o tym samym człowieku?

– Jesteś pewien, że to on? Spójrz jeszcze raz na fotografię.

– Oczywiście, to bardzo dobre zdjęcie. Widzę, że kupiłaś polaroida. Zapamiętaj to sobie: Kołakowski jest jak trędowaty, omijaj go wielkim łukiem. Po wpadce z Kuklińskim, któremu udało się uciec do Ameryki, kontrwywiad nie pozwoli sobie na powtórkę takiego błędu.

– Zabiją go?

– Nie sądzę. Pewnie z rok posiedzi, a później wymienią go za kogoś z naszych. Co i raz w Berlinie na jednym z mostów dochodzi do takich wymian.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwiła się. Czyżby nocami słuchał Radia Wolna Europa?

– Bo byłem jednym z pierwszych, których wymienili. Za mnie oddano Amerykanom rosyjskiego pisarza, nie pamiętam jego nazwiska. Cieszę się, że znów ci pomogłem. Myślę, że będziesz o tym pamiętać? Ile to już razy? – Uśmiechnął się dwuznacznie.

– I tak cię nienawidzę! Zabiłeś mojego krewnego i musisz za to odpowiedzieć.

– Wykonywałem swoją pracę, a zresztą to nie był twój krewny.

– A idź do diabła!

Poderwała się z krzesła, chwyciła torebkę i bez pożegnania opuściła gabinet, na koniec efektownie trzaskając drzwiami.

Marcinkowski znów sobie nalał i wypił. Podszedł do okna i spojrzał przez firankę w dół, na plac Nowotki, dawniejszy Stary Rynek. W oddali widać było Zużę, jak energicznym krokiem zmierzała w stronę ulicy Grodzkiej.

Narwana jak ja i lubi wypić jak ja, w końcu to moja krew, pomyślał.

Stara willa na Żoliborzu. Przed wojną należała do bogatego bankiera Guntera. Teraz stanowiła własność wojska. Mieszkał w niej generał Ryszard Rajewski, szef tajnej komórki wywiadu wojskowego. Dziś nie pojechał do pracy, stał w oknie, obserwował ulicę i co rusz nerwowo zerkał na zegarek.

Było blisko dziewiątej, gdy przed domem zatrzymała się czarna wołga. Zza kierownicy wysiadł Januszek.

– Kurwa mać, oby to kupił – mruknął pułkownik pod nosem sam do siebie, rozejrzał się czujnie po ulicy, po czym podszedł do furtki. Zgrzytnął elektrozaczep, więc pchnął ją i wszedł na teren posesji. Przywitali się w przedpokoju silnym męskim uściskiem dłoni i przeszli do salonu, urządzonego na wzór domku myśliwskiego – na ścianach wisiały płótna przedstawiające polowania oraz mnóstwo jelenich rogów, a nad kominkiem dwie stare zabytkowe strzelby, wyglądające na skałkowe. Mężczyźni rozsiedli się w skórzanych fotelach, przy ciężkiej dębowej ławie, zapewne pamiętającej Guntera.

– Spóźniłeś się. Czekam na ciebie od godziny, a tego nie cierpię. Co się stało? Tylko mi nie pierdol, że zaspasłeś.

– Po drodze był wypadek, milicyjny skot wpadł w poślizg i zsunął się częściowo do rowu. Całą trasę zablokował.

– Kurwa mać, nie mów mi, że skot sobie nie poradził z jakiś gównianym rowem.

– Może by sobie poradził, ale na dodatek się zepsuł.

– W to mogę uwierzyć, połowę naszego sprzętu bym zełomował. Dobra, ale to nie jest ważne. Przejdźmy do konkretów. Mów, o co chodzi? Czemu mam wszystko opóźnić? Zaczynasz mnie wkurwiać.

– Spokojnie, Rysiu, już wyjaśniam. Kiedyś ci opowiadałem o tej sprawie. Mieliśmy układ. Wydawało się, że wszystko przepadło, ale wyniknęły nowe okoliczności.

– Nic nie rozumiem. Chcę konkretów. Streszczaj się, bo mam spotkanie w sztabie.

– To adwokatka. Nazywa się Zuzanna Lewandowska i jest cholernie wścibska, wciąż wpierdala nos w nie swoje sprawy.

– No i co z tą adwokatką? Kurwa, mów jaśniej!

– Ona może nam pomóc, choć o tym nie wie. Od jakiegoś czasu pilnie ją obserwuję, znam jej każdy ruch. Wkroczę w odpowiednim momencie. Wezmę, co moje, a ją zlikwiduję.

– Weźmiesz, co nasze – poprawił go natychmiast generał. – Taka była umowa.

– Zgadza się. Przecież bym cię nie wykiwał.

– Byś tylko spróbował. Dobra, daję ci jeszcze dwa miesiące. Każ Kołakowskiemu się przyczaić, nie może się nigdzie pokazywać, to jest ściśle tajne. Czego się napijesz? Mam wyborową i jakieś wódki radzieckie.

– Wyborową. Utrzymujesz może kontakt z Władkiem? Nie widziałem go od szkoły, a słyszałem, że działa w dyplomacji.

– Zgadza się. Powinęła mu się noga na pewnej operacji w RFN i wysłali go do Mongolii na attaché. Znając Jaruzelskiego, wiem, że dopóki on będzie premierem, to Władek nie wróci z Ułan Bator. Wypijmy za powodzenie. No to na pierwszą nóżkę!

Zuza tak była pogrążona w myślach, że nie zauważyła Piosika stojącego w pobliskiej bramie.

– Pani mecenas. – Pociągnął ją za rękaw płaszcza. Dopiero teraz go zobaczyła.

– Co tam? Znów fajek zabrakło? Mam caro, to mogę ci dać.

– Pani mnie zawsze częstuje takimi eleganckimi fajkami, trudno odmówić, ale może ma pani popularne? Ja jestem do takich prostackich szługów przyzwyczajony.

– No nie mam. Bierz te, bo się rozmyślę.

Wcisnęła mu papierosy w dłoń i zamierzała iść dalej.

– Niech pani poczeka. Ta sprawa z tą spluwą, no wie pani z którą? – Ściszył głos.

Spojrzała na niego wymownie i skinęła głową.

– Pozbyłem się już tego trefnego towaru. Tak że nie ma strachu. Psy go nigdy nie znajdują.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go. – A skoro cię widzę, to może chciałbyś zarobić? A właściwie ty i twoi kumple?

– Czemu nie? Co mam skroić?

– Piosik, kurwa mać, czy ty nigdy nie pomyślałeś, że można zarabiać uczciwie?

– Uczciwie? – Na jego twarzy pokazał się grymas. – A czy to się opłaca?

– Nieraz tak. Potrzebuję, żebyście mnie ochraniali. Jak wychodzę z domu lub kancelarii, szczególnie po południu, czy wieczorem, żeby zawsze ktoś z was szedł za mną i nie pozwolił, by mnie napadnięto.

– Ma pani na myśli kogoś takiego jak ten ubek, co zginął? Myśli pani, że będzie następny?

– Jestem tego pewna. No to jak?

– Pogadam z kumplami, może być trudno, nie każdy chce zadzierać z bezpieczeńką. Pamięta pani sprawę Józka Goleckiego? Pobił ubeka, a za tydzień wyłowili go z Wisły. Franka Cichockiego zadźgali w jakiejś bramie, a Tadka Próchno zakatowali w przechodniaku do Kwiatka. Powiem tak: ja mogę się zgodzić, ale z nimi trza pogadać.

– Dobra, to pogadaj z nimi i przyjdź do mnie.

Na Tumskiej Zuza wstąpiła do sklepu filatelistycznego. Rzadko tu zaglądała, a jeśli już, to jedynie po koperty. Tym razem powód był zupełnie inny. Wiedziała, że ekspedientka jest zapaloną filatelistką, a takiej osoby potrzebowała, żeby przybliżyła jej co nieco zasady kolekcjonerstwa i jak kształtują się ceny, bo do dziś nie miała o tym nawet bladego pojęcia. Zeszło jej blisko godzinę, ale sklep opuściła bardzo usatysfakcjonowana. Nigdy wcześniej nawet do głowy jej nie przyszło, że za jeden znaczek można kupić kilka domów, bo może przedstawiać tak dużą wartość. Ciekawe, czy Kłopotowski, mężczyzna zabity dwadzieścia lat temu, posiadał aż tak cenne okazy. Wprawdzie w protokołach milicyjnych nie było żadnej wzmianki o jakiegokolwiek kradzieży, ale kto to stwierdził, skoro nie miał rodziny? Sąsiadka? Na pożegnanie ekspedientka podała jej namiary na najbardziej znanych płockich filatelistów. Oni na pewno znali

zamordowanego, może coś wiedzieli na temat jego kolekcji. Dwóch z nich Zuza знаła, jeden był emerytowanym adwokatem, a drugi lekarzem. Postanowiła udać się do tego pierwszego, tym bardziej że mieszkał niedaleko, w bloku przy Jerozolimskiej. Kiedyś już go odwiedziła, ale to było dawno, jeszcze żył jej ojciec. Pamiętała, że zanosila mu jakieś dokumenty, żeby się z nimi zapoznał.

To było aż czwarte piętro, więc się zasapała, wszystko przez papierosy, bo przy tak ekstremalnych wyczynach ponoć smoła odlepiła się od ścianek płuc. Tak w każdym razie twierdził pan Tadzio, ale czy to prawda, trudno powiedzieć. Stała przed drzwiami z numerem jedenaście i w nie zapukała. Cisza! Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała chwilę. Wkrótce usłyszała z wewnątrz odgłos kroków, później zgrzytnął zamek i w progu stanął Adam Zieliński. Dawno go nie widziała, przez ten czas mocno się posunął, włosy mu się przerzedziły, oczy zapadły w oczodołach, przygarbił się. Szeroko się do niej uśmiechnął, a więc ją poznał.

– Co za niespodzianka, kogo jak kogo, ale koleżanki bym się nie spodziewał. Zapraszam.

Odsunął się na bok, robiąc miejsce. Zuza weszła do środka. Z ciekawością rozejrzała się po mieszkaniu. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, książki. Półki regałów się od nich uginały, książki leżały na stole, nawet na parapetach. Były tego chyba tysiące wolumenów.

– Wszystkie pan przeczytał? – spytała, kręcąc głową z podziwem. – Moja biblioteka to nawet nie jedna dziesiąta pańskiej, a dotąd myślałam, że jest spora.

– Jeszcze ich nie pochłonałem, ale jak Bóg pozwoli i da mi długie życie, to zdążę. Proszę spocząć. – Wskazał jedyne puste krzesło. – Napije się pani czegoś? Mam dobrą herbatę, kawę taką sobie, ale koniak przedni, prosto z Francji. Dostałem go w paczce od kuzyna.

– To może lampeczkę.

– Słuszny wybór. Dobry alkohol pobudza komórki mózgowe. Tak w każdym razie twierdzi mój przyjaciel doktor Kalicki. Zresztą pani go też dobrze zna.

Zdziwiła się, bo lekarz wiele razy wypominał jej, że za dużo pije i nie dba o zdrowie. Albo ostatnio trafił na jakieś nowe naukowe opracowanie, albo mecenas Zieliński jest abstynentem, i to aż do bólu, co też ponoć nie jest dobre.

Faktycznie, koniak był przedni. Odstawiła kieliszek i zerknęła dyskretnie na zegarek; musiała dziś jeszcze pokazać się w sądzie, a na to, że sprawa Marciniaka spadnie z wokandy, raczej nie mogła liczyć, bo sędzia Jaworek był znanym wrogiem odroczeń.

– Przepraszam za to niespodziewane najście, ale przyszedłam po prośbie...

– Potrzebuje pani pieniędzy? Nie ma spr...

– To nie to – weszła mu w słowo. – Potrzebuję pewnych informacji i tak naprawdę już tylko w panu pokładam nadzieję.

Na twarzy mecenasa zagościł wielki uśmiech, wyraźnie poczuł się mile połączony.

– Proszę mówić, o co chodzi. Jeśli tylko będę mógł, to chętnie pomogę.

– Znał pan niejakiego Kłopotowskiego?

– Kłopotowski? – Zieliński się zamyślił. – Nie, chyba nie. Wie pani, tyle spraw w swoim życiu prowadziłem, że trudno zapamiętać wszystkich klientów po nazwisku. Może powie pani coś więcej? Czego to dotyczyło? Spadek, konflikt sąsiedzki, a może pobicie czy gwałt?

– Nic z tych rzeczy. Był filatelista, zabito go dwadzieścia lat temu. Pewnie słyszał pan o tym zabójstwie. Do dziś sprawców nie ustalono.

– A, to o Janka pani chodzi? Oczywiście, znałem go, i to świetnie. To był bardzo porządny człowiek. Pracował w Petrochemii, był jednym z dyrektorów. Często ostatnio o nim myślę, a szczególnie wtedy, kiedy przeglądam swoje klasery. Miał piękny zbiór, chyba najcenniejszy w Płocku, a w tym kilka prawdziwych białych kruków. Szkoda, bardzo szkoda.

– Czy po jego śmierci zginęło coś z jego kolekcji?

– I tak, i nie. Jest mi trudno odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie rozumiem. Przecież przed chwilą wspomniał pan o jakichś białych krukach, zgadza się?

– Oczywiście, tego się nie wypieram, ale w kolekcjach zdarzają się białe kruki wśród białych kruków, czyli znaczki wyjątkowo rzadkie, powiem, że bezcenne. Czy słyszała pani o najdroższym znaczku na świecie? Jest to ostatni ocalały z serii wypuszczonej przez Gujanę Brytyjską, przedstawia rysunek statku. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym roku w Gujanie Brytyjskiej skończył się zapas znaczków pocztowych. Wobec opóźnień nowego transportu z metropolii lokalna drukarnia otrzymała zamówienie na partię znaczków purpurowych za centa i niebieskich za cztery. Tych pierwszych używano do dystrybucji gazet, więc od razu były wyrzucane, dlatego tylko jeden z nich przetrwał do naszych czasów. Już kilkanaście lat po wydaniu był poszukiwanym rarytasem. Na początku dwudziestego wieku znaczek był w posiadaniu zamieszkałego we Francji barona Philippa La Rénotière von Ferrary, który zostawił go w spadku Rzeszy Niemieckiej, ale po pierwszej wojnie światowej zamiast trafić do Muzeum Poczty w Berlinie, został skonfiskowany jako część repatriacji wojennych.

– Czy chce pan powiedzieć, że ten znaczek był w posiadaniu Kłopotowskiego? – wydukała z niedowierzaniem Zuza.

– Broń Boże, ale Janek twierdził, że jest właścicielem drugiego egzemplarza, o którego istnieniu nikt nie miał pojęcia. Ponoć przed wojną należał do bardzo bogatego plockiego Żyda. Później stał się własnością pewnego kapitana abwery. Pod koniec wojny do jego mieszkania włamało się dwóch chłopaków, a jednym z nich był Kłopotowski. I to jest w skrócie cała historia.

– Czyli pan go nie widział? Znał go tylko z opowieści?

Adwokat się zmieszał.

– Widziałem i nie widziałem. Nie pozwolił go wyjąć ze specjalnego etui, mogłem mu się jedynie przyjrzeć przez folię, więc równie dobrze mógł być falsyfikatem, choć muszę przyznać, że jeśli tak, to perfekcyjnie wykonanym.

– Czemu nie pozwolił panu dokładniej go obejrzeć? Nie zastanawiał się pan nad tym? Może faktycznie to była podróbka?

– To nie tak. Wcale mu się nie dziwię. Gdybym to ja był posiadaczem tego znaczka, też bym go chronił tak jak on. To tylko kawałek papieru i bardzo łatwo jest go uszkodzić.

– Jaka jest jego wartość? Domyślam się, że spora, ale proszę to oszacować, bo nie znam się na tym.

– Prawdziwą fortunę. Myślę, że w Polsce nikogo na niego nie stać. Być może milion dolarów albo i dużo więcej.

– Ile? – Zuza zdumiała się. Najwyraźniej sprzedawczyni ze sklepu filatelistycznego mocno się pomyliła w oszacowaniu znaczka. Jeśli faktycznie Kłopotowski był jego posiadaczem, to motyw zabójstwa stał się jasny.

– Czy jakiś znawca oglądał te zbiory po śmierci ich właściciela?

– Tak, Tadek Pruszyński, on też miał wspaniałą kolekcję.

– Miał?

– Od kilku lat nie żyje, ale od razu uprzedzę pytanie. Zmarł na serce, od dawna na nie chorował.

– Czy w zbiorach Kłopotowskiego znalazł ten znaczek? Domyślam się, że nie.

– Zgadza się, a ponieważ oficjalnie nie istniał, to nikt go nie szukał.

– Czy ufał pan na tyle temu Pruszyńskiemu, żeby go nie podejrzewać o kradzież w czasie przeglądu kolekcji? Myślę, że to była spora pokusa.

– No wie pani? – Mecenas się obruszył. – Nie znała pani Tadeusza, on był krystalicznie uczciwy.

– Faktycznie nie znałam, ale rozpatruję wszelkie ewentualności. Od zabójstwa Kłopotowskiego minął już szmat czasu, czy do tej pory ten znaczek gdzieś nie wypłynął? Może za granicą? Jeśli zabójca go ukradł, to pewnie w celu odsprzedaży. Ktoś bardzo bogaty musi go mieć w swoich zbiorach.

– Nic o tym nie słyszałem, a uważnie obserwowałem wszystko to, co się dzieje w naszym środowisku kolekcjonerskim. Mało tego, podpytywałem o niego kolegów, bo mi to nie dawało spokoju. Być może był falsyfikatem i przy próbie sprzedaży wyszło to na jaw. Nikt nie wyda fortuny na znaczek, nie sprawdzisz, czy jest oryginałem.

– Jeśli tak, to Kłopotowski zginął zupełnie niepotrzebnie. Morderca, tak jak pan, nabrał się na jego bajeczki, co potem go bardzo drogo kosztowało.

– Wiem, co widziałem, i dobrze znałem Janka. Na pewno wierzył w to, że posiada oryginał.

Zuza nie kryła zadowolenia z tej wizyty. Wreszcie znalazła coś, co mogło znacząco wpłynąć na jej śledztwo. Był motyw i był podejrzany. Januszek lub ktoś na jego zlecenie zabił Kłopotowskiego i ukradł znaczek, ale jak to połączyć z bibliotekarką? Co Sałacka mogła mieć z tym wspólnego i kim był człowiek, z którym miała jakieś dziwne konszachty? Mnóstwo pytań, ale jeśli zdobędzie zdjęcie pułkownika z młodości i pokaże je kobiecie, która udostępniła jej rzeczy po bibliotekarce, to być może go rozpozna. Pokaże jej również fotkę Kłopotowskiego. Wiedza tej kobiety może się okazać kluczowa dla całej sprawy.

Ledwo weszła do kancelarii, gdy zjawił się zabójca. Wskazała mu krzesło, sama rozsiadła się za biurkiem.

– Może kielicha? – spytała, sięgając do szuflady po butelkę.

– Nie piję – odparł zimnym głosem.

– Ale ja sobie nie odmówię, panie majorze Kołakowski – rzekła z drwiącym uśmiechem na twarzy.

Mężczyzna wyglądał na mocno zaskoczonego.

– Skąd znasz moje nazwisko? Widzę, że nie próżnowałaś.

Zaśmiała się.

– Mam swoje kontakty. Po co panu dolary? Pewnie chce pan wypieprzyć na Zachód? Myśli pan, że potrzebują tam takich kanałii, zabójców na usługach komunistycznej bezpieki? Szczerze w to wątpię.

– Gównu wiesz. Forsa albo łeb ci ukręcę. Przede mną się nie ukryjesz. Kwota nie podlega negocjacjom. Pamiętaj, że mi się spieszy. Jutro w południe przyjdę po szmal.

Podniósł się z krzesła i wyszedł bez słowa pożegnania.

Kurwa mać, to nie wyglądało dobrze. Tu sam Borys to może być za mało. Cholera, co robić? Na Marcinkowskiego nie mogła liczyć, a Nowak przecież miał swoje życie i nie mógł wciąż jej ochraniać. Piosik z tymi swoimi kumplami, zwykłymi obszczymurkami, też byli za ciency na tego zbira. Pierwszy raz w życiu chciała, żeby komuchy dorwały zachodniego szpiega, i to jak najszybciej. Wyjęła pistolet z torebki, sprawdziła magazynek, pełny. Odbezpieczyła go i ponownie zabezpieczyła, powtórzyła to kilka razy, tak dla pewności, żeby kiedy po niego sięgnie, przypadkiem jej nie zawiódł.

– Co ty tam masz? – Usłyszała nagle Nowaka. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do gabinetu.

– Nie widzisz? Lugera.

– Na szczęście zdążyłem. Dawaj mi go. Czy chcesz przez niego zgnić w kryminale?

– A o co chodzi? Wolę to niż gnić w grobie. Lepiej mi go przejrzyj, bo niezbyt się na tym znam i nie chcę, żeby było tak jak z Mariańskim, że kula utkwi w lufie.

– Ktoś doniósł na milicję, że w twoim posiadaniu jest narzędzie zbrodni. Niebawem się tu zjawią z nakazem. Z takiej samej spluwy dwadzieścia lat temu strzelano do Kłopotowskiego. A jeśli to jest ten sam pistolet? Oj, chyba ktoś chce cię w coś zrobić.

Zuza poczuła, jak gorąco uderza jej do głowy. To przecież niemożliwe! Nie podejrzewała Januszka o tak sprytną zagrywkę. Ale czemu to robi, skoro nasyła na nią zabójcę? Coś tu nie grało.

– Kurwa mać, wtedy nie byłam jeszcze pełnoletnia – wydukała.

– I co z tego? Małoletni zabójcy też się zdarzają, ty chyba o tym wiesz najlepiej. Teraz, po tylu latach, jakie przedstawisz alibi? Myślę, że będziesz

mieć z tym spory problem. Ja na przykład nie pamiętam, co robiłem tydzień temu, a co dopiero mówić o tak długim czasie.

– Tak czy owak muszę mieć splotkę do obrony. Załatw mi coś, i to pilnie.

– Dam ci moją tetetkę, tę zdobyczną. Jutro, jak się sytuacja uspokoi, podrzucę ci ją do domu. Tego przeklętego lugera zabieram i gdzieś się go pozbędę.

Zuza była wściekła na Piosika. Jeśli to prawda, co powiedział Nowak, a nie miała podstaw, żeby mu nie wierzyć, to ten łajza ma problem. Musi z nim pilnie poważnie pogadać. Pamiętała, że od jakiegoś czasu siedział u jednej dziwki przy Grodzkiej. Miała nadzieję, że się nie przeniósł do innej. Tę sprawę należało załatwić już dziś, tak na gorąco.

Nie zdążyła wyjść z kancelarii, gdy zjawili się kilku milicjantów. Dowodził nimi porucznik Szprota, zastępca Mariańskiego. Był też kapral Opara i dwóch innych, których nie znała.

– Mamy nakaz przeszukania. – Szprota machnął jej przed oczami jakimś świstkiem.

– A czego szukacie? Może mózgu waszego kapitana? – zakpiła. – Słyszałam, że gdzieś go zgubił, ponoć kiedy kichnął, to wyleciał mu przez dziurkę od nosa, a że był mały, to ciężko będzie go odnaleźć. A może jest w kiblu? Jest zapchany, to może tam wpadł. Od razu przy okazji go przeczyście.

Milicjanci puścili jej zaczepki mimo uszu i zaczęli przeszukiwać pomieszczenia. Zajrzeli wszędzie, nawet do torebki Zuzy. Po godzinie opuścili kancelarię z pustymi rękoma, ale to nie był koniec, bo mieli też nakaz rewizji w jej mieszkaniu. Musiała z nimi pojechać i również je udostępnić. Oczywiście nic nie znaleźli, a zwierzaki dzielnie stanęły w jej obronie. Zgaga rozwrzeszczała się: „Kuuurwa maaaac! Spierdaaaac! Komuuuuchy!”, a Borys jednego z nich ugryzł w rękę. Po dwóch godzinach skończyli i odwieźli Zuze z powrotem do kancelarii.

– Nowakowi należy się dobry koniak, a nawet skrzynka, a Piosik... marny twój los, jakem Lewandowska – zapowiedziała z wściekłością. Zerknęła na zegarek, godzinę temu miał przyjść klient, pewnie zobaczył milicję

i zrezygnował. Odczekała kwadrans i zabrała się do domu, ale po drodze postanowiła się rozmówić z wcześniejszym właścicielem lugera.

– Oj, krew się poleje, to pewne – mruknęła pod nosem.

Dobrze pamiętała, która to brama i kamienica w podwórzu. Trafiała tam bez problemu. Otworzyła jej jakąś wywłoka z włosami w nieładzie i w samej halce. Po chwili zjawił się i Piosik. Wywołała go na podwórze.

– Kurwa mać – zaczęła go obsztorcowywać. – Żarty się skończyły! Sukinsynu, skąd miałeś ten pistolet, tylko nie pierdol mi, że po wachmistrzu wermachtu. Tego nie kupuję. I więcej mi tu nie łżyj, bo sprawa jest bardzo poważna. Powiem więcej: gardłowa.

– Słowo, to po moim starym. Jak bum cyk-cyk – szedł w zaparte.

– Pierdolisz! Ty pewnie nawet nie znałeś swojego starego. Twoja matka puszczała się z całym Płockiem, o tym wiedział każdy.

– To nie w porządku tak mówić – odburknął. – Ja nie ubliżam pani mamie.

– Czy ty nie rozumiesz, że o mało nie wpierdoliłeś mnie na minę? Ta broń jest trefna, bo przypuszczalnie pochodzi z przestępstwa. Z niej zabito człowieka. Komuchy tylko czekają, żeby mnie udupić, a ty podsunąłeś mi takie cuchnące gówno. Wszystkiego, ale czegoś takiego się po tobie nie spodziewałam.

Piosik wyglądał na zaskoczonego, chyba faktycznie nie znał rodowodu pistoletu.

– Ja nic o tym nie wiedziałem. No dobra, to nie mój stary, dostałem go od kumpla. Nie wiem, skąd go miał. Kiedyś przy wódce gadaliśmy o pani i on mi powiada, że pani go kiedyś wybronila i chce się zrewanżować. Opowiadałem mu wcześniej, że chodzą za panią, to on mi wciska spluwę i mówi: „Daj go Lewandowskiej, bo to równa papuga”.

– Jak się nazywa ten twój kumpel?

– Józek Morawiecki, ma taki charakterystyczny długi nochal jak ten, no jak mu tam? Chrześniak mi o nim opowiadał.

– Pinokio?

– No.

– Piosik, do kurwy nędzy, ja żadnej łajzy o nazwisku Morawiecki nigdy nie broniałam. Gdzie on mieszka? Chodź, pójdziemy do niego pogadać. Ciekawe, co nam powie.

– Nie wiem, gdzie on mieszka. Nie mówił mi, bo nie gadalim o tym.

– No jak to? Taki dobry kumpel, a nie wiesz, gdzie mieszka? Ty, który wszystko o wszystkich wiesz, nagle masz amnezję? Co tu się dzieje?

– A co to ta anezja?

– Nieważne. – Zuza machnęła ręką z rezygnacją. Pewnie tamten postawił wino lub gorzałę i od razu stał się kumplem. Teraz jeszcze się utwierdziła w przekonaniu, że Nowakowi dużo zawdzięcza.

Bez słowa pożegnania ruszyła w stronę ulicy.

– Pani poczeka! – krzyknął Piosik i podbiegł do niej. – Kogo z niego puknęli? Popytam tu i ówdzie, może się dowiem czegoś ciekawego.

– E tam, szkoda czasu, to stara sprawa, aż sprzed dwudziestu lat. Niejaki Kłopotowski – rzuciła od niechcienia. – Wątpię, żebyś się czegoś dowiedział. Lepiej zasięgnij języka w sprawie tego świra, co zabił bibliotekarki. O tym pewnie słyszałeś?

– No jasne, chyba przez rok wszyscy w Płocku się bali wieczorami chodzić po mieście, bo nikt nie chciał być potraktowany kosą, a na koniec wypatroszony.

– Tylko zrób to dyskretnie, bo sukinsyna do dziś nikt nie dorwał. Możliwe, że się gdzieś przyczaił.

– Jasne. Ma pani może szlugiem poczęstować?

– No tak, stara śpiewka – mruknęła Zuza pod nosem, sięgając do torebki.

W mieszkaniu zastała okropny bałagan. Borys dorwał się do pasztetu, którego milicjanci nie schowali z powrotem po wyjęciu z lodówki. Ciekawe, po co tam w ogóle zaglądali? Myśleli, że trzyma lugera w pasztecie? Oj, byłby niezły pasztet, gdyby go u niej znaleźli. Wszędzie dokoła było pełno okruchów i resztek papieru, w który był zapakowany.

– Ty cholerna łajzo, nie dość, że przez twoje igraszki mam ciągle problemy, to jeszcze mi, sukinsynu, zżerasz mój ulubiony pasztet. Tego ci, kurwa, nie daruję! – krzyknęła na niego, sięgając po szczotkę.

– Łaaaajza! Kuuurwa! Łaaaajza, kuuurwa, suuuukinsyn! – wydarła się Zgaga.

– A ty co ten dziób drzesz?! – ryknęła na papugę i zarzuciła ręcznik na klatkę. – Też nie jesteś lepsza! Od dziś szlaban na jedzenie. Dostaniecie tylko tyle, żeby przeżyć, powiedzmy po misce ryżu.

Nagle w mieszkaniu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zuza zdumiała się – następny namacalny dowód, że te cholerne stwory sporo rozumieją. Zaparzyła mocną herbatę, prawdziwy zajzajer, z kuchni przyniosła nową butelkę stocka i kieliszek, opróżniła popielniczkę, jednym słowem była gotowa na czytelnicze wyzwanie. Rzuciła się na kanapę i wtedy... światło zgasło. Elektrownia wyłączyła prąd i nici z czytania. Żeby ich szlag trafił!

W łazience w szafce miała świece, więc wolno i po omacku się tam udała. Oczywiście, ta cholerna patologia była szybsza, bo świec już nie było. W końcu chyba komuś z nich łeb urwie i wsadzi mu go do tyłka. I co robić, jak w domu ciemnica? Wypiła kielicha i poszła spać.

Rano w kancelarii na blacie biurka znalazła rysunek, a właściwie odręczny szkic, portret jakiegoś mężczyzny.

– Co to jest i skąd się tu wzięło? – spytała aplikantkę.

– Pani Zuzo, niestety nie udało mi się zdobyć zdjęcia, o które pani prosiła, ale wpadłam na inny pomysł. Mam kolegę, który skończył antropologię i pięknie rysuje. Przyjrzał się zdjęciu i na jego podstawie odtworzył wygląd tego milicjanta sprzed dwudziestu lat.

– Co ty mi tu pierdolisz takie głupoty? – zdziwiła się. – Jest to w ogóle możliwe? Pierwsze słyszę.

– To nie żarty, naukowcy opracowują metodę rekonstrukcji wyglądu człowieka, gdy ma się do dyspozycji samą czaszkę. Amerykańska policja

ponoć już kilka razy dzięki temu ustaliła tożsamość bezimiennych ofiar i udało jej się złapać kilku morderców.

– Jeśli to prawda, to byłaby to rewelacja.

Zuza od razu pomyślała o kościach znalezionych wiele lat temu w leśniczówce. Może by się w końcu wszystko wyjaśniło. Do dziś męczyło ją kilka pytań, które pozostały bez odpowiedzi, a wszystkie dotyczyły Leszka Jarzębowskiego, jej byłego.

Wpatrzyła się w rysunek.

– Zupełnie inny, to przecież nie on. Chyba ten twój kolega za bardzo odleciał. To nie jest pułkownik. Ma inne włosy, jest chudszy na twarzy.

– No nie wiem. – Dziewczyna się zakłopotowała. – Sama się na tym nie znam, ale on twierdzi, że dwadzieścia lat temu tak wyglądał mężczyzna ze zdjęcia, które dostał ode mnie.

– No cóż, mimo to podchodzę do tego jak do horoskopu, czyli z przymrużeniem oka.

Zuza złożyła rysunek na pół i włożyła go do torebki. Spojrzała na aplikantkę, wciąż w jej oczach widziała zapał. Trochę jej przypominała ją samą, też długo się w niej tlił, aż w końcu raptownie zgasł. To była sprawa Sepioły, do dziś pamiętała jego nazwisko. Był oskarżony o zamordowanie pewnej kobiety, mimo że wszystkie dowody wskazywały na Stasiaka, drugiego sekretarza Powiatowego Komitetu PZPR. Sąd był głuchy na jej argumenty, na zeznania świadków, którzy twierdzili, że w momencie zabójstwa razem z Sepiołą bawili się na prywatce. Nieszczęśnik został skazany i pół roku później powieszony. Ta sprawa wstrząsnęła nią do głębi i zniszczyła jej zaufanie do wymiaru sprawiedliwości.

– Mam dla ciebie następne zadanie. Zdobądź mi adresy rodzin tych trzech bibliotekarek, ofiar psychopaty. Wiesz, o czym mówię?

– Oczywiście. Z tym nie będzie problemu. Koleżanka pracuje w urzędzie stanu cywilnego, to odnajdzie wszystkich po aktach zgonów.

– Sprytne – pochwaliła dziewczynę. – Załatw mi to na jutro rano. Muszę z nimi pogadać, może coś umknęło śledczym. Teraz idę do zoo.

– Coś się dzieje z papugą? – zatroskała się Siedlecka.

– Nie, ale znajomy lekarz poradził mi, żebym w ramach terapii zaczęła hodować rybki, to ponoć uspokaja nerwy, a mam je ostatnio bardzo zszarpane. Od dziecka o tym marzyłam, ale rodzice nie wyrażali zgody. Teraz mogę spełniać wszystkie swoje zachcianki. Jednak nie chcę mieć takich zwykłych jak wszyscy, chcę jakieś specjalne, niespotykane. Rekiny odpadają, bo nie mam tyle miejsca, ale piranie to już brzmi ciekawie.

– Ale one żywią się mięsem. Skąd będzie je pani brała?

Zuza od razu pomyślała o Tomaszku. Uśmiechnęła się szeroko na samą myśl o tym, jak by wsadziła tę jego tłustą pupę do akwarium, a te mordercze rybki wbiłyby w nią swoje ostre jak sztylety zębiska.

– Mam na oku blisko czterdzieści kilogramów jedzenia. Starczyłoby na jakiś czas.

– Mój tata hoduje gupiki. One nie wymagają tyle zachodu. Może niech pani od tego zacznie?

– Nie lubię półśrodków. Jak postanawiam hodować ryby, to od razu patrzę na górną półkę. Zostanę przy piraniach i kropka. Myślałam także o ośmiornicy.

– Ale to nie ryba – zdumiała się aplikantka.

– No i co z tego? Tak jak ryba siedzi pod wodą i to mi wystarczy.

Zuza pojechała do zoo samochodem, tak na wszelki wypadek, gdyby udało się coś załatwić od ręki. Niestety, przeżyła spore rozczarowanie. Piranie hodowano jedynie we wrocławskim ogrodzie zoologicznym i były marne szanse na ich zdobycie. Dyrektor namówił ją, żeby zaczęła hodowlę od złotych rybek lub welonów, a z czasem przeszła na bardziej wyrafinowane gatunki. Jednym słowem zbył ją w kulturalny sposób. Wracając, wstąpiła do sklepu zoologicznego i kupiła akwarium. Od razu duże, na pięćset litrów. Z trudem wspólnie z panem Tadziem zatargali je na drugie piętro. Jeszcze więcej zachodu kosztowało ją wypełnienie go wodą. Teraz miała się ona odstać. Dopiero wtedy będzie mogła wpuścić

rybki. Problem w tym, że dalej nie wiedziała, jak je zdobyć. Ostatecznie postanowiła popytać wśród znajomych. Może ktoś jej w tym pomoże?

Doktor Torbicki zajrzał na intensywną terapię. Łóżko przy oknie wciąż było zajęte przez Mariańskiego. Jego stan wyraźnie się poprawił, więc lekarz zamierzał wykonać ostateczne badania przed przeniesieniem go na ogólną salę na oddziale neurologii.

Kapitan był przytomny, leżał na wznak i patrzył tępo w sufit.

Torbicki wyjął długopis z kieszeni fartucha i otworzył notes.

– Jak się pan czuje? Czy odczuwa pan jakieś bóle głowy?

– Ona wciąż tu jest! Czemu się ze mnie śmieje?

– Tu oprócz mnie nikogo nie ma.

– Jak to nie ma? – Kapitan wskazał palcem sufit. – Co ona tu robi?

– Kogo pan widzi? Proszę mi opowiedzieć.

– Jak to kogo? Pan jej nie widzi, doktorze? Przecież to ta suka Lewandowska. Wciąż się ze mnie śmieje.

– Rozumiem, a czy coś do pana mówi? Proszę mi wszystko zrelacjonować.

– Szydzi ze mnie, mówi, że jestem tłustą komunistyczną świnią, że mnie wbije na rożen i usmaży.

– Spokojnie, my nie pozwolimy na to, żeby pana wbiła na rożen. Głowa pana boli?

– Oj, boli.

– A w skali jeden do dziesięciu jak by to pan określił?

– Bo ja wiem? Nie znam się na skali. Po prostu napierdala mi. To przez tę sukę, całą noc kopała mnie po głowie i krzyczała: „Czy ty nic nie rozumiesz, ty zakuta pało?!”.
– Zaraz przyjdzie siostra i da panu nowe pastylki oraz zrobi zastrzyk przeciwbólowy. To przepędzi tę Lewandowską.

Torbicki zamknął notatnik, schował długopis do fartucha i wyszedł z sali.

W dyżurce zaczepił pielęgniarkę.

– Zawołaj dwóch pielęgniarzy i tego przyglupa z intensywnej terapii zabierzcie na neurologię. Mają go tam pasami przywiązać do łóżka, bo jeszcze wyskoczy przez okno. Wciąż mówi o jakiejś Lewandowskiej, czy przypadkiem nie chodzi mu o tę adwokatkę?

– Tak, panie doktorze, ponoć mocno mu zalazła za skórę.

– Nie tylko jemu. Była pełnomocnikiem mojej byłej żony, kiedy się z nią rozwodziłem, oskubały mnie tak, że zostałem bez grosza przy duszy. Przy okazji w końcu wynieś ten słój, co stoi na parapecie. Niestety, tym razem się nie udało. A, i jeszcze jedno: walnij mu fiolkę pyralginy w póldupek.

Zuza siedziała w fotelu i czytała *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta. Tytuł ją zachęcił, sama też go poszukiwała, ale zaraz zderzyła się z trudną literaturą. Lubiła wyzwania – siedem tomów, więc to był dobry wybór. Właśnie kończyła pierwszy tom.

Ktoś zapukał do drzwi. Uniosła wzrok znad powieści i spojrzała w tamtym kierunku. Znów ktoś zapukał. Powoli odłożyła książkę i poszła do kuchni po nóż do krojenia chleba. Mocno ścisnęła jego rączkę, od razu poczuła się lepiej. Przynajmniej teraz miała jakąś ochronę. Zerknęła na Borysa, już się przekonała, że na niego może liczyć. Dopiero teraz poszła otworzyć.

Ostrożnie uchyliła drzwi, a tam stał proboszcz. O ile dobrze pamiętała, to ostatnio był u niej, jak chodził po kolędzie.

– A co to? Zabrakło szmalu i robimy kolędę bis? – przywitała go drwiąco.

– No wiesz! – obruszył się, słysząc jej słowa. – Tak witasz przyjaciół?

– Ostatnio witam głównie wrogów i stąd to powitanie.

– Niemożliwe. Podczas kolędy, kiedy tylko coś wspomnę o tobie, to wszyscy cię wychwalają, i to pod niebiosami.

– Dobra, dobra, proszę mi tu nie mydlić oczu, swoje wiem, a duchowni mnie wprost nie cierpią.

– Głupi, nie potrafią znieść krytyki, bo do dziś nie zauważyli, że średniowiecze dawno się skończyło.

– Tu się zgadzam. Czego się ksiądz napije?

– Tego, co zwykle, aha, przyniosłem ci trzy pakiety ekstra mocnych. Kierownik Ruchu dał mi ich bodajże dziesięć, a wiem, że je lubisz. Podzielę się z tobą.

– Mam nadzieję, że bez filtra?

– No pewnie. Za tydzień ma mi znów coś dowieźć. A tak przy okazji, przyszedłem do ciebie, bo twoi sąsiedzi skarżą się, że im życie zatruwasz, i prosili mnie o pomoc.

Parsknęła śmiechem.

– A przed chwilą słyszałam, że mnie wszyscy kochają. Pewnie chodzi o tę hołotę zza ściany? Jak im się nie podoba, to wynocha, jeszcze im się spakować pomogę. Kurwa mać, siedzą w moim mieszkaniu, rujnują je i jeszcze mają wymagania? To się nazywa tupet.

– Martwią się o swoje dziecko. Ponoć uczyłaś ich syna palenia papierosów, co i raz go tak straszysz, że zaczął się moczyć w łóżku. Przez to nie chce się uczyć i zaczął chodzić na wagary.

Zuza słuchała tego zdumiona. Tego jeszcze nie grali, i to w całej historii jej utarczek ze wszystkimi sublokatorami. Okazuje się, że Tomuś chce się kształcić, ale zła sąsiadka mu na to nie pozwala.

– Prawda wygląda zupełnie inaczej i niestety jest brutalna – zaczęła spokojnym głosem. – Po prostu, ich pomiot jest debilem niezdolnym do ukończenia nawet podstawówki. Zresztą podejrzewam, że intelektem nie odbiega zbyt od swoich rodziców. Niech go wyślą do dziewiątki, to jedyne wyjście. Tam być może zostanie gwiazdą.

– Bądź wyrozumiała. Mogłabyś go łagodnie traktować, to przecież jeszcze dziecko.

– Ależ traktuję go nad wyraz łagodnie, bo już dawno powinnam mu łeb ukreć. Jeśli ksiądz przyszedł tu wyłącznie w tej sprawie, to jest to próżna wizyta. Mogę tylko jedno obiecać: nie zatłukę go na śmierć. Pozwolę mu żyć i budować socjalistyczną ojczyznę. W nim i jemu podobnych jest nadzieja, że się to wszystko w końcu rozpieprzy.

– Dobra, zostawmy tego Tomaszka, nalej jeszcze na drugą nóżkę, bo stock stygnie w butelce – odparł pojednawczo proboszcz.

Brzęknęło szkło, koniak się polał, wypili w milczeniu.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Masz grobowiec na naszym cmentarzu.

– Owszem, a o co chodzi? – Zuza się zaniepokoiła. – Znów ktoś rozbił płytę nagrobną?

– Nie, nie w tym rzecz. Miejsce wykupuje się na trzydzieści lat, no i akurat ten termin mija.

– Zaraz, zaraz, czyli mam rozumieć, że jak nie zapłacę, to rozwalicie mój grób rodzinny?

– Spokojnie, nie tak od razu, ale jest to możliwe.

– Kurwa mać, mój pradziad, dziadek, ojciec i cała rodzina przez całe stulecie, a może dłużej, na was łożyli, a teraz byście ich tak wywalili z cmentarza? Dokąd? Na śmietnik?

Proboszcz, zakłopotany, podrapał się po głowie.

– Takie jest prawo – bąknął.

– Ale prawo nie wzięło się znikąd. Ktoś je stworzył i tak samo ktoś może je zmienić. Jesteście niczym hieny cmentarne, bo żerujecie na nieboszczykach.

– Przykro mi, ale ja nie jestem w stanie zmienić prawa, jestem tylko zwykłym księdzem. Ja mogę przymknąć oko na to, że nie zapłacisz, ale po mnie przyjdzie ktoś inny, a wtedy może być różnie.

– Różnie, czyli wywałę, i to bez pytania. Nie wiem, czy zapłacę, muszę to sobie przemyśleć. Może przeniosę przodków na cmentarz komunalny.

– Ale dlaczego? Taka szacowna rodzina powinna mieć grób w godnym miejscu. Czy nie lepiej dać datek na kościół niż na komunistów? Przecież tamten jest pod ich rządami.

– No właśnie, wszystkich nimi straszycie i wszyscy płacą. Chwilami się zastanawiam, kto jest bardziej zepsuty, wy czy oni. I tak naprawdę to nie znam na to odpowiedzi. Ale zostawmy dziś te sprawy, tak dla uspokojenia głów, i lepiej walnijmy sobie jeszcze po kielichu.

– Mądre słowa, córko, bardzo mądre.

Zuza nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie jej się to udało, śniły jej się koszmary. Widziała dziadka i ojca, jak rozkopali grobowiec, wyciągali z niego trumny i gdzieś je wynosili. Próbowwała się dowiedzieć gdzie. Ale nie chcieli jej powiedzieć z obawy, że zdradzi to proboszczowi, a on je wywali na śmietnik.

To był tak realny sen, że kiedy Zuza się obudziła, zaczęła nerwowo rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu przodków. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że to tylko nocny koszmar, nic więcej.

Zuza już od wczesnego rana czatowała na złodzieja mleka. Skoro opłaca usługę dostarczania mleka bezpośrednio pod drzwi, to chce je mieć, a nie, że wciąż wyparowuje niczym kamfora. O te nieczne praktyki od dawna podejrzewała Tomaszka lub któreś z jego rodziców, ale jak dotąd, nikogo z nich nie złapała na gorącym uczynku. Tym razem miało stać się inaczej. Słyszając brzęczenie butelek, wyskoczyła nagle na klatkę schodową i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła sąsiada z podwórka, tego od zakładania anten, z jej mlekiem w łapie. Na jej widok zmieszał się okropnie, odstawił butelkę i zbiegł po schodach. Cholerny sukinsyn, jego akurat nigdy o to nie podejrzewała.

Wróciła do siebie, a że kapsel na butelce był uszkodzony, odechciało jej się pić, przez to Borys na tym skorzystał. Poszła do baru na śniadanie. Jak zawsze podczas konsumpcji czytała gazetę i znów lekturę zaczęła od nekrologów. Zmarł mecenas Zieliński, pewnie nagle, no bo przecież kilka dni temu go odwiedziła i nie wyglądał na chorego, mało tego – był pełen życia. Już nie zdąży przeczytać tych wszystkich swoich książek, pomyślała. Jej uwagę zwrócił następny nekrolog: doktor Rolicki, były szef Płockiego Towarzystwa Naukowego. Odkąd pamiętała, rządził tam niepodzielnie. Powiadano, że chorował, swoje lata też miał, tak że jego śmierć jej nie zaskoczyła. Inne nazwiska nic jej nie mówiły.

Wychodząc z lokalu, spotkała Kowalskiego. Sam ją zaczepił.

– Co u ciebie? Słyszałem, że masz aplikantkę. Ponoć całkiem ładna babka. – Uśmiechnął się szeroko.

– Tylko spróbuj się do niej zbliżyć, a nie ręczę za siebie. Mógłbyś być jej ojcem.

– Ale nie jestem.

Puścił do niej oko i poszedł. Patrzyła chwilę za nim, ciut zawiedziona. Myślała, że będzie ją błagał o litość, że będzie chciał wrócić, a on o tym ani słowa nie pisał.

Kancelarię zastała otwartą, a aplikantkę podczas parzenia kawy. Dziewczyna nie dość, że była niegłupia, to jeszcze się starała.

Na widok Zuzy położyła na biurku cienką papierową teczkę.

Zuza spojrzała na nią zdziwiona.

– Co to jest?

– Adresy rodzin tych bibliotekarek. Tak z własnej inicjatywy poszłam do biblioteki pogadać o nich. Tam pracuje moja koleżanka ze szkoły. Chodziłyśmy do jednej klasy, mało tego, przez pięć lat siedziałyśmy w jednej ławce.

Zuza sięgnęła po papierosy i zapaliła.

– I czego się dowiedziałaś?

Wszystkie trzy zginęły w odstępie dwóch tygodni.

– To wiem od dawna.

– Wszystkie trzy zostały napadnięte, kiedy wychodziły z pracy.

– To też wiem od dawna. Ameryki nie odkryłaś.

– Wszystkie trzy pracowały ostatnio przy porządkowaniu zbiorów i nie miały bezpośredniej styczności z wypożyczającymi.

– Tego nie wiedziałam. Co to były za zbiory? Pewnie z dziedziny psychiatrii? No bo co innego może interesować takiego czubka? – rzekła Zuza z przekąsem.

– To były jakieś stare zbiory, ale chyba nie z psychologii. Raczej nic ciekawego.

– Czyli w dalszym ciągu nic nie mamy. Może jak pogadam z rodzinami, to znajdę jakiś punkt zaczepienia.

– Nie rozumiem. Przecież zabił je psychopata, a tacy ponoć wybierają ofiary losowo. To czemu szuka pani jakichś powiązań?

– To zwykła intuicja, czuję, że te kobiety łączyło coś więcej niż tylko miejsce pracy, i nie sądzę, że zabójca był z gatunku wkurwionych klientów. W ogóle od pewnego czasu zastanawiam się, czy on nam nie zamydlił oczu tym pruciem ofiar.

– To znaczy? Bo już się w tym zupełnie pogubiłam.

– Od czasu zabicia tych kobiet morderca dosłownie zapadł się pod ziemię. Czy to nie dziwne? Gdyby to był zwykły świr, toby znów zaatakował. Słyszałam, że tacy nieraz mordują przy jakiejś konkretnej fazie księżycy. Wszystkie już były, i to wielokrotnie, a nic się nie dzieje. Sprawdziłyśmy więzienia i szpitale psychiatryczne, ale bez rezultatu.

– Może przeniósł się do innego miasta, gdzieś na koniec Polski?

Zuza w zamyśleniu pokiwała głową.

– Może i tak – szepnęła.

– Aha, bym zapomniała. Od tego czasu w bibliotece było pięć włamań.

– Poważnie? – Zuza się zdziwiła. – Nie myślałam, że naród jest tak zdesperowany w pochłanianiu wiedzy. Co zginęło?

– Problem w tym, że nic. Włamywacz, czy też włamywacze, pozostawił po sobie jedynie spory bałagan.

– Domyślam się, że w tych nieciekawych zbiorach, przy których pracowały zabite bibliotekarki?

– Tak. Skąd pani wiedziała?

– No, wybacz, wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem durna.

Kowalski szedł Tumską i kłął w duchu, że zamiast próbować się pogodzić z Lewandowską, to jeszcze bardziej ją wkurwił. Nie tak miało wyglądać ich spotkanie. Przecież czatował na nią chyba z godzinę, zmarł przy tym okrutnie i wszystko poszło na marne.

– Panie mecenasie! – usłyszał gdzieś zza pleców. Zerknął w tym kierunku. Od razu poznał, nowa klientka. Ukradła kurę na targu i teraz ma problemy. Od czasu, kiedy się przeniósł do „Antypodkowy”, miał głównie takich klientów. Ci stali początkowo kręcili głowami, rozglądając się po jego nowym biurze, a po jakimś czasie pod byle pretekstem rezygnowali z jego usług. Skoro ma tak nędzną kancelarię, to znaczy, że kiepska z niego papuga, że życie wydłubało mu jego pióra i został z niego prawniczy gołodupiec, niewart ich zaufania. Nawet kobiety, którymi się od lat otaczał, zaczęły go unikać, nie odbierały jego telefonów, a nawet nie poznawały go na ulicy. Widocznie kochały nie jego, lecz jedynie jego forszę.

– Panie mecenasie, dostałam wezwanie do sądu na czwartek na dziewiętą. Wiem, że jestem winna pieniądze, ale oddam, i to wszystko co do złotówki, bo chłop idzie do roboty do Petrobudowy.

– Wiem o sprawie, będę – odparł sucho i poszedł dalej.

W kancelarii żywego ducha. Jakby świat się skończył. Usiadł za biurkiem i zaczął się bezmyślnie wpatrywać we wskazówki zegara wiszącego na przeciwległej ścianie. Czas włókł się niemiłosiernie. W końcu wyjął z biurka butelkę żytniej i kieliszek. Zaczynał powoli rozumieć Zużę, nic tak człowieka nie rozwała od środka jak samotność, a wtedy na siłę szuka się przyjaciela, ten najwierniejszy zaś mieszka w najbliższym sklepie monopolowym.

Zuza, idąc do domu, po drodze wstąpiła do proboszcza z fary. Obiecała namyślić się w sprawie przyszłości mogiły rodzinnej na cmentarzu przy Kobylińskiego i dziś chciała mu dać ostateczną odpowiedź. Oj, chyba już przepołowił butelkę, bo jak szalony tłukł na bębnach, aż ściany drżały. Drzwi jak zwykle zamknięte były tylko na klamkę, więc nawet się nie zastanawiała i weszła do środka. Teraz usłyszała i harmonię, czyli nie był sam. Drugim grajkiem okazał się ksiądz Maliszewski, coś się ostatnio zbliżyli do siebie, byle nie za bardzo, pomyślała. Na jej widok przestali grać. Na twarzy proboszcza pojawił się szeroki uśmiech.

– Wszelki duch Pana Boga chwali, pani mecenas Zuza Lewandowska we własnej osobie, co za miłe odwiedziny. Siadaj, zaraz zaparzę herbatę i postawię coś mocniejszego. Właśnie ksiądz Kamil przyniósł świetną jałowcówkę, i to własnej roboty. Próbowałem kilkakrotnie i mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć tylko jedno: palce lizać, trunek godny polecenia.

– Niestety, ale nie mam czasu. Wstąpiłam oznajmić, że podjęłam decyzję i grobowiec zostaje. Przyznam się, że czynię to z bólem i tylko ze względu na moich przodków, bo sama bym wołała spocząć na komunalnym, z dala od was, krwiopijców w sutannach.

Księdza Maliszewskiego ta przemowa mocno zdumiała, zaś na proboszczu nie zrobiła żadnego wrażenia, za dobrze znał Lewandowską, żeby się tym przejmować. Roześmiał się w głos.

– To jest głos ludu, ale tylko ona mówi, co myśli, głośno i wyraźnie, reszta jedynie mruczy pod nosem, sięga do kieszeni i płaci. Za to cię cenię, i to bardzo.

– Ciemny lud wszystko kupi. Dobra, dobra. Ktoś mi tu za mocno kadzi, pewnie będzie mile widziana pilna wpłata. Za kilka dni wszystko ureguluję; forsiasty klient ma się ze mną rozliczyć. Teraz już idę, nie będę wam przeszkadzać, bo widzę, że powstaje tu dzieło co najmniej na miarę Wagnera – zakpiła. – Ale zanim wyjdę, to mam sprawę do księdza Kamila, skoro już go tu spotkałam.

Wyjęła z torebki zdjęcie Kłopotowskiego.

– Czy to ten mężczyzna, którego ksiądz zastał u Sałackiej?

Rzucił okiem na fotkę i energicznie zaprzeczył.

– Nie, to na pewno nie on. Tamten był zupełnie inny.

– Ale minęło sporo czasu, proszę się zastanowić.

– To nie on. Mam świetną pamięć do twarzy.

Schowała fotkę i wyjęła kartkę z portretem młodego Januszka.

– To jest rysunek grafika antropologa, który z obecnego zdjęcia pewnego mężczyzny odtworzył jego wygląd sprzed dwudziestu lat. Osobiście w to

nie wierzę, ale skoro go mam, to niech ksiądz rzuci i na to okiem.

– To on! To może być on – zaraz się poprawił. – Na pewno znam tę twarz i w pierwszej chwili zasugerowałem się sprawą. Nie mogę z całą pewnością potwierdzić, że to on, ale też tego nie wykluczam. Być może miał inną fryzurę, może okulary.

Zuza z niedowierzaniem pokręciła głową. Pomyślała z uznaniem o znajomym swojej aplikantki. Jeśli duchowny rozpoznał Januszka, to pasowałoby jej to do pewnej koncepcji. Niestety, tak jak ksiądz Kamil powiedział, mógł się zasugerować tą sprawą. To wszystko było za mało, potrzebowała jeszcze jakiegoś potwierdzenia. Postanowiła, że pokaże te podobizny byłej sąsiadce Sałackiej, tej z ulicy Jachowicza. Ciekawe, czy ona też zwróci uwagę na mężczyznę ze szkicu.

Opuściła plebanię i mijając wejście do kina Diana, ze współczuciem popatrzyła na długą kolejkę do kas. Jeszcze nie wiedzą, co ich czeka. Odgłos bębnow proboszcza skutecznie zakłóci im nastrój podczas projekcji filmu, mieli to jak w banku.

Zmieniła plany i zamiast do domu ruszyła w stronę miasta. Koło stacji benzynowej przy ulicy Bielskiej znów natknęła się na prezesa spółdzielni „Kacze Pióro”.

– Dzień dobry, pani mecenas! I jak? Może się pani namyśliła? Rozmawiałem z pani kolegą, panem Kowalskim, bardzo miły jegomość, zdradził mi, że pani to rozważa. Wspomniał o kilku pani sprawach, jestem pod wielkim wrażeniem, to będzie prawdziwa bomba, murowany bestseller.

– Panie Bielski, po pierwsze Kowalski to sukinsyn, z którym nie chcę mieć nic wspólnego i który gównem wie o moich sprawach, a po drugie, zejdziesz mi pan z drogi, bo jak panu przyfasuję, to się pan nogami nakryjesz. Nie jestem zainteresowana pańską propozycją. Nie dotarło to jeszcze do pana? Jeśli kiedyś zmienię zdanie, w co wątpię, to pana znajdę, a teraz żegnam.

Ominęła go i poszła dalej.

– Wciąż nie tracę nadziei! – krzyknął za nią.

– A idź do diabła! – warknęła.

Po drodze odebrała z poczty urzędowej list polecony i list z Ameryki. Pierwszy był wezwaniem z urzędu skarbowego, ponoć miała jakąś zaległość podatkową, a drugi od Sary. Jak zwykle to była smutna lektura, pełna żalu i tęsknoty za ojczyzną. Sara od lat starała się o wizę, której wciąż jej odmawiano. Tak było do teraz, ale nagle sytuacja diametralnie się zmieniła. Ambasada wyraziła zgodę na jej przyjazd.

Zuza stała na środku chodnika, patrzyła na tekst i wciąż nie mogła w to uwierzyć. Przeczytała list jeszcze raz, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiała. Tak, Sara przyjeżdża do Polski. Już lata temu straciła wszelką nadzieję na ich ponowne spotkanie, a tu taka radosna wiadomość. Koniecznie musi jeszcze dziś jej odpisać.

Bezpośrednio z poczty udała się do willi przy Jachowicza, ale niestety, owej uczynnej sąsiadki, która pomogła jej grzebać w rzeczach Sałackiej, nie zastała; kobieta wyszła do kolejki w spożywczym. Najbliżej był sklep przy skrzyżowaniu z ulicą Kochanowskiego i tam też Zuza się skierowała. Kolejka była długa i zakręcona niczym ogon latawca. I jak tu odszukać tę kobietę? Przypatrywała się każdej z osobna, i to bardzo uważnie. W końcu ją zidentyfikowała. Tamta też poznała Zuzę.

– Niech pani wejdzie przede mnie – szepnęła jej do ucha. – Przywieźli serdelki. Sprzedają po kilogramie.

– Nie, dziękuję. Słyszałam, że ładują w nie papier toaletowy. Mam do pani krótkie pytanie i znikam. – Wyjęła z torebki zdjęcie oraz rysunek i pokazała je kobiecie. – Poznaje pani kogoś? Proszę się im uważnie przyjrzeć.

– Zaraz, kochanieńka, najpierw okulary założę.

Kobieta wsunęła rękę do torebki. Chwilę trwało, nim sobie z tym wszystkim poradziła, a w tym czasie kolejka nawet nie drgnęła.

– Tego ze zdjęcia chyba nie widziałam, ale ten z rysunku wygląda znajomo. Wydaje mi się, że ktoś podobny do niego przychodził do Józki. Czy to był on, to nie wiem, toć już tyle lat upłynęło. A kto to, jeśli można wiedzieć? Pewnie jakiś kuzyn?

– Powiedzmy, że kuzyn. Dziękuję za pomoc.

– Wejść!

Januszek odłożył gazetę i spojrzał w kierunku drzwi. W progu stał major Kołakowski.

– Zamknijcie za sobą – rozkazał pułkownik. – Mielicie tu nie przychodzić, taka była umowa. Nikt was tu nie powinien zobaczyć.

– Owszem, ale nie odzywacie się, a ja się niecierpliwię. Kazaliście wstrzymać się z wykonaniem zadania, a było już kilka okazji, żeby uciszyć tę sukę. Nic z tego nie rozumiem.

– Kurwa mać, czy mam wam przypominać, że takie macie rozkazy? Wy nie jesteście od myślenia, tylko od wykonywania poleceń. Widzieliśmy się z generałem i razem uzgodniliśmy, że jeszcze czekamy.

– Ale na co?

– To nie wasz zasrany interes. Macie jedynie ją śledzić. Nie wolno wam nawet na chwilę spuścić z niej wzroku.

– Sam nie dam rady, potrzebuję wsparcia.

– Nie pierdolcie mi tu takich rzeczy. Lewandowska wstaje dopiero koło południa, a już przed wieczorem wraca do domu i pije do późna w nocy. Wtedy już nie musicie stać jak parasol pod jej oknem. Nie damy wam nikogo, bo nikt nie może wiedzieć, że współpracujemy. Nie zapominajcie, że oficjalnie jesteście wrogiem komunizmu i postanowiliście zwać na Zachód. Obecnie się ukrywacie i taka jest wersja dla mediów, a za dwa miesiące będziecie już w Berlinie Zachodnim. Czyli nic się nie zmieniło. Pamiętajcie, razem z generałem pokładamy w was duże nadzieje i myślę, że nas nie zawiedziecie. Liczymy na was, towarzyszu majorze.

Zuza, przechodząc koło „Antypodkowy”, pomyślała o Kowalskim. Jego kancelaria mieściła się na pierwszym piętrze, obok zakładu krawieckiego, który polecił jej pan Tadzio. Ponoć jako jedyni w Płocku naprawiali kozuchy, a jej miał pod pachą wielkie naddarcie. Może podejmą się jego naprawy? Postanowiła niezwłocznie się tam udać. Faktycznie, zobaczyła szyld byłego wspólnika, ale biuro było zamknięte na cztery spusty. To dobrze, odetchnęła z ulgą, przynajmniej się z nim nie spotka. Weszła do zakładu. Jakaś kobieta za ladą zmierzyła ją niechętnym spojrzeniem. Nastaly takie czasy, że na wizytę u krawcowej czekało się dłużej niż na audiencję u papieża, a wszystko przez to, że półki sklepowe świeciły pustkami. Nim wyłuszczyła powód swojej wizyty, zza ciężkiej kotary wyszedł starszy mężczyzna z metrówką przewieszoną przez szyję i ołówkiem za uchem. Spojrzał na Zuzę zza grubych szkieł okularów.

– Witam panią mecenas.

Skądś ją znał, ale ona go sobie nie przypominała. Zawsze w takiej sytuacji drżała o okoliczności, w jakich się spotkali. Miała nadzieję, że nie napsuła mu zbyt dużo krwi, bo inaczej może ją potraktować grubą igłą krawiecką. Jeszcze, nie daj Boże, wbije ją w jej oko. Jako prawnik słyszała o różnych, nieraz jeszcze dziwniejszych przypadkach.

– Nie poznaje mnie pani? – spytał, bacznie się jej przypatrując.

– Powiem szczerze, że nie bardzo – odparła z wahaniem.

– Jestem kuzynem Nowaka, razem bawiliśmy się na jego weselu.

No tak, teraz skojarzyła. Świetnie tańczył, ale nic dziwnego, ponoć w młodości występował w Mazowszu. Jego rodzina przyjaźniła się z Mirą Zimińską, kiedy ta jeszcze mieszkała w Płocku.

– Teraz poznaję. Przyszłam spytać, czy naprawiacie kozuchy, bo mi się mój pod pachą trochę rozdarł.

– Z zasady to nie, to się nie oplaca, na skórze igły się łamią, ale ze względu na naszą znajomość proszę go przynieść, to obejrzę. Nic nie obiecuję, bo jeśli trzeba będzie wszyć wstawki, to może być problem z dobraniem koloru skóry. Takimi naprawami zajmują się głównie kuśnierze, oni mają specjalne maszyny i odpowiednie igły. Kiedy pani

przyjdzie, a zakład byłby akurat zamknięty, to proszę kozuch zostawić u pani kolegi. On tu jest z reguły cały czas, bo klientów ma mało.

Zuza się zakłopotowała, to rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Trudno, jeśli pocałuje klamkę, przyjdzie drugi raz.

– Tak słabo mu idzie? – spytała po chwili wahania.

– Niestety. Wie pani, po mieście poszła fama, że go pani wygoniła, bo nieudacznik, a każdy z nas wie, jaką pani ma renomę. Prawnik to kosztowna usługa, więc lepiej opłacać dobrego niż byle jakiego. Takie są brutalne prawa handlu.

– Ale to nieprawda. Przyczyną naszego rozstania było zupełnie coś innego – oburzyła się. – Owszem, Kowalski to kawał sukinsyna, ale nigdy nie powątpiewałam w jego fachowość. To jest świetny adwokat. Kto rozsiewa takie obrzydliwe plotki? Proszę mi go wskazać, a zaraz wszystko odszczeka!

To, co przed chwilą usłyszała, do głębi nią wstrząsnęło. Nie przypuszczała, że głupi kawał z gotowaniem papugi będzie mieć dla niego aż takie reperkusje. Na tak surową karę na pewno nie zasłużył.

– No wie pani, jak to plotka, nikt nie wie, kiedy i gdzie się to zaczęło, więc winnego pani nie wskażę.

– Zgadzam się z tym całkowicie. Jutro podrzucę kozuch, do widzenia!

Opuściła zakład krawiecki i wyszła na ulicę. W oddali zobaczyła Kowalskiego. Źle wyglądał, jakby przygarbiony, w rękę trzymał skórzaną aktówkę. Zrobiło się jej go żal. W końcu tyle lat wspólnie działali i było dobrze. Musi to jakoś odkręcić, ale niech to on zrobi pierwszy krok.

Ruszyła w jego kierunku. Spotkali się na rogu Nowego Rynku, nieopodal apteki. Od razu na jego twarzy pojawił się szyderyczy uśmiech.

– Witam gwiazdę palestry. Najsłynniejsza płocka papuga – przywitał ją kpiąco.

W milczeniu przełknęła tę uszczypliwość.

– Może wstąpisz do mnie na kawę? Pogadamy? – zaproponowała pojednawczo.

– Chcesz mi dosypać arszeniku? Nie wystarczyło mnie wywalić z kancelarii? Sukinsyna należy jeszcze dobić!

– Kurwa mać! – ryknęła na takie dictum. – Arszenik? To stanowczo za drogo, nafaszeruję cię strychniną, bo jest śmiesznie tania. Zdechniesz jak szczur w kanalizacji!

Minęła go i poszła dalej.

Czuła rozgoryczenie, wyciągnęła do niego rękę, a on ją w nią ugryzł. Nie warto mieć dobrego serca. To się nigdy nie opłaca.

W mijanym akurat warzywniaku kupiła dwa opakowania naboju do syfonu. Wprawdzie nie będzie z tego wody mineralnej, ale chociaż gazowana kranówka. Nieraz dawała ją papudze, a ta wtedy bekała, śmiesznie klapiąc dziobem. Borysa też raz nią napoiła, ale puszczał potem śmierdzące bąki. Przechodząc koło sklepu filatelistycznego, zatrzymała się i spojrzała na wystawę. Leżały tam znaczki, równo poukładane w klaserach, przeważnie bardzo kolorowe. Jak można kogoś zabić dla kawałka papieru, na dodatek zniszczonego i bardzo wyblakłego? To się jej w głowie nie mieściło, a jednak wszystko wskazywało na to, że do tego doszło.

Była coraz bardziej przekonana, że Sałacka dobrze znała Januszka i coś razem kombinowali. Czyżby wspólnie zamordowali Kłopotowskiego i przywłaszczyli sobie znaczek? Tego nie dało się wykluczyć, choć biorąc pod uwagę to, co usłyszała o dziewczynie, raczej powątpiewała w tę wersję. To wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej. Jak dotąd nie znalazła żadnego dowodu na to, że Sałacka znała zabitego. Brakowało jej tego ważnego elementu do tej układanki i zastanawiała się, jak go zdobyć.

W kancelarii czekał na nią Nowak. Ostatnio zaglądał tu jakby częściej, czyżby to było związane z aplikantką? Zmienił się po sanatorium, bardziej dbał o wygląd, nawet pozbył się swojego starego, wiecznie pogniecionego płaszcza.

– Chodź do mnie! – wywołała go do swojego pokoju.

Kiedy wszedł, zamknęła dokładnie drzwi.

– Ta dziewczyna jest niedużo starsza od twojego najstarszego syna – rzekła cichym głosem, żeby dotarło to tylko do niego.

– Co ty insynuujesz?! – zachnął się. – Jedyne ją lubię. Fajnie byłoby mieć taką synową.

– No, teraz słyszę mądre słowa – pochwaliła go. – Czego się napijesz?

– Niczego, wpadłem pokazać ci list samobójcy, przeczytaj go teraz, bo muszę go zwrócić na komendę.

– A co mnie obchodzi jakiś samobójca? Nie mam czasu na takie bzdety. Mam na głowie dużo ważniejsze sprawy.

– Nalegam!

Położył przed nią na blacie biurka pomiętą kartkę papieru.

Zuza z niechęcią wzięła ją w rękę. Czymś zaplamiona, niezdarne pismo. Ja kapitan Mariański zaraz szczele sobie w łep, bo jestem hory na nieuleczalność...

Migiem pochłonęła jej treść, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem. Długo nie mogła się pohamować. W końcu uspokoiła się i oddała list sierżantowi.

– Dawno się tak nie ubawiłam. Wiedziałam, że jest durniem, ale że aż takim, to nie przypuszczałam. Zobacz, on nawet nie potrafił sobie w łeb strzelić. A jak tam jego stan? Ponoć zdrowieje.

– Tak, jest wyraźnie lepiej, choć co i raz ma ataki szału na przemian z paniką, a wtedy wykrzykuje twoje nazwisko.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Jaja sobie ze mnie robisz? Myślałam, że to żart lub tylko jednorazowy wyskok.

– Nie, słowo. Widziałem się z doktorem Torbickim. Jest jego lekarzem prowadzącym i on mi to opowiedział. Chyba i jemu nieźle zalazłaś za skórę, bo bardzo źle się o tobie wyraża.

Na twarzy Zuzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Oczywiście. I gdyby to on wykrzykiwał moje nazwisko, to wcale bym się nie zdziwiła, ale Mariański? Cieszy mnie, że tak głęboko tkwię w jego świadomości, że się tam dobrze zadomowiłam, to jest naprawdę budujące. Ale zostawmy już tego tłuszciocha. Obiecałeś mi coś przynieść. No, wiesz co.
– Mrugnęła porozumiewawczo okiem.

Od jakiegoś czasu podejrzewała, że w kancelarii znów ma założony podsłuch. Jej czujność wzbudziły dziwne trzaski dochodzące ze słuchawki telefonicznej. Skoro jest tam, to może być i w gabinecie. I stąd jej dziwne zachowanie.

Nowak w pierwszej chwili nie załapał, w czym rzecz, ale zaraz odgadł, co Zuza ma na myśli.

– Oczywiście, dziś wieczorem będę szedł do kina, to po drodze ci podrzucę. Teraz biegnę na komendę, żeby oddać ten list pożegnalny.

Kiedy wyszedł, Zuza jeszcze przez dłuższą chwilę słyszała rozmowę i chichot aplikantki zza drzwi. Z niesmakiem pokręciła głową i wzięła się do studiowania notatek, bo być może coś przeoczyła.

Przerażona pielęgniarka wbiegła do dyżurki lekarskiej.

– Panie doktorze, pacjent z czternastki stoi w oknie i chce skoczyć! – krzyknęła do doktora Torbickiego. Ten natychmiast poderwał się z krzesła.

– Który pacjent?

– Ten milicjant samobójca.

– A, on.

Czy warto go od tego odwodzić? Co komu po tym, że przeżyje? Drugie piętro, pewnie się zabije, analizował na szybko lekarz. Po chwili się uspokoił, na powrót usiadł i sięgnął po paczkę papierosów.

– Zaraz przyjdę – oznajmił.

– Ale to pilne, panie doktorze. On zaraz wyleci z tego okna.

– Przed przeznaczeniem nie uciekniesz – zauważył filozoficznie. – Ten słój z formaliną to jeszcze stoi na intensywnej terapii czy go wyniosłyście?

– Stoi.

– Za chwilę pójde i porozmawiam z pacjentem. Proszę mu to zakomunikować.

– Ale ja nie wiem, czy on będzie chciał poczekać. Może nawet już skoczył.

– Mnie ciekawi, jakim cudem on się tam znalazł. Przecież miał być przywiązany.

– Rano na oddziale był doktor Ludwicki i kazał go uwolnić.

– Siostro, ale on jest patologiem, a nie neurologiem. Najwyraźniej chciał mi odebrać pacjenta. Pod żadnym pozorem proszę go nie wpuszczać na oddział.

Pielęgniarka zaczęła nerwowo dreptać w miejscu.

– To może już chodźmy?

– Spokojnie, to tchórz i nie warto się spieszyć.

Torbicki przygasił peta w popielniczce i wolno dźwignął się z krzesła.

– No to chodźmy. Zobaczymy, co z tym czubkiem.

Mariański ubrany w szpitalną pasiastą piżamę wciąż stał na parapecie otwartego okna. Jedną ręką trzymał się futryny, a drugą wymachiwał na wszystkie strony, jakby kogoś odpędzał.

– Idź precz! Ty imperialistyczna suko, zabiję cię! Odejdź stąd! Mam ciebie dość! Opara, masz ją zepchnąć z tego mostu! O kurwa, ale mi łeb napierdala! Już nie wyrabiam, już nie chcę żyć! Chcę ze sobą skończyć!

Zobaczywszy lekarza, puścił futrynę i jeszcze bardziej wychylił się na zewnątrz.

– Myślisz, że przed nią uciekniesz? Nie ma na to szansy. – Torbicki zaczął do niego mówić spokojnym głosem. – Ona cię wszędzie dopadnie. A może się mylę? Może powinieneś sam się przekonać? Skoro ona jest na tym świecie, to nie może być jednocześnie na drugim. Może uda ci się ją przechytrzyć.

Pielęgniarka słuchała tego z przerażeniem. Co ten doktor mówi? On go przecież namawia, żeby skoczył.

– No, na co czekasz? Chcesz, żeby cię dorwała? Wtedy będziesz zgubiony. Wypatroszy cię jak świnie.

Mariański nagle jakby oprzytomniał. Na powrót złapał się futryny, po chwili zszedł z okna i jak gdyby nigdy nic wrócił do łóżka.

– Jest pan genialny, panie doktorze. – Pielęgniarka nie kryła podziwu. – Myślałam, że pan go namawia do skoku, a to taki wybieg.

– No cóż, lata praktyki – odparł buńczucznie, a w duszy zaklął, że znów się nie udało.

Zuza postanowiła odwiedzić rodzinę męża jednej z trzech zamordowanych bibliotekarek. Wdowiec mieszkał w bloku przy ulicy Wolnej Afryki. Miała podwójne szczęście, bo akurat wrócił z pracy i zgodził się z nią porozmawiać. Mieszkanie było niewielkie, składało się z dwóch pokoi i kuchni w amfiladzie. Mężczyzna zaparzył kawę i usiedli przy ławie w dużym pokoju.

– Co chce pani wiedzieć? Wszystko opowiedziałem milicji. Już straciłem nadzieję, że złapią tego czubka. Marysia nie miała wrogów, była taka otwarta na ludzi. Mieliśmy tyle planów i wszystko wzięło w łeb. – Mężczyźnie zadrżał głos, w oczach zabłyśły łzy. Skrycie je otarł, jakby się ich wstydził.

– Mogę zapalić? – spytała.

– Jasne, może i mnie pani poczęstować, ostatnio zdobycie papierosów graniczy z cudem. Kopcę te bez kartek, wczoraj kupiłem bułgarskie DS-y, ale to jest obrzydliwe, tego się nie da palić.

Na widok ekstra mocnych aż cmoknął z pożądania.

Zuza od razu przeszła do sedna sprawy.

– Czy żona panu nie wspomniała o czymś, co ją głęboko poruszyło? O jakimś niemiłym zdarzeniu? Może pokłóciła się z klientem? Spotkała

kogoś? A może była czegoś świadkiem?

Spojrzał na nią pytająco.

– Co pani ma na myśli? Czego miałyby być świadkiem?

– Nie wiem czego. Tak pytam, bo może na coś pana nakieruję. Nieraz zobaczymy coś, czego nie powinniśmy widzieć, i wtedy może nam grozić niebezpieczeństwo. Może tak było tym razem?

– O niczym takim nie wspominała. Jestem tego pewny. Zawsze, kiedy wracała z pracy, to rozmawialiśmy, dzieliła się ze mną wrażeniami. Wiedziałbym o czymś takim, na sto procent.

– A czy przyjaźniliście się z pozostałymi ofiarami? Może jakieś wspólne wyjścia, wyjazdy? Na przykład wczasy z Funduszu Wczasów Pracowniczych? Pan pracuje w stoczni i o ile wiem, macie ośrodek wypoczynkowy w Wykowie. Może tam się spotykaliście?

– Owszem, znałem te panie, nieraz przychodziłem po żonę, żeby do domu nie wracała sama, tym bardziej że zimą o tej porze było już ciemno. Akurat tamtego dnia szedłem do pracy na drugą zmianę. Gdybym miał poranną, to pewnie by żyła. Do dziś nie mogę sobie tego darować.

– Niesłusznie. Proszę się nie obwiniać, według mnie to nie był przypadek. Morderca planował, że zabije pańską żonę, i poczekałby na dogodny moment, żeby uderzyć.

Mężczyzna się zdumiał. Nerwowo przygasił peta.

– Skąd pani to wie? Milicja i prokurator mówili mi, że to jakiś psychopata. Że swoje ofiary wybierał przypadkowo.

– Gdyby to była prawda, toby nie skończył mordować. To nie był psychopata, bo tacy się nie zatrzymują; mało tego, czują się coraz bardziej bezkarni. Ktoś chce, żebyśmy akurat tak myśleli.

– Jeśli tak, to czemu się tak nad nimi znęcał? Nie wystarczyło po prostu zabić? Czemu zadał im tyle bólu?

– Musiał być bardzo przekonywający, żeby wszyscy uwierzyli w wersję o psychopacie. A czemu zabijał? Tego jeszcze nie wiem, ale się dowiem.

– Uważa pani, że złapie zabójcę? Milicji się nie udało, to dlaczego pani ma się to udać?

– Być może komuś w milicji na tym nie zależało – rzekła, uśmiechając się zagadkowo. – No, na mnie czas, dziękuję za rozmowę. – Chwyciła torebkę i podniosła się z fotela.

Na ulicy zobaczyła kilkunastu kleryków z pobliskiego seminarium. Szkoda chłopaków. Pamiętała jednego z klientów. Opowiadał jej barwnie o swojej młodości. Pochodził z bardzo biednej rodziny i żeby wyrwać się ze skrajnego ubóstwa, poszedł do zakonu dominikanów. Tam dostał pierwsze w swoim życiu nowe buty i ubranie. Wydawało się, że nastąpiła cudowna odmiana, ale po dwóch miesiącach wszystko, co miłe, raptownie się skończyło. Dorwali go pod prysznicem. Tak jak stał, w samych majtkach, wybiegł z łaźni, przesadził klasztorny mur i tyle go widzieli. Bodźcem do opowiedzenia jej tej historii była dla niego wizyta proboszcza, który podrzucił Zuzie dwie paczki kawy. Widząc duchownego, mężczyzna zaczął się dziwnie zachowywać, jego twarz pokryła się purpurą i dostał silnych drgawek. W pierwszej chwili Lewandowska pomyślała, że to atak padaczki, bo objawy były ludzaco podobne. Długo trwało, nim się uspokoił.

Po drodze do kancelarii Zuza wstąpiła na stację benzynową przy Bielskiej. Potrzebowała litra oleju do silnika. W ogóle się na tym nie znała, ale miała zapisane przez pana Tadzia, co dokładnie kupić. Przy okazji chciała zagadać o benzynę, bo tej z kartek to starczało jej ledwie na pół miesiąca jeżdżenia. Od lat kierownikiem był tu pan Janek, ten, co odkupił od niej sędziwego volkswagena garbusa. Chyba sprzedała go grubo za tanio, bo od tamtej pory, gdy ją spotykał, kłaniał się dosłownie w pas. Teraz liczyła, że spojrzy na jej potrzeby łaskawym okiem.

Przez małe okienko w drzwiach zerknęła do środka. Pan Janek siedział nad jakimiś papierami i coś zawzięcie liczył na liczydłach. Na jej widok od razu poderwał się z krzesła.

– A co panią mecenas do nas sprowadza?

– Jak zwykle, potrzeba. Te sukinsyny komuchy przykręciły nam kurek z benzyną. Może ma pan jakąś metę na paliwo? Od razu zaznaczam, że

cena nie gra roli. Po prostu potrzebuję samochodu, a na powietrzu daleko nie zajadę.

– Jeśli ropa, to nie ma żadnego problemu, kierowcy ciężarówek aż się napraszają, a na zapleczu stoi dwustulitrowa beczka, którą zostawili mi czołgiści. Z benzyną zaś jest kłopot. Ostatecznie po starej znajomości mogę pani odstąpić mój talon za ten miesiąc. Pogadam ze szwagrem milicjantem. Jego kolega pracuje na petrochemii. Raz na jakiś czas wywozi stamtąd kilka baniaków paliwa do samolotów.

– I na tym da się jeździć? – zdziwiła się. – To chyba inny zakres szybkości. Mogę się nie wyrobić na zakręcie.

– Pewnie, że można, ale trzeba mieszać. Jak wlałem samo to paliwo do pani garbusa, to myślałem, że odleci w kosmos. Na trasie do Warszawy wyprzedziłem nawet komendanta straży pożarnej, a przecież każdy wie, jak on zawsze zapierdala tym swoim oplem rekordem.

– Dobra, takie też wezmę. Kiedy mam po nie podjechać?

– Myślę, że za tydzień. Gdyby mnie akurat nie było, to pani powie mojemu zmiennikowi, że w pakamerze są dla pani dwie wachy lotnika.

– Można mu zaufać? Wie pan, nie chcę kłopotów.

– Spokojnie, on ma więcej za uszami niż niejeden kryminalista, ale nie dał się złapać, bo jest sprytny.

– A zatem do środy.

W kancelarii cisza jak makiem zasiał. Zuza rozsiadła się w swoim fotelu i zapaliła ekstra mocnego. Spojrzała na portret ojca. Uśmiechał się, to znaczy, że raczej nic nie przegapiła, że idzie dobrym tropem. On chyba to wie, przecież jest w innym świecie. Ciekawe, czy lepszym.

– Widzę, że jesteś ze mnie zadowolony. Cieszę się. Powiedz mi, co teraz mam zrobić. W jakim kierunku podążać w swoim śledztwie?

Chwilę poczekała, ale twarz na obrazie nawet nie drgnęła.

– Widzę, że nie powiesz. No tak, sama muszę do tego dojść.

Nie no, kurwa, chyba wariuję. Znów gadam z obrazem, przemknęło jej przez myśl.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę!

To aplikantka. Rozejrzała się po pokoju. Wyglądała na mocno skonsternowaną.

– Coś taka wystraszona?

– Myślałam, że ktoś tu jest u pani. Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy.

Zuza się zmieszała.

– To coś z tobą nie tak albo to z ulicy – bąknęła. – Zrób mi herbatę. Chyba do kawy nie zdołam się przekonać, choć się bardzo starałam. Czy nikt tu nie zaglądał, kiedy mnie nie było? Chodzi mi konkretnie o mężczyznę. Może mieć czterdzieści kilka lat, wojskowa sylwetka, włosy krótko przycięte, szpakowate.

– Nikt taki się tu nie kręcił, ale chwilę mnie nie było, bo zeszłam do delikatesów na zakupy.

– Obecnie czas na robienie zakupów trudno nazwać chwilą – zauważyła drwiąco Zuza.

Od wczoraj czuła pewien niepokój, zastanawiało ją, czemu Kołakowski się nie zjawił. Przecież miała mu dać odpowiedź. Czyżby postanowił odpuścić sobie te dolary, no bo nie liczyła na to, że zrezygnował ze zlecenia. Czemu Nowak jeszcze jej nie podrzucił broni, przecież obiecał? Wieczorami, kiedy samotnie siedziała w domu, powiedzieć, że czuła się nieswojo, to mało – wręcz paraliżował ją strach. Każde skrzypnięcie drzwi, każdy dziwny dźwięk od razu stawiały ją na baczność. Pogrzebacz i nóż kuchenny zawsze leżały pod ręką. Na dłuższą metę nie dałoby się tak żyć.

Aplikantka przyniosła herbatę i usiadła po przeciwnej stronie biurka.

– Szefowo, czy mogę i ja poszperać w tej sprawie?

Zuza spojrzała na nią uważnie. O co jej, do cholery, chodzi?

– Po pierwsze, nie mów do mnie „szefowo”, bo mnie to wkurwia, mów „pani mecenas”, a po drugie, o jakiej sprawie myślisz? O tej batalii o kamienicę Siennickich czy może o pobicie i obrabowanie listonosza? Chyba że masz na myśli jeszcze coś innego?

– Nie, pani mecenas, chodzi mi o sprawę tych bibliotekarek. Mogę poszperać w archiwach, popytać ludzi.

– A myślisz, że co ja od jakiegoś czasu robię? Właśnie to.

– No tak, ale co dwie głowy, to nie jedna. Sprawa Siennickich będzie w sądzie dopiero za miesiąc, a co do tego napadu, to milicja wciąż szuka współnika naszego klienta, więc jest trochę czasu.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że się nudzisz? Że z nudów dłubiesz w nosie?

Dziewczyna się zmieszala, widocznie Zuza przez przypadek odkryła jej wstydlivą tajemnicę.

– Nie, skądże, tak tylko pomyślałam.

– Dobra, masz ode mnie zielone światło. Szukaj, ale uważaj, bo nie chciałabym, żeby cię znaleźli z rozprutym brzuchem gdzieś w płockim zaułku. Pamiętaj, to jest zabawa z mordercą. Dla niego zabić jeszcze jednego człowieka to żaden problem, bo jak go złapią, to już tylko za poprzednie zbrodnie dostanie czapę. Mówiąc krótko: wszystko ponad to jest bezkarne, czyli hamulców brak.

– Zaczę od wujka, jest patologiem. Może pamięta coś z sekcji? A jak nie, to może ma kopie raportów?

Zuza spojrzała na nią bystro.

– Jak się nazywa ten twój wujaszek? Tylko nie mów, że Ludwicki, że ten skurwiel jest twoim krewnym?! – wydarła się na całą kancelarię.

Dziewczyna zbladła, kompletnie zaskoczona reakcją Lewandowskiej, spoglądała płochliwie na nią, bojąc się nawet odezwać.

Zuza wbiła w nią natarczywe spojrzenie. Chciała natychmiastowej odpowiedzi, a właściwie energicznego zaprzeczenia. Oświadczenia, że ta nie ma nic wspólnego z Ludwickim.

– To taki dalszy wujek – wydukała po chwili aplikantka.

– Jak dalszy? – Zuza drażyła temat.

– Noooo... mamy brat, ale oni się nie lubią, on do nas nie przychodzi.

Zuza wyjęła kieliszek i butelkę.

– Ja też się napiję.

Wyjęła drugi, rozlała.

– Kurwa mać i co mnie spotyka za moją dobroć, za moje serce? Wbijają mi w nie widły i mi je nimi rozrywają – żaliła się Zuza. – Wpuściłam wroga pod swój dach.

– Pani Zuzo, ale ja się z wujkiem nie widziałam od lat ani z nim nie rozmawiałam. To dla mnie obcy facet.

– Nie jestem dla ciebie pani Zuza, tylko pani mecenas. Powinnam cię teraz wywalić na zbity pysk! Dać wilczy bilet do innych adwokatów. Zataiłaś przede mną ważne informacje.

– Nie wiedziałam, że są ważne. Jeśli on się pani czymś naraził, to czy ja jestem temu winna? Mogę jedynie za niego przeprosić.

Zuza nic na to nie rzekła. Podniosła się z fotela, wrzuciła papierosy do torebki i spojrzała przeciągle na aplikantkę.

– Nie wiem, co teraz mam z tobą począć. Muszę się namyślić. Teraz idę do domu. Dziś ma przyjść hydraulik do bojlera, a jak mnie nie zastanie, to będę czekać na niego następny tydzień.

Założyła płaszcz i bez słowa pożegnania wyszła.

Przed jej kamienicą stał żuk pod plandeką. Kiedy się zbliżyła, z szoferki wysiadł jakiś mężczyzna w waciaku.

– Pani może nazywa się Lewandowska? – spytał.

– A o co chodzi? – odpowiedziała, zdziwiona, pytaniem.

– Jesteśmy ze spółdzielni rybackiej w Wyszogrodzie, mamy dla pani ryby.

– Jakie ryby, do cholery? O czym pan gada?

– My nic nie wiemy, ale nasz prezes pan Dziubka kazał nam załadować ryby i przywieźć do pani. No i jesteśmy.

– A tak – nagle ją oświeciło. – Przepraszam. Zupełnie mi to akwarium z głowy wyleciało.

– Pani mecenas, pilna sprawa! – Ulicą szedł proboszcz i machał do niej. To musiało być coś ważnego.

Wyjęła klucze z torebki.

– Panowie, mieszkanie na drugim piętrze, jest wizytówka, otwórzcie sobie, wrzucie rybki do akwarium, tylko pamiętajcie, nie otwierajcie drzwi od drugiego pokoju, bo siedzi tam duży pies. Ja zaraz do was przyjdę, a na razie muszę tu chwilę z księdzem porozmawiać.

Przeszła na drugą stronę ulicy.

– Co się stało?

– Była u mnie w konfesjonale jedna parafianka. Dużo ciekawych rzeczy się dowiedziałem, ale nie mogę ci tego przekazać, bo obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

– No to po co mi ksiądz o tym mówi? – zdziwiła się.

– Wiesz, mam poważny problem moralny. Opowiedziała mi o pewnej zbrodni, której była świadkiem. Nie zgłosiła się na milicję, a teraz ma wyrzuty sumienia.

– Powie mi ksiądz coś więcej? Co konkretnie widziała? Tego chyba tajemnica spowiedzi nie obejmuje?

– No właśnie, w tym cały ambaras, że nie jestem tego pewny. Może najpierw pójde do biskupa i się go poradzę?

– Czy chodzi o morderstwo, czy o coś z złejszego paragrafu?

– To najcięższe. – Proboszcz się ostentacyjnie przeżegnał.

– Czyli zabójstwo i pewnie mordercy nie ujęto. Powinna się zgłosić. Co jej ksiądz doradził? Myślę, że właśnie to?

Duchowny podrapał się w głowę, wyraźnie zakłopotany.

– Nie mogłem tego zrobić, ale nie pytaj dlaczego.

– Domyślam się, ta kobieta zna zabójcę i boi się, że kiedy zacznie mówić, to i ona skończy jak ofiara. Mam rację?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Jesteś jasnowidzem czy co?

– No chyba ksiądz w takie rzeczy nie wierzy? – Zaśmiała się. – To nic innego, tylko lata pracy w moim fachu. Co to za zabójstwo?

– Właściwie to mogę ci powiedzieć, ale o nic więcej nie pytaj. Zgoda?

– Dobrze, niech będzie. No więc? – niecierpliwiła się.

– Chodzi o zabójstwo Danuty Tyburskiej.

Zuza poczuła dreszczyk emocji w kręgosłupie. Świetna wiadomość. Przecież właśnie tak się nazywała jedna z zamordowanych bibliotekarek. Zeznania tej parafianki mogą okazać się bezcenne, kluczowe dla sprawy.

– Ona musi zeznawać, i to koniecznie! Ksiądz musi mi podać jej personalia, porozmawiam z nią, przekonam...

– Co to, to nie! Nie ma mowy, tajemnica spowiedzi to rzecz święta. Mimo to spróbuję coś z tym zrobić. Może biskup znajdzie jakieś rozwiązanie. To światły człowiek.

Zuza już na tyle poznała tego hierarchę, że nie robiła sobie zbyt wielu nadziei. Może gdyby sypnęła mu grosza, sprawa by miała szczęśliwy finał,

tak jak było z tym rozwodem. Nie należała do osób, które łatwo się poddają, musiała znaleźć jakiś sposób, żeby wyciągnąć z proboszcza te informacje.

– Kiedy ksiądz się do niego uda? Rzecz jest pilna, i to jak cholera.

– Proszę, nie klnij. Coś ty taka w gorącej wodzie kąpana? Skoro tak ci się spieszy, to dziś pójdę, ale nie ma gwarancji, że mnie przyjmie.

– A co on może mieć do roboty? Zadzwonię wieczorem.

– Ja zadzwonię, jak od niego wrócę. Teraz biegnę do siebie, bo ktoś ma przyjść w sprawie pogrzebu.

Na schodach Zuza natknęła się na pracowników spółdzielni rybackiej, akurat schodzili. Jeden z nich zatrzymał się na chwilę. Z kieszeni waciaka wyjął klucze i podał je właścicielce.

– Tak jak pani kazała, ryby są już w akwariium. Musieliśmy tylko trochę wody spuścić, żeby się zmieściły – rzekł ze śmiechem i wyszedł z bramy.

– Dowcipas – mruknęła pod nosem.

Weszła do mieszkania i stanęła jak wryta.

– Kurwa mać, co to jest?! – ryknęła. Nie wierzyła własnym oczom. Chyba śniła.

W akwariium pływały wielkie tłuste karpie, było ich z dziesięć. Tak na szybko przeliczyła. Pod wpływem ruchu ich płetw woda aż się kotłowała, jak w jakimś gejzerze.

Ktoś chyba ochujał. Jak można komuś coś takiego sprezentować? A co ja teraz z tym zrobię? – pomyślała Lewandowska.

– Kuuuurwa maaaać! Kuuuurwa maaaać! – rozwrzeszczała się Zgaga.

– Zamknij ten przekłety dziób!

Zuza podeszła do telefonu i zadzwoniła do Nowaka.

– Chcesz karpia, a nawet kilka?

– A na co mi one? – zdziwił się. – Teraz? Do świąt jeszcze kupa czasu. Najlepiej zamróż.

– Kurwa, ale jak, one są przecież żywe! Jak mogę je zamrozić? To byłoby bestialstwo.

– To one są żywe? Czemu w ogóle je przyjęłaś, przecież ty przeganasz nawet wdzięczne klientki z kurami?

– Miały być małe, ozdobne.

– To nie widziałaś, co ci wpuszczają do akwarium? Od dawna ci mówię, żebyś mniej piła. To wszystko przez alkohol, on niszczy mózg.

– Co ty mi tu, kurwa, sugerujesz? Że jestem nawalona, i to już od samego rana? Kiedy je przynieśli, nie było mnie w mieszkaniu.

– Jeszcze lepiej. Od kiedy obcym dajesz klucze? Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić.

– A idź do diabła! – krzyknęła i z impetem odłożyła słuchawkę na widełki.

Podeszła do akwarium i zaczęła się przypatrywać rybom. Pływały bez sensu i celu, uderzając łbami w szklane ściany. Nie wyglądały na szczęśliwe, zresztą tak jak i ona. Poczowała do nich sympatię. Trzeba jakoś temu zaradzić, przecież nie mogą zostać u niej.

Rozejrzała się po pokoju. Zatrzymała wzrok na wiadrach na węgiel. Tak, to będzie dobry pomysł. Sprawdziła, czy nie przeciekają. Były szczelne, no to zabrała się do napełniania ich wodą, tak do połowy, więcej nie. Potem nastąpił najtrudniejszy etap przedsięwzięcia, czyli odławianie karpie. To była prawdziwa walka, prawie na śmierć i życie. Trwała dobry kwadrans i w efekcie podłoga w pokoju była cała zalana, a Zuza cała mokra. Grunt, że ryby pływały w wiadrach, choć „pływały” to wyrażenie ciut na wyrost, raczej siedziały przytulone jedna do drugiej.

Teraz należało przenieść je do auta. Miała szczęście, akurat szedł pan Tadzio i pomógł. Później zjechała nad Wisłę i wypuściła karpie do rzeki, ale zanim odzyskały wolność, każdy z nich usłyszał życzenie Zuzy, a miała tylko jedno – dorwać Januszka. A nuż któryś z nich okaże się złotą rybką?

Wróciła do domu śmiertelnie zmęczona, bo wiadra wypełnione rybami były ciężkie, a do Wisły miała daleko. Ledwie zdążyła zapalić papierosa i rzucić się na kanapę, kiedy przyplątał się Nowak. Pierwsze, co zrobił, to zerknął na akwarium.

– A gdzie te twoje ryby? To był żart? Że się od razu nie domyśliłem!

– Ryyyby! Ryyyby! Kuuurwa maaać!

– Może i żart, ale na pewno nie mój. Są już w Wiśle. Dałam im wolność. Proponowałam ci je, ale przecież nie byłeś zainteresowany. Przyniosłeś to, o co się proszę od kilku dni, czy znów zapomniałeś? Nie dbasz o mnie.

Wyciągnął pistolet spod kapoty i podał go Zuzie.

– Schowaj go dobrze i pilnuj jak oka w głowie. Pamiętaj tylko, że ja nic o nim nie wiem. Nie ode mnie go otrzymałaś. Wszystkiego się wyprę.

– Po co mi to mówisz? Przecież nie od dziś się znamy. Mam nadzieję, że wcześniej nikogo nim nie ukatrupiłeś? Żona jeszcze żyje? – Widząc jego rozgoryczoną minę, zaraz dodała: – Żartowałam tylko. A jak twoja znajoma z sanatorium? Jak rozwija się wasza miłość? – zakpiła.

Nowak się zachmurzył.

– Zerwała ze mną.

– Amen, jakże typowe zakończenie wakacyjnej miłości. Czy przypadkiem nie wiesz, co dzieje się z Mariańskim?

– A co, stęskniłaś się?

– Może trochę. Bez niego jest tak smutno, brakuje mi widoku jego durnej gęby, ale nie tylko o to chodzi. Co innego mieć za przeciwnika jego, a co innego Januszka. To już dużo wyższa liga, kreatura wyrachowana i do tego inteligentna. Nie ukrywam, że źle mi z tym, żyję w silnym stresie, co chwila muszę oglądać się za siebie i tak naprawdę nie pamiętam już, kiedy ostatni raz się porządnie wyspałam.

– Polepsza mu się. Chodzą słuchy, że ponoć chce wrócić do pracy, w co ja zbytnio nie wierzę.

– Brawo konowały. Widzę, że dobrze go połatali i dobrali mu odpowiednie tabletki. A jak radzi sobie z tym, że ma prostatę? Czy przypadkiem znów nie palnie sobie w łeb? Boję się o niego. – Zachichotała.

– Wiesz co – zaczął sierżant – najlepsze jest to, że po tej sprawie kilku innych milicjantów poszło się przebadać, żeby sprawdzić, czy też nie mają prostaty.

– A to durnie. Z kim przestajesz, takim się stajesz – skwitowała. – Lepiej walnijmy sobie po kielichu, tak dla rozgrzewki, bo zimno. Chyba trzeba będzie rozpocząć sezon grzewczy. Jutro pogonię Geńkę, niech chociaż drewnem w piecu przepali.

– Przeepali proostata! Przeepali proostata! Duuurnie! – Zgaga niespodziewanie się uaktywniła.

– A tej co? – zdziwił się sierżant. – Poznała nowe słówka?

– Ona, tak jak my, wciąż się uczy, a i tak zdechnie głupia. Widziałam się z Kowalskim, po tej wyprowadzce mocno zhardział, a myślałam, że czegoś go to nauczy.

– Zhardział? – zdziwił się Nowak. – Według mnie on jest na skraju depresji, wszyscy dobrzy klienci go opuścili, a co dla niego najgorsze, kobiety też.

– Czy chcesz powiedzieć, że może skończyć tak jak Mariański?

– No, jeśli ma pistolet, to może sobie lufę w usta włożyć i palnąć. Tego nie wykluczam.

– O ile wiem, to nie ma spluwy, najwyżej może sobie fajfusa włożyć. Nieważne, nie było tematu, no bo co on mnie obchodzi? Palant jeden.

Wyjęła z paczki papierosa. Zapalki wciąż jej gasły. Wyraźnie wzburzyła ją ta rozmowa. W końcu sierżant się zlitował i jej przypalił.

– Lepiej już idź do tego kina, bo się spóźnisz na seans.

– Spokojnie, najwyżej nie obejrzę kroniki filmowej.

Kiedy sobie poszedł, Zuza sięgnęła po Prousta, ale nie była w stanie się skupić na lekturze i odłożyła książkę. Myśl, że Kowalski może sobie strzelić w łeb, wciąż nie dawała jej spokoju. Podświadomie czuła się nieco winna tej całej sytuacji, a prócz tego wciąż tego sukinsyna na swój sposób lubiła.

Późnym wieczorem zadzwoniła do proboszcza, by dowiedzieć się, co ustalił u biskupa. Rozmowa była krótka i treściwa. Pod żadnym pozorem nie wolno mu ujawnić tajemnicy spowiedzi, a zatem temat został zamknięty.

Nawet nie poczuła zawodu, bo właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

Koło północy obudził ją dziwny hałas. Sięgnęła do szuflady szafki nocnej po broń. Z pistoletem w dłoni podniosła się z łóżka. Cichutko, na palcach zaczęła skradać się do drzwi. Po drodze nadepnęła na Borysa. Ten spał jak zabity, nawet nie drgnął. Nic dziwnego, jak go rano wypuściła, to wrócił dopiero wieczorem. Przyłożyła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

– Miiilicja! Miiilicja! Miiilicja! – nagle rozwrzeszczała się papuga.

Zuza aż podskoczyła. Z korytarza dobiegł tupot czyichś stóp, a po chwili wszystko ucichło.

Długo nie mogła zasnąć. Myślała o wielu rzeczach, w tym o aplikantce i jej wujku, a wtedy krew się jej w żyłach gotowała. Dopiero nad ranem sen ją zmorzył.

Potworny huk, wszędzie pełno szkła, wyleciało okno z futryny. Zobaczyła Kołakowskiego. Stał na środku pokoju w długim skórzanym płaszczu, takim, jakie nosiło gestapo. W ręku trzymał siekiere, jej ostrze pobłyskiwało w świetle lampy. Mężczyzna śmiał się złowrogo i powoli kroczył w kierunku łóżka Zuzy. Co robić? Gdzie jest ta przeklęta tetetka? W szufladzie szafki jej nie ma, pod łóżkiem też. Gdzie ona się zapodziała? Był coraz bliżej... doszedł do łóżka i podniósł siekiere.

– Mam cię, ty adwokacka suko. Rozłupię ci na pół ten parszywy łeb i wydlubię z niego mózg.

Zuza w panice chwyciła kołdrę i zaciągnęła ją na głowę. Czekwała na uderzenie, na ten pierwszy i ostatni cios.

Nie! Nagle poderwała się do góry, będzie się bronić. Tanio skóry nie sprzeda.

A co to? Nikogo nie ma. Okno też jest całe. Kurwa mać, to znów tylko sen. Czuła serce bijące jej niczym dzwon, jeszcze chwila i wyskoczy z piersi, tak była przerażona. Koszula nocna cała mokra, że można ją było wyjąć. Kilka takich nocek, a sama się wykończy, nie będzie potrzeba

zabójcy. Musi pogadać z Teresą, niech jej coś przepisze. Spojrzała na budzik, ósma rano.

Dziś postanowiła odwiedzić rodzinę drugiej bibliotekarki – tej, która mieszkała przy Sadowej. To było osiedle domków jednorodzinnych nieopodal ulicy Wyszogrodzkiej. Domek zwykły, typowa kostka, działka ogrodzona stalową siatką. Przycisk dzwonek był umocowany na lewym słupku przy furtce. Zwróciła na to uwagę, bo nietypowo, normalnie jest instalowany po prawej stronie. Pewnie gospodarz jest mańkutem, to by wszystko tłumaczyło.

Długo nikt nie wychodził, aż w końcu pojawił się jakiś starszy mężczyzna w grubym, długim i powyciąganym swetrze. Kuśtykając na lewą nogę, podszedł do furtki.

– O co chodzi? – spytał, przyglądając się Zuzie uważnie.

Teraz mogła i ona przyjrzeć mu się z bliska. Na pierwszy rzut oka – menel. Oczy podkrążone jak u starego pijaka, widoczne braki w uzębieniu, niechlujnie ogolony. Z jego ust dolatywał niemiły zapach przetrawionego czosnku. Zuza odruchowo się cofnęła.

– Nazywam się Lewandowska, jestem adwokatem. Chciałam porozmawiać o pani Justynie Rybowskiej.

– A co tu gadać? Nie żyje i już. Wszystko, co mogliśmy powiedzieć, powiedzieliśmy milicji, dajcie nam i jej spokój.

– Chcę złapać tego skurwysyna, co ją zabił. Proszę mi w tym pomóc.

Rzucił jej pogardliwe spojrzenie, po czym się roześmiał.

– Pani chce go złapać? Żartuje pani sobie? Lepiej, kobieto, odpuść, bo jeszcze sama tak skończysz jak nasza świętej pamięci Justysia. Ksiądz proboszcz powiedział, że to diabeł zrobił, a z nim tu nie wygra, dopiero na drugim świecie.

– Mimo to chcę spróbować, i to na tym świecie, chcę sukinsyna chwycić za jaja i mu je urwać. Mam tylko kilka pytań i pójdę sobie.

– Jak pani chce – odparł z rezygnacją i lewą ręką włożył klucz do zamka furtki. Miała rację, był mańkutem.

Zaprowadził ją do domu. W środku było skromnie. Na ścianach kilka świętych obrazów, w pokoju stołowym wisiała *Ostatnia wieczerza*. Gospodarz zapalił papierosa. Zuzy nie poczęstował, widocznie uważał, że palenie to przywilej wyłącznie mężczyzn. Często spotykała się z takim szowinistycznym nastawieniem, ale się tym wcale nie przejmowała. Wyciągnęła ekstra mocne. Rzucił jej potępiające spojrzenie, lecz na tym poprzestał.

– Co to za pytania, bo mam kupę roboty?

– Pani Justyna to pana córka?

– Wnuczka. To było kochane dziecko. – Ze wzruszenia głos mu zadrżał.

– Czy wnuczka opowiadała państwu o tym, co się dzieje w bibliotece? O wypożyczających, o jakichś konfliktach, zdarzeniach?

– Oczywiście. Byliśmy z niej bardzo dumni, pierwsza w rodzinie, która się tak wykształciła. Wie pani, my to prości ludzie. Mieliśmy gospodarstwo rolne pod miastem, a kiedy zaczęli budować bloki, to nas zmusili do sprzedaży, no i wylądowaliśmy tutaj.

– A czy Justyna miała jakiegoś chłopaka, przyjaciela?

– Nie. Na pewno nie. Powiedziałyby nam o tym. Tylko książki i książki, i nic więcej. Ona była w nie zapatrzona jak w święty obraz. Przychodziła z pracy i do nocy czytała. My jej mówiliśmy: „Idź do koleżanki, poznaj kogoś, załóż rodzinę”, a ona nam na to, że te książki to całej jej życie. Do dziś tego nie rozumiem. Może gdyby nas posłuchała, toby żyła?

– A pamięta pan z tych opowieści jakąś dziwną, taką, która poruszyła ją do głębi?

Mężczyzna zamyślił się.

– Nie – odparł po chwili. – To znaczy poza jednym. Coś kiedyś wspominała, że robiły porządki i znalazły książkę, która zaginęła wiele lat temu. Ponoć była bardzo droga. Twierdziła, że za nią można by kupić dom. Kiedyś też opowiadała o szczurach, które się załęgły w bibliotece i zjadły

jakieś książki. Pamiętam, że wtedy wróciła cała zapłakana. Najgorzej było, kiedy zginęła jej koleżanka. Wszyscy byliśmy na jej pogrzebie i nawet nam do głowy nie przyszło, że niedługo i my pochowamy naszą Justynię.

Zuza wyjęła z torebki notatnik.

– A jej znajomi? Proszę mi podać ich nazwiska i adresy.

– Przecież mówiłem, że nie miała znajomych.

– Mowa była o chłopaku. Nie zna pan żadnego nazwiska? Może jej rodzice wiedzą więcej?

– Jej rodzice nie żyją, zginęli w siedemdziesiątym podczas rozruchów w Gdańsku i później my ją wychowywaliśmy.

– Nikogo więcej nie miała?

– Jak powiedziałem, ona miała tylko swoje książki.

Zuza wiedziała, że już nic tu po niej, bo nie dowie się niczego więcej. Pożegnała się i wyszła.

Idąc do domu, zaczęła się zastanawiać nad własnym życiem, przecież ona też nie miała żadnych znajomych, no może poza Nowakiem. Miała jeszcze Borysa i Zgagę, ale to raczej byli członkowie rodziny. Zawsze to coś. Ta myśl bardzo podniosła ją na duchu.

W kiosku Ruchu przy Świerczewskiego kupiła „Tygodnik Płocki”, mimo że wciąż podchodziła do niego z dużą rezerwą. Nic innego jednak nie było. Miała szczęście, bo przy okazji udało jej się zaopatrzyć w ekstra mocne, oczywiście na kartki. Niedaleko znajdowało się zoo, więc przy okazji postanowiła odwiedzić dyrektora i przycisnąć go w sprawie rybek. Musiał jej jakoś pomóc.

– Pan dyrektor wyszedł, bo dostał pilne wezwanie do komitetu – oznajmiła jej jedna z pracownic administracji.

– Pewnie poszedł na dywanik, bo wśród eksponatów znaleźli szpiega Reagana – zadrwiła Zuza. – Mnie osobiście podpada ten stary krokodyl, on jest jeszcze przedwojenny, z czasów sanacji, mocno podejrzan typ.

Skoro już tu była, to udała się do budynku obok, do akwariów, ponownie przyjrzeć się rybom. I znów tak jak poprzednio była nimi oczarowana,

a zatem dyrektorowi nie odpuści. Trudno, w ostateczności weźmie nawet gupiki. Jutro zadzwoni i się z nim umówi na ostateczną rozmowę. Wychodząc z zoo, zatrzymała się koło wybiegu słoni. Przypomniała sobie, jak słonica Petra przyjechała z Holandii jako półtoraroczny szkrab i ile z nią było kłopotu, bo była tak mała, że przechodziła pod barierką i spacerowała po ogrodzie.

Po drodze do domu weszła do drukarni. Stwierdziła, że pójdzie z postępem i zamówi sobie wizytówki z prawdziwego zdarzenia. Dobrze, że znała szefa, bo byłby z tym problem. Zachód postanowił ukarać Jaruzelskiego za stan wojenny i wprowadził embargo na wiele surowców, a wśród nich były dodatki do farby drukarskiej. I tak oto reglamentacja zawitała do drukarzy. Nie każde zamówienie było przyjmowane. Dużo teraz zależało od grubości koperty wsuwanej do kieszeni kierownika lub od różnych koneksji. Mało tego – każdy tekst przed drukiem musiał mieć akceptację cenzora. Przy wizytówkach akurat Zuza nie powinna mieć trudności, bo ich zawartość nie godziła w żywotne interesy komunistycznego potworka z orłem bez korony w godle. Inną sprawą była działalność Lewandowskiej, ale to akurat nie podlegało jurysdykcji cenzora.

W kancelarii zastała klientkę, ponoć czekała już od godziny, tak w każdym razie twierdziła aplikantka. Twarz kobiety wydała się jej znajoma.

Sprawa szybko się wyjaśniła. To była ekszona tego szalonego stomatologa, którego kiedyś Zuza odstąpiła Kowalskiemu. Okropny człowiek, miał spore luzy pod sufitem i za każdym razem, kiedy wstawał rano z łóżka, komórki mu się przestawiały niczym kości w pudełku w popularnej grze hazardowej. Kobieta chciała, aby pani mecenas została jej pełnomocnikiem. Ponieważ Płock to małe miasto, prosiła o wielką dyskrecję. Nadały więc jej mężowi pseudonim Marek C. Ów Marek C. od kilku lat nękał byłą żonę. Były listy, kilkanaście tygodniowo, telefony, dobijanie się do jej mieszkania, również nocą, nawet nachodzenie jej w pracy. Tak się na dłuższą metę nie dało żyć, więc zdesperowana kobieta

w końcu postanowiła zrobić porządek z czubkiem. Zuza była jej ostatnią deską ratunku.

– No i co pani o tym wszystkim sądzi? – dopytywała dręczona.

– Czy Marek C. ma kobietę, czy ułożył sobie jakoś życie?

– O ile wiem, to nie.

– Nie ma stałej partnerki, ale czy jest kobieciarzem?

– Ależ nie, tego jestem pewna.

– To dziwne. Ma dobry fach, prezencję i pieniądze. Taki facet miałby bab na pęczki. Na dyżurze w przychodni pielęgniarki same by mu wskakiwały na fotel dentystyczny, i to już bez majtek. Tylko pedał oprze się takiej pokusie. Ukrywa swoje preferencje, bo komuniści tępią ich z równą zawziętością, co kapitalistów.

– Boże, to ja wyszłam za pedała?! – krzyknęła klientka.

– Przykro mi, ale tego nie wykluczam. Na dodatek byłby to pedał popierdolony. Ma pani wyjątkowego pecha, można powiedzieć, że podwójnego.

– Pani mecenas, niech mi pani pomoże. – Rozszlochała się. – W pani moja ostatnia nadzieja. Ja po nocach nie śpię, tylko płaczę. Mam nerwicę i napady lęku.

– No a wcześniejszy adwokat? Co on zdziałał w jego sprawie?

– Jak się okazało, leczył u niego zęby.

– Kogo pani zatrudniła? Tylko proszę mi nie mówić, że Szczypińskiego.

– Tak, a co? Zna go pani?

– Teraz już wszystko rozumiem. Ani chybi chłopcy wpadli sobie w oko. Jedno jest pewne: dzieci z tego nie będzie. – Zuza zarechotała rozbawiona.

– Ohyda. – Klientka aż się wzdrygnęła.

– Takie jest życie, moja droga. Już starożytni Grecy pieprzyli się nawzajem, a Greczynki były im potrzebne jedynie do gotowania i rodzenia dzieci. Pewnie i neandertalczyki robili to samo. Męski szowinizm istnieje już od początku ludzkości i trzeba z nim walczyć jak z zarazą. Obrzydliwe,

zapatrzone w siebie samce. Myślą, że są lepszą rasą, a to gówno prawda. Nimi od zawsze kieruje członek i nic więcej. Światem powinny rządzić kobiety, nie byłoby wojen i wszystko lepiej by wyglądało. Łudzę się, że kiedyś nastaną czasy, gdy wyeliminujemy ich z naszego życia, i to na zawsze. No ewentualnie kilku można by zostawić w zoo, tak ku przestrodze.

Klientka, słysząc przemowę Zuzy, cała się rozpromieniła.

– Widzę, że dziś trafiłam pod dobry adres – rzekła.

Było już dobrze po osiemnastej, kiedy Zuza zaczęła się zbierać do domu.

– Szefowo, ustaliłam dziś coś ciekawego – zakomunikowała jej aplikantka.

– Kurwa mać, ile razy trzeba ci mówić, że masz mnie tak nie nazywać? Czuję się wtedy jak bufetowa w barze dworcowym. Dobra, ale mów szybko!

– Kiedyś wspomniałam pani, że moja koleżanka pracuje w urzędzie stanu cywilnego. Otóż poprosiłam ją, żeby poszukała czegoś na temat tego Januszka. Dziś do mnie zadzwoniła z informacją, że ów pan i pani Sałacka, ta, co dwadzieścia lat temu popełniła samobójstwo, to rodzeństwo cioteczne.

Zuza z wrażenia wypuściła torebkę z dłoni.

– Co powiedziałaś? Powtórz to jeszcze raz – wydukała w końcu.

– Józefina Sałacka i Januszek są ciotecznym rodzeństwem. Ich matki były siostrami.

– Czy to możliwe, że przyłożył rękę do jej śmierci? Przecież byli krewnymi.

– Pani mecenas, skoro Kain zabił Abła, to wszystko jest możliwe.

– Racja, święte słowa. Masz u mnie za nie plusa i dlatego nie wywalę cię na zbity pysk. To znaczy, że zostajesz. Idę teraz do Przedwiośnia porozmawiać z jej siostrą, niech mi przybliży ich rodzinne układy.

Siostra Sałackiej akurat wpuszczała widzów na kolejny seans. Zuza cierpliwie poczekała, aż wszyscy wejdą, i dopiero wtedy podeszła bliżej.

– Dobry wieczór, ja w wiadomej sprawie, mam jeszcze kilka pytań.

Tamta spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Słucham panią.

– Dlaczego pani ukryła przede mną, że ówczesny szef dochodzeniówki jest waszym kuzynem?

– Nic nie ukryłam. Pani mnie o to nie pytała. Owszem, to prawda.

– I nie dziwi pani, że tak szybko zamknął dochodzenie? Że nie zależało mu na wyjaśnieniu okoliczności śmierci ciotecznej siostry? To chyba nie jest normalne zachowanie? Nie sądzi pani?

– Też się zdziwiłam, ale zapewniał mnie, że prywatnie zajmie się tą sprawą. Zresztą twierdził, że wszystko wskazuje na samobójstwo, i nie miałam podstaw, żeby mu nie wierzyć. A czy coś się ostatnio zmieniło? Czy pani wie coś więcej?

– Jak się układały relacje między nim a siostrą?

– Źle, zresztą on nie dał się lubić. Może pod koniec coś się między nimi poprawiło, bo kiedyś widziałam ich razem na ulicy. Bardzo się zdziwiłam, ale też ucieszyłam. Byli wyraźnie zakłopotani moim widokiem, tak jakby nie było im to na rękę.

– Ciekawe... A pamięta pani, gdzie ich widziała?

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona. No bo czy to może być ważne?

– Owszem, to dobrze pamiętam, bo kręcili się nieopodal kościoła Świętego Jana. Gdyby nie byli krewnymi, to pomyślałabym, że poszli tam dać na zapowiedzi, i wtedy zrozumiałabym ich niezadowolenie.

Zuza wyjęła z torebki zdjęcie Kłopotowskiego.

– Czy znała pani tego mężczyznę?

– Przecież to Janek, niestety nie żyje, jacyś bandyci go zabili, ale już bardzo dawno temu.

– Czy siostra go znała?

– Raczej nie. Z siostrą nie utrzymywałyśmy zbyt bliskich kontaktów i nie poznała moich znajomych.

– A może panią o niego wypytywała?

– Droga pani, minęło dwadzieścia lat, jak mam pamiętać takie szczegóły? Może wypytywała, a może nie. Nie wiem, nie pamiętam.

Teraz Zuza była już pewna, że Sałacka była zamieszana w zabójstwo Kłopotowskiego. Czy brała w nim bezpośredni udział? To wiedział tylko Januszek. Być może jedynie pomogła mu wejść do mieszkania. Resztę on załatwił, a później pozbył się jedyne go świadka. To miało sens. Zatem wszystko wskazuje na to, że dziewczyna nie odebrała sobie życia. Ale jaki to ma związek z bibliotekarkami? Konia z rzędem temu, co wie. Za wszelką cenę musi wyrwać od proboszcza informacje o parafiance świadku. Należy potwierdzić hipotezę, że za tymi zabójstwami również stał Januszek, tym bardziej że to bardzo śmiała hipoteza i tak naprawdę niczym nie poparta. Same przeczucia nie obronią się w sądzie, nie ma mowy. Potrzeba tu twardych dowodów, takich, których nie obali obrona.

Idąc do domu, na placu Narutowicza natknęła się na Piosika. Wyglądało na to, że na nią czekał.

– Pani mecenas, przysłali mnie chłopaki, proszą o szmal, jeśli można. Tak jak pani chciała, wciąż za panią chodzą i popatrują na wszystkie gęby.

– Ale jeszcze miesiąc nie minął – zdziwiła się.

– No wie pani... – W zakłopotaniu podrapał się w głowę. – Miesiąc to kupa czasu, a jeśli panią dorwie w domu czy w biurze?

– Kurwa mać, boicie się, że zamorduje mnie, zanim wam zapłacę i wtedy z kasy nici? A to z was sukinsyny! – ryknęła na niego, nie kryjąc złości.

– Oj, pani mecenas. To nie ja, ale chłopaki szmałem nie śmierdzą, a wypić się chce. Może chociaż jakaś zaliczka?

Wyjęła z torebki portmonetkę.

– Bierz dwieście złotych, więcej przy sobie nie mam.

– No i git. Bardzo dziękuję, pani mecenas. Chłopaki się ucieszą.

– Tylko żeby nie było tak, że pochłają i stracę waszą ochronę. Wtedy będziesz mnie miał na sumieniu, ale co ja, do cholery, plotę, czy ty masz w ogóle sumienie?

– O to niech się pani nie martwi, to moja brocha, żeby pani włos z głowy nie spadł.

– Oby – odparła bez przekonania i poszła dalej.

W mieszkaniu zastała bałagan, jakiego dawno nie widziała. Geńka znów nie domknęła klatki i Zgaga natychmiast skorzystała z okazji, ażeby z niej prysnąć. Borys oczywiście przyjął zaproszenie do zabawy, no i się zaczęło plądrowanie kuchni, a tam nawet koniakowi łotry nie przepuściły. Na podłodze leżała rozbita butelka stocka, w powietrzu unosił się zapach trunku, a Borys coś się podejrzenie chybotął na łapach. Zgaga bujała się na lampie i wrzeszczała:

– Maaariański to chuuuj! Maaariański to chuuuj! Leenin wieeeenie żyyywy! Preeecz z kooomuną!

Na widok Zuzy krzyknęła:

– Kooocham ciiię!

Próbowała następnie pofrunąć do klatki, ale ona chyba też uległa czarowi stocka, bo nie wyrobiła się w drzwiach i walnęła łbem o ścianę. Zamroczyło ją na moment, usiłowała poderwać się do góry, ale bez skutku, więc grzecznie podreptała w stronę swojego więzienia, po drodze klekocząc dziobem coś zupełnie niezrozumiałego.

Zuza nie zamierzała sprzątać; to była ewidentna wina Geńki, więc niech ona zakasuje rękawy i usuwa skutki swojej bezmyślności. Patrząc na pijane zwierzaki, Zuza wpadła na iście szatański pomysł, który postanowiła niezwłocznie wprowadzić w życie. Trudno, poświęci swoją wątrobę. Zresztą była już zahartowana. Jak mówią, trening czyni mistrza, a systematyczne spożywanie trucizny uodparnia na nią organizm.

Zadzwoiła do proboszcza.

– O, kogo słyszysz? – wyraźnie się ucieszył. – Co u ciebie, moja droga?

– Mogę jutro wieczorem wpaść do księdza na pogawędkę?

– Jutro, powiadasz? – Zastanawiał się chwilę. – Tak, wieczorną mszę odprawi wikary i będę do twojej dyspozycji. Tylko od razu uprzedzam: nie licz na to, że coś pisnę na temat tamtej kobiety.

– Ależ skądże, nawet o tym nie pomyślałam. To taka przyjacielska wizyta.

– No to zapraszam serdecznie i już teraz się cieszę ze spotkania.

Ciekawe, czy będziesz się tak samo cieszył dzień później? – pomyślała, odkładając słuchawkę na widełki.

Miała w domu sporą kolekcję podręczników medycznych oraz zielarskich. Przydawały się nieraz w śledztwie. Musiała coś przyrządzić, coś na podobieństwo skopolaminy, rodzaj serum prawdy. Minęła druga w nocy, kiedy zgasło światło w mieszkaniu Lewandowskiej. To był pracowity wieczór i, co ważne, pierwszy od dawna bez alkoholu, bo przy wyliczaniu składników tajemniczej mikstury nie wolno jej było popełnić błędu, który mógłby proboszcza kosztować życie.

Budzik ustawiła na ósmą, musiała zaraz z rana biec do apteki i Herbapolu po składniki. Wierzyła, że uda jej się przechytryć duchownego, że mu się język rozplącze i uchyli rąbka tajemnicy spowiedzi owej parafianki, a co najważniejsze – zdradzi jej nazwisko i adres. Niestety, nie udało jej się kupić wszystkich składników, kilku zabrakło. Postanowiła je uzupełnić innymi ziołami. To była decyzja obarczona dużym ryzykiem. Gdyby coś przedawkowała, to... lepiej nie mówić, a lubiła proboszcza.

Miksturę wlała do dwóch flaszek stocka, a resztę do małej buteleczki, z nadzieją, że wykorzysta ją na miejscu. Trunek sprawdziła pod światło, nawet się nic nie zmącił, oby tylko zadziałał.

Akurat kiedy skończyła, zjawiała się Geńka.

To się dobrze składa, stwierdziła Zuza, posprząta wczorajsze pobojuwisko. Może to ją czegoś nauczy, choć raczej marne na to szanse.

Lewandowska zarzuciła na siebie płaszcz i wyszła. Na klatce schodowej spotkała pana Tadzia. Szedł z dubeltówką w dłoni, pewnie wracał z polowania, bo w drugiej trzymał dorodnego bażanta.

– Może go pani chce, pani sąsiadko? – zaproponował.

– Nie, dziękuję, co ja bym z nim zrobiła? Ja się nie nadaję do tej roboty, mam dwie lewe ręce.

– Po tej akcji z karpami myślałem, że coś się zmieniło.

– A niby co? Że może smażalnię ryb otworzyłam? – zdenerwowała się. – Jeszcze tylko frytki i piwo.

– Nie chciałem pani urazić.

– Nie uraził mnie pan, czasami sama jestem zła na siebie, że z kuchnią mi nie po drodze, ale nic na to nie poradzę. Odnośnie do polowań, to chciałam o coś spytać.

Spojrzał na nią wyczekująco.

– Niedawno widziałam biskupa, jak wsiadał do wołgi sekretarza. Oni razem polują? Nie przeszkadzają im różnice ideologiczne i tym podobne sprawy? Powinno im być raczej nie po drodze.

– Pani Zuzo, na polowaniu to są dwaj najlepsi kumple, a wieczorem przy ognisku istne dusze towarzystwa, opowiadają dowcipy i, nie żartuję, niektóre są mocno pieprzne.

– Tyle lat już się płaczę po tym świecie, a wciąż mnie on zadziwia – rzekła, nie kryjąc niesmaku.

– Proszę mi wierzyć, że mnie też.

Zuzie zostało jeszcze jedno nazwisko na jej liście – Danuta Tyburska, ostatnia ofiara zabójcy. Kobieta w chwili śmierci mieszkała przy Kwiatka, w starej kamienicy. Na parterze mieścił się zakład pogrzebowy, a na placu przed budynkiem do niedawna był postój płockich dorożek. Tyburscy, jak wyczytała w spisie lokatorów, zajmowali lokum na pierwszym piętrze.

Wdowca Zuza zastała w mieszkaniu. Nie był zbyt rozmowny, zauważyła też młodą kobietę kręcącą się w kuchni, pewnie następczynię Danuty. Odniosła wrażenie, że wyraźnie im jej wizyta przeszkadza. Tyburski nic sobie nie przypominał, poza tym, że w tamtym okresie żona nie miała kontaktu z czytelnikami, bo porządkowała stare zbiory. Nikt za nią nie chodził, w każdym razie nic takiego nie sygnalizowała, i z nikim nie miała nawet drobnej utarczki słownej. Typowa bibliotekarka zapatrzona

w książki i poza nimi niewidząca świata, co chyba odbiło się na ich małżeństwie. Tyle w każdym razie dało się wywnioskować z rozmowy.

Po kwadransie Lewandowska opuściła kamienicę i poszła w stronę dawnej dzielnicy żydowskiej, a teraz placu Trzynastu Straconych. Nazwa wzięła się od głośnej w Płocku egzekucji z czasów drugiej wojny światowej, która właśnie tutaj miała miejsce. Wtedy naokoło stały żydowskie kamieniczki, a w nich tętniło życie. Niestety, wojnę przetrwali nieliczni mieszkańcy. Do jednego z nich miał należeć wart fortunę purpurowy znaczek z Gujany Brytyjskiej. Czy faktycznie istniał? A jeśli tak, to co się z nim stało? Czemu nie wypłynął na jakiejś zagranicznej aukcji? Zuza miała pewną hipotezę odnośnie do przebiegu zdarzeń, ale oparła ją na założeniu, że ten walor filatelistyczny rzeczywiście istnieje. Jednak jeśli to tylko legenda, to szlag trafi całą tę konstrukcję, wszystko się rozsypie niczym domek z kart. Kłopotowski ponoć zwędził znaczek jakiemuś oficerowi abwery, tak twierdził mecenas Zieliński. Wspomniał także o drugim złodzieju, ale nie wymienił jego nazwiska. Cholera, wtedy go o to nie spytała, a teraz to musztarda po obiedzie, bo Zieliński nie żyje. Musi dotrzeć do innego płockiego filatelisty, zapewne opowieść o rarytasie Kłopotowskiego krążyła w ich środowisku. Być może ktoś zna to drugie nazwisko.

Wieczorem Lewandowska była umówiona z proboszczem. Zanim się do niego udała, połknęła cztery polopiryny i wypła trzy szklanki gorącego rosółu. To był stary sposób na uniknięcie stanu upojenia alkoholowego. Dopiero po takim przygotowaniu ruszyła, z dwoma stockami w torebce, z wizytą na plebanię. Kiedy przyszła, proboszcz grał na perkusji i o ile jej słuch nie mylił, szło mu coraz lepiej. W mieszkaniu jak zawsze było siwo od dymu z papierosów. Zuza z lubością wciągnęła w płuca zapach ekstra mocnych. Gospodarz na jej widok porzucił granie i poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z paczką krakersów i słonymi paluszkami. O, dziś ucza, zakpiła w myślach Zuza. Wyjęła koniaki, a duchowny postawił na stole kieliszki.

– Co słyhać u mojej ulubionej pani mecenas? – spytał, rozlewając trunek. – Prawie codziennie widuję twojego psa. Chyba nie ma suki, której by przepuścił. – Zarechotał rubasznie.

– To tak jak mój były współnik.

– Kowalski to taki kobieciarz? A to nie wiedziałem – zdziwił się. – Wygląda na spokojnego, powiedziałbym, że wycofanego.

Słyszając to, Zuza zdębiała.

– Co proszę? Mówimy o tym samym Kowalskim?

– No wiesz, słabo go wcześniej znałem, ale ostatnio widzujemy się dość często. Urzęduje w kancelarii blisko mojego dobrego znajomego, który ma tam zakład intrologatorski. Nieraz sobie ucinamy dłuższą pogawędkę.

– A jak mu idzie?

– Słabo, narzeka na brak klientów. A tak już między nami, czemu go wywaliłaś?

– A co? Żalił się księdzu?

– Nie, broń Boże, ale w rozmowie wywnioskowałem, że ma do ciebie żal. Może pogadaj z nim?

– Pomyślę. Na zdrowie! – Podniosła kieliszek. – Na pohybel komunistom!

– Na zdrowie!

Znów napełnił kieliszki i znów się napili.

– No więc, jak? Pogadasz z nim?

– Ale ksiądz jest namolny. Pogadam, jeśli poznam nazwisko kobiety, która widziała zabójstwo Danuty Tyburskiej.

– No wiesz co? – Proboszcz rzucił jej spojrzenie pełne wyrzutu. – Przecież wiesz, że tajemnica spowiedzi to rzecz święta. Mogę ci mówić o wszystkim innym, o swoim dzieciństwie, o mojej dziewczynie, ale nie o tym.

– O dziewczynie? To brzmi interesująco. Chętnie posłucham.

Zuza była zła na siebie, bo się pospieszyła. Proboszcz za mało wypił i serum prawdy jeszcze nie zadziałało. Podniósł się z krzesła i wyszedł na chwilę do ubikacji, a ona skwapliwie wykorzystała ten moment, żeby mu dodatkowo dolać preparatu do herbaty.

Minęła godzina, potem następna, koniak się skończył, ale opowieściom z dzieciństwa i wczesnej młodości gospodarza nie było końca. Zuza nie na takie zwierzenia liczyła. Duchowny wciąż był aż obrzydliwie trzeźwy, tak jakby zaaplikowane mu serum zadziałało odwrotnie i wzmocniło jego odporność na alkohol. W końcu się poddała. Zrezygnowana, wstała z miejsca.

– Późno już i czas na mnie. Nie chcę trafić na patrol milicji albo, co gorsza, spotkać pewnego majora.

– Szkoda, bo zagrałbym ci dobry kawałek mojego autorstwa. Ksiądz Kamil uważa, że mam talent, a on zna się na muzyce.

– Może innym razem. Dobranoc.

Wrzuciła papierosy do torebki i poszła w stronę wyjścia.

– Za dwa dni będę się widział z tą kobietą i spróbuję ją przekonać, żeby przyszła do ciebie porozmawiać – usłyszała niespodziewanie.

Spojrzała, zdumiona, na proboszcza. Ten tylko mrugnął do niej okiem.

A to sukinsyn, poczekał do końca, żeby dać jej cynk. Teraz wszystko w jej rękach, no bo w to, że świadek zbrodni zgłosi się do niej dobrowolnie, nie wierzyła; za silny był strach przed zemstą.

Wyszła na ulicę, pusto. Gdzieś w oddali przemknął jakiś kundel. Wolnym krokiem poszła w stronę domu. Nie miała na tyle odwagi, żeby sobie skrócić drogę, idąc przechodniakami. W pewnym momencie usłyszała za sobą odgłos kroków. Raptownie się odwróciła. To Piosik, poznała go po charakterystycznej sylwetce, pochylonej do przodu. Wielokrotnie zwracała mu uwagę, że to prowadzi do powstawania garbu na starość. Wtedy

odpowiadał: „Trzeba najpierw jej dożyć”. W gruncie rzeczy słusznie, bo marne miał na to szanse przy swoim trybie życia.

Od razu się uspokoiła i ruszyła dalej. W kamienicy na klatce schodowej, o dziwo, paliło się światło. Pewnie to tylko zwykłe przeoczenie i jutro żarówka zniknie. Ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, wspięła się na drugie piętro. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy zatrzasnęła drzwi za sobą.

Wprawdzie całe przedsięwzięcie, jej chytry plan zaważyły się, i to z wielkim hukiem, ale wróciła bardzo zadowolona. Proboszcz sprytnie ominął zakaz i posłał piłeczkę na jej stronę. Teraz tylko od niej zależało, jak to rozegra. Musiała na środe zorganizować ludzi, żeby tego dnia nawet na chwilę nie spuścili go z oczu. Każdą kobietę, która się do niego zbliży, należy sprawdzić, bo jedna z nich będzie tą właściwą.

Borys na widok Zuzy zaczął się kręcić po przedpokoju.

– Wybij to sobie z głowy, kochasiu. Teraz po nocy cię nie wypuszczę, bo mi do rana nie wrócisz, a nie ma mowy, żebym tam z tobą zeszła. Piosik pewnie jest już w domu i będę skazana tylko na siebie. To stanowczo za mało na takiego zawodowca jak Kołakowski. Nawet nosa z mieszkania nie wychylę.

Doktor Torbicki szykował się do wyjścia z pracy. Kończył dyżur, uzupełniał ostatnie papiery i czekał go jeszcze jeden wypis. Kapitan Mariański zamierzał opuścić szpital na własne żądanie. Lekarz nie do końca był przekonany, że to właściwy moment, i dlatego postanowił go ponownie zbadać, zanim podejmie ostateczną decyzję. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę!

Mariański wszedł do gabinetu. Kiedyś by się wtoczył, ale szpitalne jedzenie zrobiło porządek z jego monstrualnym brzuchem. W tym jednym zmienił się na plus, bo twarz nie wyglądała najlepiej – wielkie, wciąż świeże

blizny na policzkach, gałka lewego oka delikatnie przymglona, braki w przednim uzębieniu.

– Obywatelu doktoze, cujemy się bardzo dobrze i chcemy wyjszcz do domu – wyseplenił.

– Cieszymy się, że czujecie się dobrze, obywatelu milicjancie, ale musimy was zbadać. Rozbierzcie się – odparł drwiąco lekarz, specjalnie używając takiej samej formy wypowiedzi.

Mariański zaczął ściągać z siebie całe odzienie.

– Ale bez przesady, portek nie zdejmujcie, nie zamierzam badać wam klejnotów, jedynie osłucham płuca. – Torbicki natychmiast zareagował, widząc, że tamten zbyt dosłownie zrozumiał jego polecenie. – Jak się czujecie, obywatelu kapitanie?

– Głowa nam napierdala, a tak czujemy się dobrze.

Co tam może go boleć? – pomyślał lekarz, po czym przystąpił do osłuchiwania Mariańskiego.

– A jak wasz wzrok? Widzenie w lewym oku się poprawia?

– Poprawia, widzimy was już tylko podwójnie.

– Siostry się skarżyły, że nie chcecie brać lekarstw. Tak nie można.

Milicjant rozejrzał się nerwowo po gabinecie i nachylił do ucha Torbickiego.

– Obywatelu doktorze – wyszeptał – to nie pielęgniarce dają mi te lekarstwa. To jest spisek.

– A kto...

– Ta suka Zuza Lewandowska i jej wspólnicy. Chcą nas otruć. To imperialiści, szpiedzy kapitalistów.

– Wyjaśnijcie mi, czemu ma was otruć. – Torbicki postanowił drażnić temat.

– Bo chcą przejąć naszą tajemnicę. Tylko proszę nikomu nic nie mówić. Tu wszędzie ściany mają uszy. Szpiegują nas, was też, doktorze.

Kapitan położył palec na ustach i z obłędem w oczach zaczął lustrować gabinet.

– Ciekawe rzeczy opowiadacie. – Torbicki wrócił za biurko i sięgnął po dokumentację kapitana. – A co powiecie o jej wspólnikach? Kim oni są?

Mariański podszedł bliżej i co chwila z trwogą rozglądał się po pokoju.

– Tylko proszę nikomu nie mówić, ale jej główny wspólnik to jej papuga. Myślicie, że to zwykły ptak? Gówno prawda, to szpieg przebrany za papugę. My to wiemy. Myśmy ją przesłuchiwali i nam wszystko wyśpiewała. To wszystko mamy spisane w naszych notatkach służbowych. Tylko, doktorze, nie wydajcie nas.

– A komu mamy was wydać? Powiedzcie no.

– No jak to komu? No tym. Wiecie przecież. – Mariański puścił do niego oko.

– Mówiliście o jakiejś tajemnicy. Zdradźcie ją nam.

– Co wy? To tajemnica. Tylko my o niej wiemy. I Frania.

– Jaka znowu Frania? Kim ona jest?

– Frania? Nie rozumiemy.

– Przed chwilą powiedzieliście nam o jakiejś Frani, więc pytam: kim ona jest?

– Myśmy nie mówili o żadnej Frani! Chcecie z nas zrobić wariata? Jesteście w zмовie z Lewandowską? No tak, że też wcześniej na to nie wpadliśmy. Skoro tak, to pogadamy z wami inaczej. My mamy swoje sprawdzone metody.

Mariański coraz bardziej podnosił głos, aż w pewnym momencie przeszedł w krzyk. Nagle chwycił Torbickiego za gardło i zaczął go dusić. Lekarz w odruchu samoobrony poderwał się na nogi, przewracając krzesło.

Korytarzem przechodził akurat pielęgniarz. Słyszając odgłosy szamotaniny, zajrzał do gabinetu, a widząc, co się dzieje, chwycił kapitana za barki i odciągnął go od jego ofiary. Zaraz zjawił się kolega. W końcu wspólnymi siłami opanowali sytuację. Mariański dostał zastrzyk i momentalnie cała jego energia ulotniła się jak kamfora.

– Zabierzcie go na salę i przywiążcie do łóżka. Powiedzcie siostrze Teresie, że zmieniam mu pastylki. Zamiast zielonych dostanie żółte, trzy razy dziennie po dwie. Zaraz wpiszę to w jego kartę.

Wrócił do biurka i czerwonym mazakiem dokonał wpisu: IDIOTA, NIEBEZPIECZNY!

I dwa razy go podkreślił.

Zuza postanowiła odwiedzić Mariana Pawlickiego, znanego plockiego filatelistę. Jego adres dostała od sprzedawczyni ze sklepu filatelistycznego. Ponoć znał się z Kłopotowskim. Może on coś wiedział na temat znaczka, a raczej kto razem z Kłopotowskim włamał się do mieszkania oficera abwery? Tylko ten ktoś mógł na sto procent potwierdzić, że znaczek faktycznie istnieje, lub istniał, bo i takiej ewentualności nie mogła wykluczyć. Tym bardziej że przez ostatnie dwadzieścia lat, które upłynęły od zabójstwa, nikt o nim nawet nie wspomniał.

Pawlicki mieszkał przy Trzeciego Maja, w małym domku odgrodzonym od ulicy wysokim ceglany murem. Był już emerytem, więc Zuza wybrała się do niego koło południa. Długo wciskała przycisk na furtce, nim usłyszała czyjeś kroki. Chwilę potem furtka się uchyliła.

– Kto tam? – zapytał męski głos.

– Mecenas Zuzanna Lewandowska. Chciałabym z panem porozmawiać na temat Jana Kłopotowskiego.

– Kogo? Nie znam nikogo takiego, to jakaś pomyłka.

Chciał domknąć furtkę, ale żeby mu to uniemożliwić, Zuza szybko wcisnęła stopę między nią a słupek. To był odruch, którego zaraz pożałowała, bo miała na nogach najnowsze buty, oryginalne włoskie, warte majątek.

– Znał go pan. Został zabity dwadzieścia lat temu. Chcę przyszpilić jego zabójcę.

Furtka natychmiast otworzyła się na oścież. Zuza najpierw zerknęła na czółenka; lewy but był porysowany. Pewnie do wyrzucenia, trzeba jutro zanieść go do szewca, może coś wymyśli.

Teraz spojrzała na filatelistę.

Niewysoki, korpulentny, twarz nalana, okolona gęstą brodą. Uśmiechał się przyjacielsko.

– Chyba pani żartuje. Po tylu latach?

– Czemu nie? Przypuszczam, że sprawca tego mordu żyje i ma się całkiem dobrze.

– Pewnie tak. Chodźmy do mieszkania, zaparzę herbatę. Zimno tu tak stać na zewnątrz. Poprowadzę panią.

Mężczyzna poszedł przodem. Domek stał w głębi ogrodu, szli między grządkami warzyw, porzeczkami, drzewami owocowymi. Przez chwilę Zuza poczuła się jak na wsi, a przecież ta posesja znajdowała się w samym centrum miasta.

Mieszkanie było skromnie umeblowane, ale temu się akurat Lewandowska nie dziwiła. Skoro ma się tak drogie hobby, to trzeba z czegoś innego zrezygnować. Usiedli w saloniku na starych, zdezelowanym fotelach zapewne pamiętających jeszcze okupację. Herbata nie dość, że ulung, to została podana w wyszczerbionych filiżankach, a do słodzenia była sacharyna. Nieważne, Zuza wszystko by zniosła, byle poznać nazwisko drugiego złodzieja.

– Co ja mogę pani powiedzieć o tej zbrodni? Właściwie nic. Nie było mnie wtedy w Płocku, wyjechałem na rok w delegację do Szczecina. Przyjechałem dopiero specjalnie na pogrzeb Janka.

Spojrzał badawczo na Zuzę.

– Właściwie mam dwa pytania. Skoro się przyjaźniliście, to pewnie znał pan jego zbiory filatelistyczne?

– Oczywiście, bardzo dobrze, miał kilka wspaniałych egzemplarzy. To on mnie zaraził tym hobby. Wcześniej interesowałem się białą bronią. Nawet zgromadziłem niezłą jej kolekcję. Później wszystko spieniężyłem i zarobione pieniądze przeznaczyłem na zakup znaczków.

– Co pan wie na temat purpurowego znaczka z Gujany Brytyjskiej?

– Co wiem? To jest najdroższy znaczek świata. Marzeniem każdego filatelisty jest go posiadać, a ma go tylko jedna osoba.

– Czy aby na pewno jedna? Słyszałam coś na temat drugiego egzemplarza.

Gospodarz tajemniczo się uśmiechnął.

– Owszem, chodziły takie słuchy.

– Ten drugi był w posiadaniu Kłopotowskiego, zgadza się?

– Może tak było. Nie wiem.

– Pan to wie doskonale. Po zabójstwie znaczek zniknął. Ten, kto jest teraz jego właścicielem, przypuszczalnie maczał palce w tej zbrodni.

– Co to za insynuacje? Ja go nie zabiłem i nie mam tego znaczka! – wykrzyknął Pawlicki.

– Co tam się dzieje?

Z pokoju obok wyrzwał jakiś młody mężczyzna. Przystojniak, pomyślała Zuza, przypatrując mu się uważnie. Włosy czarne i kręcone, sylwetka muskularna, prawdziwy macho, aż serce jej mocniej zabiło.

– Spokojnie, ja pana o nic nie oskarżam. Jedynie próbuję ustalić kilka faktów – rzekła do gospodarza, ale wciąż nie mogła oderwać wzroku od nowo przybyłego.

– To mój syn Andrzej – przedstawił go Pawlicki. – Pani interesuje się kolekcją wujka Janka, a konkretnie jednym znaczkiem.

– Nawet wiem którym. – Młody mężczyzna się roześmiał. – Faktycznie, taki fant może wyobraźnię każdego człowieka rozgrzać do czerwoności. Ciekawe, co się z nim stało?

Zuza spojrzała z wyrzutem na jego ojca. Tamten zerknął na syna, zły, że za bardzo chlapie językiem.

– No dobra, powiem wszystko – oświadczył z rezygnacją.

– To ja chętnie posłucham. Może dowiem się czegoś nowego.

Andrzej przysiadł się do nich. Zuza poczęstowała go papierosem, nie odmówił, nawet gdy zobaczył markę.

– Lubię ekstra mocne, przynajmniej czuję, że palę – skomentował.

Następny plus, pomyślała.

– Tak, to prawda, Janek miał ten przeklęty znaczek z Gujany Brytyjskiej – zaczął stary Pawlicki. – Zdobył go podczas wojny. Ponoć wcześniej należał do Blumsteinów, bardzo wpływowej płoćkiej rodziny żydowskiej.

Zuza, słysząc to, z wrażenia o mało nie spadła z fotela. Tak przed wojną nazywała się Sara, dziewczyna, którą jej rodzice przechowali przez całą okupację niemiecką. Czyżby ten znaczek był jej własnością?

– Kiedy Niemcy weszli do Płocka, to swoje rządy zaczęli od eksterminacji Żydów. Konfiskowali majątki, a ich samych wysyłali do obozów zagłady. Jeden z oficerów wermachtu szczególnie interesował się sztuką i filatelistyką. To on zawłaszczył sobie dobytek Blumsteinów, a wśród tych dóbr był ów znaczek pocztowy. Janek Kłopotowski już przed wojną interesował się filatelistyką. Znał dobrze córkę Blumsteina, Sarę, nieraz do niej przychodził i pewnie stąd wiedział, że w posiadaniu jej ojca jest ten bezcenny biały kruk. Kiedy Kloze, bo tak się nazywał ten niemiecki major, przejął kolekcję, Janka dosłownie owładnęła obsesja na punkcie tego znaczka. Przez wiele dni obserwował mieszkanie oficera, planując włamanie. To było czyste szaleństwo i odradzałem mu je z całych sił, ale nawet nie chciał słuchać. Mało tego, namawiał mnie, żebym w tym uczestniczył.

– To pan razem z nim się włamał? – Zuzę nagle oświeciło.

– Zgadza się, w tamtych czasach to był mój najlepszy przyjaciel. Później nasze drogi się rozeszły.

– Z mojego rodziciela był za młodu prawdziwy kozak – wtrącił Andrzej, spoglądając na ojca z dumą.

Zuza nie podzielała jego entuzjazmu, wiedziała, że to nie wszystko.

– I co było dalej?

– Weszliśmy tam przez lufcik, wzięliśmy znaczek i daliśmy nogę.

– Dobra, on wziął znaczek, a panu co się do rąk przykleiło? Proszę mi nie mówić, że nic, bo nie uwierzę.

Stary się zakłopotał. Miał teraz spory dylemat: przyznać się przy synu, że on też coś zwędził, czy iść w zaparte i strugać bohatera?

– Zabrałem dwie zabytkowe szable i sztylet – bąknął po chwili.

– Sporo tego. Jednym słowem obydwaj się nieźle obłowiliście.

– Chwileczkę. – Młody Pawlicki poczuł się w obowiązku bronić seniora. – Zabrali to Niemcom, nie Żydom.

– Owszem, ale spadkobierczyni Blumsteinów przeżyła wojnę i zarówno pański ojciec, jak i Kłopotowski dobrze o tym wiedzieli. Czemu jej tego nie zwrócili?

Andrzej spojrział pytająco na ojca. Ten spuścił głowę i milczał.

– Tata, powiedz coś. Wiedziałeś, że córka właścicieli przeżyła? Powiedz, że nie. Proszę...

– Mało tego, przez wiele lat klepała biedę, moja rodzina jej pomagała, a na koniec komuniści przepędzili ją z Polski. Zaczynam się zastanawiać, czy pański ojciec wraz z kolegą się do tego nie przyczynili, nie podszepli czegoś władzom. W sumie było im to na rękę, bo a nuż się sprawa wyda?

– To są podłe insynuacje! – krzyknął młody Pawlicki. – Proszę się wynosić z naszego domu!

Zuza podniosła się z fotela.

– To się dobrze składa, bo akurat zamierzałam wyjść. Sądzę, że powinniście sobie sporo wyjaśnić. Może przyszedł czas na jakiś rachunek sumienia? Wspomnę tylko, że Sara Blumstein za tydzień przyjeżdża do Polski. Ona nic nie wie o sprawie. Może trzeba znaleźć w sobie tyle cywilnej odwagi, żeby pójść do niej i najzwyczajniej przeprosić? To zostawiam pańskiemu ojcu do przemyślenia. Aha, proszę mnie nie odprowadzać, sama trafię do drzwi – dodała drwiąco i wyszła.

Stała na chodniku i głęboko odetchnęła. Nie spodziewała się, że będzie to tak bardzo owocna wizyta, a jej finał tak ją zaskoczył, że jeszcze nie mogła dojść do siebie. Znaczek faktycznie istniał, to już wiedziała na pewno. W takim razie co się z nim stało później? Sałacka знаła Kłopotowskiego i to ona wpuściła Januszka do jego domu. To też można było uznać za pewnik. Zresztą jest pewien sposób, jak to sprawdzić, i trzeba zlecić tę misję aplikantce. Ale co się wydarzyło potem? W grę wchodziły dwa rozwiązania – pierwsze, że Sałacka wzięła znaczek i go ukryła, drugie, że to Januszek go zabrał. Gdyby tak było, to przez te wszystkie lata raczej by go gdzieś spieniżył. Tak się jednak nie stało, czyli

chyba go nie miał. Może dziewczyna nie chciała mu go oddać? Może gryzły ją wyrzuty sumienia i dlatego targnęła się na życie? To też miało sens, ale mogło być jeszcze inaczej. Dziewczyna zgubiła znaczek lub go zniszczyła, specjalnie lub przypadkowo. Januszek dostał szału i ją zabił, pozorując samobójstwo. Ta wersja również miała sens. A jak było naprawdę? Jest jeszcze kwestia zabójstw bibliotekarek, ale może te sprawy nie mają powiązania? Jeśli uda jej się namierzyć świadka, a on nie rozpozna na zdjęciu Januszka, wtedy definitywnie porzuci ten wątek. Teraz pójdzie do kancelarii, bo za chwilę się tam zjawi klientka.

Mijając Jagiellonkę, Zuza zobaczyła w oddali Kołakowskiego; wchodził na jakąś posesję. Do dziś nie zjawił się po pieniądze ani też nie próbował jej zabić. Sama już nie wiedziała, co jest bardziej niepokojące. On jej nie zauważył. Szybko schowała się za stara stojącego tuż obok i ostrożnie zza niego wyjrzała. Widziała dobrze – miał klucz do furtki, czyżby tu mieszkał? Domek jakich wiele, zwykła kostka, nic specjalnego. Wszedł do ogrodu, po chwili otworzył drzwi i zniknął w środku. Przeszła na drugą stronę ulicy i wielkim łukiem obeszła to miejsce. Zerknęła tylko na numer domu. Postanowiła ruszyć wszystkie znajomości i popytać o właścicieli.

W kancelarii już czekała klientka, ta nękana przez stomatologa Marka C.

Zuza wpuściła ją do pokoju i poszła do aplikantki. Jolanta siedziała przy biurku i malowała paznokcie.

Na widok Lewandowskiej wrzuciła wszystko do szuflady. Obrzydliwy smród acetonu świadczył, że coś poszło nie tak, pewnie nie zakręciła butelki ze zmywaczem.

– Widzę, że ci się nudzi – zauważyła Zuza z przekąsem. – U kogo leczysz zęby?

– Tu w gabinecie przy Tumskiej. U tej pani doktor, uciekło mi nazwisko.

– Zmienisz stomatologa, masz tu iść na wizytę. – Podała jej karteczkę. – Ubierz się wyzywająco, pokaż kawałek cycka i rzuć mu kilka zalotnych spojrzeń.

Aplikantka była zaskoczona poleceniem, zaczerwieniła się po grzywkę.

– Nie rozumiem. No chyba teraz to pani ciut przesadziła. Nie jestem taka – wydukała.

– A jaka jesteś? – Zuza podniosła głos. – Czego, do cholery, nie rozumiesz? To jest praca. Nie każę ci iść z nim do łóżka, tylko go podrywać. Chcę wiedzieć, czy jest wrażliwy na babskie umizgi. Masz ładną buźkę, nie powinien ci się oprzeć.

– Ale dlaczego mam to zrobić?

– To dla naszej klientki, sprawdzimy jej byłego chłopca. Jeśli nie wykaże żadnego zainteresowania twoją osobą, będziemy drążyć ten temat głębiej. Gdybyśmy udowodniły, że koleś ożenił się tylko po to, żeby mieć przykrywkę, to go załatwimy już na pierwszej rozprawie. A, jeszcze jedno. Jutro od samego rana będziesz obserwować proboszcza z fary. Każda kobieta, która się z nim spotka, ma być zidentyfikowana, a tym bardziej te, co przyjdą do konfesjonału.

– Ale ja sama nie dam rady, bo jak pójdę za którąś, to mogę inną przegapić.

– Wiem, będzie z tobą Nowak, już z nim rozmawiałam. Może masz jakąś koleżankę, która chce zarobić? Dobrze zapłacę za tę przysługę. To jest w tej chwili dla naszej kancelarii kwestia priorytetowa. Musimy jeden z głównych wątków sprawy zabójstwa bibliotekarek potwierdzić albo w ogóle go porzucić.

– Porozmawiam z Hanką, moją przyjaciółką, powinna się zgodzić.

– Świetnie, a od czwartku zaczniesz obserwować pewien domek jednorodzinny, będziesz robić zdjęcia wszystkim, którzy do niego wchodzi i zeń wychodzą. Tylko musisz być przy tym bardzo ostrożna, bo to niebezpieczni ludzie i nie chciałabym, żeby ci się coś przytrafiło.

– To miło, że się pani o mnie martwi, ale poradzę sobie.

– Nie o ciebie, ale jak bym się wtedy twojemu wujowi wytłumaczyła? – rzekła sucho Zuza.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas zawodu.

– Czy to śledzenie dotyczy naszej sprawy?

– Owszem. Jak zdążę, to jeszcze dziś złożę wizytę twojemu wujkowi, temu tutaj, w Płocku, pogadamy sobie o sekcji zwłok sprzed dwudziestu lat. Ciekawe, co będzie miał do powiedzenia.

– Może ja lepiej z nim porozmawiam? Bądź co bądź to krewny.

– O nie, mam swoje sposoby. – Zuza uśmiechnęła się tajemniczo. – Gwarantuję ci, że gęba mu się nie zamknie.

– Chyba pani nie lubi, bo jak wspomniałam, u kogo aplikuję, to tylko pokręcił głową z dezaprobatą.

– To jednak się widujecie, a niedawno sugerowałaś, że się prawie nie znacie. – Zuza nie odmówiła sobie drobnej uszczypliwości, po czym wróciła do klientki.

– No i co nowego się wydarzyło? – spytała, zasiadając wygodnie w fotelu.

– Pani mecenas, ten debil poszedł do szkoły i zrobił dziką awanturę nauczycielowi o to, że zwolnił syna z gimnastyki. Marcin ostatnio narzekał, że boli go kręgosłup, więc lekarz wystawił mu zwolnienie.

– Ma zwolnienie, to w czym problem? – Zuza nie kryła zniecierpliwienia, bo miała na głowie dużo poważniejsze sprawy.

– Problem w tym, że podważa to zaświadczenie, twierdzi, że lekarz to mój znajomy.

– A od kiedy nie może nas badać znajomy lekarz? Trzeba przyznać, że to ciekawe stwierdzenie. Czemu się pani związała z takim idiotą? Przecież jak słyszę te opowieści o jego dziwnym zachowaniu, to nasuwa się jeden jedyny wniosek: Marek C., czyli pani były, wymaga leczenia psychiatrycznego, a być może nawet długiej kuracji w zakładzie zamkniętym.

– Wydawał mi się taki zagubiony, był sierotą. Chyba wziął mnie na litość.

– Wie pani, ilu psychopatów było sierotami? Wie pani, ilu ich miało zaburzone relacje w rodzinie? Mnóstwo. Małżeństwo nie jest dobrą metodą leczenia zaburzeń psychicznych, czego świetnym przykładem jest choćby pani historia. Od tego są konowały i ich kolorowe pigułki, zastrzyki,

a nieraz kuracje wstrząsowe. Przywiązują takiego delikwenta do krzeselka i traktują go wysokim napięciem, aż mu się jajka wędzą. Jak jeden zabieg nie skutkuje, to robią następny, i to aż do skutku. Albo delikwent usmaży się na frytkę, albo wyzdrowieje.

Kobieta, słysząc to, zbladła jak kreda.

Chyba mnie ciut poniosła wyobraźnia, pomyślała Zuza i zaraz dodała:

– Oczywiście dołożyłam tu coś od siebie. Rozmarzyłam się. – Puściła oko do klientki. – Jutro pójdę do prokuratury i pogadam o nim, może zechcą postawić mu jakieś zarzuty? Sami nie jesteśmy w stanie załatwić mu przymusowych badań w Gostyninie, potrzebujemy urzędowego papierka. Teraz proszę wrócić do domu i nie odbierać telefonów od niego, bo to go tylko nakręca. Tak oni działają, a jak coś będę wiedzieć, to dam pani znać.

Kobieta podniosła się z krzesła, mruknęła pod nosem coś jak pożegnanie i wyszła. Chyba więcej się spodziewała po tej wizycie, stwierdziła Lewandowska, ale tak działa prawo w tym kraju – chroni czubków i przestępców, a normalnym ludziom często stwarza piekło.

Zuza wyjęła stocka z szuflady, naląła sobie. Spojrzała na portret Ambrożego Lewandowskiego, groźnie marszczył brwi. Nie od dziś nie aprobował jej nałogu, ale przecież sam też nie był święty i za kołnierz nie wylewał.

– Twoje zdrowie, tatku! – rzekła prowokacyjnie i podniósłszy kieliszek, wypić do dna.

Zapaliła cygaro. Rzadko to ostatnio robiła. Cygara były towarem deficytowym, tak jak większość produktów. Mało tego, uznawała tylko kubańskie, a o tych mogła właściwie zapomnieć. Dwa dni wcześniej otrzymała ich kilka od wdzięcznego klienta, tego od rozwodu kościelnego. Kupił je w Warszawie, w sklepie mieszczącym się w budynku Komitetu Centralnego PZPR. To był sklep dla wybranych, a on, działając aktywnie w komunistycznej propagandzie, miał szczęście należeć do uprzywilejowanej kasty społecznej cieszącej się prawem do zakupów.

Wspaniały aromat! Zuza się nim delectowała. To była uczta dla nozdrzy i choć się wkrótce skończyła, to jeszcze długo ten wykwintny zapach unosił

się w powietrzu.

Chowając butelkę, Lewandowska zauważyła na dnie szuflady notes, pierwsze zadanie dla aplikantki. Młoda jej wtedy zaimponowała swoją sumiennością. To był spis wszystkich zdarzeń kryminalnych z okresu śmierci Sałackiej, czyli sprzed dwudziestu lat i z czasu zamordowania bibliotekarek. Zuza sięgnęła po niego. Teraz kiedy jej śledztwo jest w zupełnie innym punkcie niż wtedy, być może zwróci uwagę na jakieś zdarzenie, które jej poprzednio umknęło. Tę metodę stosowała nie pierwszy raz i bywało, że to był strzał w dziesiątkę. Może tym razem też tak będzie?

Siedlecka już dawno poszła do domu, już dawno ostatni widzowie opuścili „Przedwiośnie” po seansie wieczornym, a Zuza wciąż tkwiła nad notatkami. Wiedziała, że nie wróci do nich ponownie, więc chciała wykonać tę pracę bardzo sumiennie. W pokoju było siwo od dymu papierosowego, koniak ledwo zakrywał dno butelki, co chwila rozlegał się szelest przekładanej kartki. Wreszcie skończyła. Spojrzała na zegarek, dochodziła północ. Jak tu teraz po nocy wracać do domu? Przecież gdzieś tam w mroku czai się bezwzględny zabójca. Wyjęła z torebki pistolet, przeładowała go i z trudem wcisnęła w kieszeń płaszcza. Wiedziała jedno: jeśli majorowi Kołakowskiemu nie uda się jej zaskoczyć, to w jego kierunku wygarnie cały magazynek, nie zawaha się ani na moment. Dotąd będzie naciskać spust, aż usłyszy metaliczny zgrzyt zamka.

Zamknęła kancelarię i zeszła na dół. Ulica była pusta, miasto spało. Gdzieś w oddali zauważyła przygarbioną znajomą sylwetkę. Od razu poczuła się pewniej; Piosik był na posterunku. Żwawym krokiem ruszyła w stronę domu.

Idąc ulicą Grodzką, zauważyła czarną wołgę. Podobną jeździł sekretarz partii i nieznajomy, który podsunął jej materiały na temat Januszka. Kiedy ją mijala, ktoś raptownie otworzył drzwi.

– Proszę wsiąść.

Podeszła do auta i zajrzała do środka. To znów ten tajemniczy mężczyzna. Co tym razem wyciągnie z kapelusza? Następnego króliczka?

Zerknęła w stronę Piosika, gestem dłoni dała znać, że kontroluje sytuację, że nic jej nie grozi, po czym wsiadła do samochodu.

– Widzę, że pani śledztwo mocno ruszyło z kopyta. Niestety, to wszystko za mało. Może pani nie zdążyć.

Spojrzała na niego zdziwiona. Co może mieć na myśli?

– Nie rozumiem. Na co mam nie zdążyć? Na pociąg? Do cholery, mów pan jaśniej!

– To jest grubsza sprawa i pani jest w tym jedynie małym pionkiem. Liczyłem, że pani wsadzi sabot w odpowiednie tryby maszyny i wszystko rozwali, ale może za dużo się spodziewałem?

– Kurwa mać, wciąż nie rozumiem. Rzucił mi pan jedynie słaby trop i do tego mocno przeterminowany. Chcę coś ustalić, szukam świadków, ale bezskutecznie, bo umarli... ze starości. Dziwię się, że nie zaproponował mi pan szukania winnych zabójstwa z czasów średniowiecza, miałabym porównywalne szanse.

– Proszę się nie denerwować, nie mogę wszystkiego powiedzieć.

– Nie muszę wiedzieć wszystkiego, ale chociaż coś. Wciąż poruszam się w tym śledztwie niczym we mgle. Opieram się jedynie na przypuszczeniach.

– Proszę pytać.

– Czy w tej sprawie chodzi o bardzo drogi znaczek pocztowy?

– Między innymi tak.

– Jak to między innymi? Czy coś jeszcze skradziono Kłopotowskiemu?

– O ile wiem, to nie.

– Nie? To co tu jest, kurwa mać, grane? Ryzykuję życie, to chyba mam prawo wiedzieć i samej ocenić, czy warto?

Mężczyzna się roześmiał.

– Jeśli mam być szczerzy, to według mnie nie warto, ale pani za wszelką cenę chce dorwać skurwysyna, który maczał łapy w zabójstwie syna piekarza. Pani nie lubi przegrywać i dlatego podniosła pani rękawicę. To

właśnie Zuza Lewandowska. Jest pani lepsza od ojca, on nie miał takich jaj jak pani.

– Znał pan mojego ojca?

– Owszem, poznaliśmy się wiele lat temu, ale nie będziemy tu mówić o nim. Jakie ma pani jeszcze pytania? Może potrafię na nie odpowiedzieć.

– Jaki jest związek między zabójstwem sprzed dwudziestu lat a morderstwem bibliotekarek?

– Nie wiem. Gdybym mógł to powiązać, tobym pani nie potrzebował.

– Czyli jestem panu jedynie potrzebna do wyszukania haków na tego sukinsyna, żeby pan mógł to wykorzystać w jakimś swoim celu. Szantaż? Czego pan chce od niego? Może przejąć znaczek?

– Myśli pani, że bym tak bezinteresownie pani pomagał? – spytał drwiąco. – To jest układ, pani dorwie Januszka i mi go odda, a ja go wypatroszę. Jedno mogę obiecać: skończy gdzieś w Wiśle i ryby go zjedzą. A co do znaczka, to głównie mnie on obchodzi. Zresztą trzeba go najpierw znaleźć, a wszystko wskazuje na to, że bezpowrotnie zaginął. Podejrzewam, że ta bibliotekarka na złość Januszkowi go zniszczyła.

– I dlatego on ją zabił?

– Być może.

– A mnie się wydaje, że nie uległ zniszczeniu. Że pułkownik wciąż go szuka.

– Przyznam, że to ma sens i tłumaczyłoby to, że jak na razie odwołał zlecenia na panią. Śledzi każdy pani krok, bo łądzi się, że pani go do niego doprowadzi.

– Cholera jasna, wiedział pan, że na mnie poluje, i nic z tym nie zrobił?

– No cóż, bez ryzyka nie ma zabawy. Wiedziała pani, czym ryzykuje, prowadząc to śledztwo. Januszek to nie ministrant czy członek kółka różańcowego. Wojna z nim to jak operowanie brzytwą po pijaku. Można się nią nieźle pochlastać.

– Zdaję sobie z tego sprawę i widzę, że pan mi już w niczym nie pomoże. Sama muszę sobie radzić. Proszę nie liczyć na to, że dam go panu na

widelcu, nie ma mowy. Nie po to się narażam. Żegnam.

Raptownie otworzyła drzwi i wysiadła z wołgi.

– Do zobaczenia! – doleciało z wnętrza auta.

– Niedoczekanie twoje, palancie – warknęła przez zaciśnięte zęby i poszła.

Wchodząc do kamienicy, zobaczyła przy schodach sylwetkę mężczyzny. Serce natychmiast mocno jej zabiło, prawie wyskoczyło z piersi. Wyszarpnęła z kieszeni tetetkę.

– Pani mecenas, spokojnie. To ja, Piosik – usłyszała.

– Kurwa mać, czy wciąż musisz mnie straszyć?! Przez ciebie mogę zejść na zawał! – ryknęła.

– Przepraszam. Dziś za panią chodził jakiś chuj. Wygląda na milicjanta albo wojskowego.

– Skąd ty to wiesz?

– Szwagier jest sierżantem i też chodzi tak wyprostowany. Jak pani chce, to zasadzę się z chłopakami i dostanie kosę pod żebro.

– Propozycja, nie powiem, bardzo kusząca, ale nie skorzystam. Na razie nic mi nie grozi z jego strony.

– Jest pani tego pewna? Ja bym nie ryzykował.

– On ma mnie tylko śledzić i więcej nic.

– No nie wiem. – Piosik nie był przekonany. – Jakby co, to proszę dać cynk. Teraz już spadam do chałupy.

– Idź, bo ci twoja kobieta głowę zmyje.

– Ona? – zaśmiał się. – Niech tylko głos podniesie, to od razu dostanie w pysk i się zamknie. To szmata, ale na lepszą mnie nie stać.

Westchnęła głośno i pokręciła głową z dezaprobatą. Ach, ten element!

Wspinając się na drugie piętro, poczuła ból w kolanie; znów odezwała się stara kontuzja. Zatrzymała się na moment na półpiętrze. Wyrzała przez okno. Po drugiej stronie ulicy stał pod latarnią mężczyzna w długim

ciemnym płaszczu, jego twarz skrywało rondo kapelusza, ale wiedziała, że to Kołakowski.

Nie dorwiesz mnie, sukinsynu, jeszcze ci Zuza Lewandowska stanie kością w gardle tak, że się udławisz. Dopadnę ciebie i twojego pryncypała, zapłacicie za wszystko, i to z lichwiarskimi odsetkami.

Major też ją zobaczył, prowokacyjnie pomachał jej ręką i poszedł. Chwilę jeszcze patrzyła za nim, upewniała się, że nie wróci. W tym czasie ból minął i mogła pójść dalej.

W domu cisza jak makiem zasiał. Borys leżał przy kanapie i spał, chrapiąc. Zgaga mu wtórowała.

Nie ma tak dobrze! Zuza postanowiła zmienić zwyczaje w tym domu. Obudziła papugę i posadziła ją na ławie. Ara była tak zaskoczona, że zapomniała języka w dziobie i milczała.

Jej pani przyniosła z kuchni stocka i dwa kieliszki.

– Od dziś będziemy się integrować, koniec picia w samotności. Od teraz co wieczór walniemy sobie po lufie.

Rozlała trunek. Papuga na oczach zdumionej Zuzy natychmiast zamoczyła dziób w koniaku i wciągnęła sporą dawkę.

– Kuuurwa maaać, daaawaj więęęcej! Kuuurwa maaać, daaawaj więęęcej! – wydarła się na całe mieszkanie, budząc psa. Borys, widząc arę w swoim zasięgu, rzucił się do niej z zębami. Ta poderwała się do lotu, ale widocznie alkohol już zadziałał, bo nie wyhamowała przed sufitem i zahaczyła o niego łbem, po czym gruchnęła na podłogę. Borys chwycił ją w pysk i uciekł do drugiego pokoju. Zuza natychmiast pobiegła za nim ratować Zgagę.

– Booorys! Booorys! Puuuść chuuuju! – krzyczało ptaszysko, ale pies sobie nic z tego nie robił. Wrzucił ją do miski i przygniótł łapami tak skutecznie, że nie mogła się ruszyć.

– Koooocham ciiię! Koooocham ciiię! – Papuga najwyraźniej zmieniła taktykę, ale i to nie przyniosło spodziewanych efektów, bo wciąż tkwiła w łapach psiska.

– Sukinsynu, zostaw ją! – Zuza chwyciła go za obrozę i pociągnęła w górę, w ten sposób umożliwiając Zgadze ucieczkę, z czego ta natychmiast skwapliwie skorzystała. Zamachała skrzydłami, uniosła się w powietrze i pofrunęła w stronę klatki, by chwilę potem się w niej zameldować. Tam była wreszcie bezpieczna. W misce zostały dwa długie pióra, jedno czerwone, a drugie niebieskie, niepowetowana strata przy nader skąpym upierzeniu papugi. I tak oto wieczór integracyjny zupełnie niespodziewanie zakończył się wielką awanturą.

To był zły pomysł. Muszę wrócić do starych zwyczajów i pić w samotności, stwierdziła Zuza, ciągnąc Borysa do drugiego pokoju.

Usiadła przy biurku i zatoneła w myślach. Nie miała jeszcze czterdziestki, a przeżyła już tyle, że gdyby ktoś chciał słuchać, to mogłaby o tym opowiadać całymi godzinami. Może ten gryzipiórek Bielski ma rację? Może faktycznie warto to spisać? Chyba, do cholery, zna się na tym i wie, co mówi, w końcu od dobrych kilku lat jest prezesem spółdzielni „Kacze Pióro”. Zamiast siedzieć całymi wieczorami nad butelką stocka i uzalać się nad sobą, lepiej postukać trochę na maszynie i opisać tych wszystkich skurwysynów, z którymi musiała się zmierzyć, którym dokopała po jajach. Tak naprawdę to ludzie nie wiedzą nic o jej dokonaniach, o jej wiecznej walce z aparatem ucisku, o jej utarczkach z tym wałachem Mariańskim. A właśnie, ciekawe, co się z nim dzieje? Musi spytać Nowaka, on na pewno wie. Zaraz do niego zadzwoni.

Sięgając po słuchawkę, spojrzała na zegar; zbliżała się północ, pewnie śpi, nie będzie sadystką, jutro to zrobi. Podeszła do szafy i wyjęła z niej maszynę do pisania, świeży nabytek, oryginalny polski łucznik. Wyglądał bardzo nowocześnie i jeszcze pachniał fabryką. Do tej pory wszystkie pisma wystukiwała na starym mercedesie pamiętającym jeszcze Adolfa Hitlera, ale przyszedł czas na zmiany. Jeśli ma spisać swoje wspomnienia, to tylko na nowej, tak sobie postanowiła. Od czego tu zacząć? Od włożenia kartki, ale co dalej?

Dzieciństwem i ogólniakiem nie będzie nikogo zanudzać, na studiach mogłaby wspomnieć o tym ubeku, który skradł jej serce tylko po to, żeby

mieć dostęp do jej ojca. Obrzydliwy skurwysyn, do dziś jak o nim wspomni, to mu złorzeczy. A potem trzeba opisać jej aplikanturę, jak ojciec nią się wysługiwał, jak biegała do Walczaka po pączki czy do Gwiazdeczki po babeczki. Przez pół roku robiła za gońca i kelnerkę. W końcu się zbuntowała i to poskutkowało. Przydzielono ją do jednej sprawy. Pierwszy raz stanęła przed sędzią i od razu dała plamę. Ze stresu nie była w stanie wydusić słowa. Teraz się z tego śmieje, ale wtedy to było straszne przeżycie. W gruncie rzeczy po co ma o tym pisać? Odkrywać się przed innymi ludźmi? Nie, nie będzie tego wszystkiego uwieczniać na papierze.

Podniosła się od biurka i schowała maszynę z powrotem do szafy. Mercedes jeszcze jej kilka lat posłuży.

Dziś był ważny dzień, bo mógł być przełomowy dla sprawy. Nowak wraz z aplikantką i jej koleżanką już z samego rana zaczęli się przed farą i mieli baczenie na każdą kobietę, która zbliżyła się do proboszcza. Zuza tymczasem udała się do płockiej kostnicy uciąć sobie pogawędkę z Ludwickim.

Patolog na jej widok zatrzęsł się ze złości. Od kiedy stała się właścicielką tajemniczych teczek sekretarza Wiśniewskiego, bardzo źle znosił jej wizyty. Nie wiadomo, gdzie nagle ulotniła się jego pewność siebie i kpiny, z którymi dotychczas ją witał. Teraz sprawiał wrażenie wręcz wylęknionego. Zapewne nie znał treści tych materiałów i przypuszczalnie miał więcej za uszami, niż tam było uwiecznione. Zuza oczywiście nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

– Czego chcesz? Nie mam czasu! – warknął niegrzecznie.

– Tak witasz swoją ulubioną znajomą? Gdzie się podziała ta twoja galanteria? – zadrwiła. – Poszukuję informacji o pewnej bibliotekarce. Nazywała się Józefina Sałacka.

– O ile dobrze pamiętam, żadna z tych bibliotekarek tak się nie nazywała – odburknął i zsunął prześcieradło ze zwłok, nad którymi akurat

konsumował kanapkę. Zuza zerknęła na nie kątem oka. Stary, wychudzony i pomarszczony mężczyzna z mikroskopijnym fiutkiem, marny widok.

– Chodzi mi o śmierć bibliotekarki, ale tę sprzed dwudziestu lat.

Spojrzał na nią mocno zaskoczony.

– Jaja sobie ze mnie robisz czy co? To przecież szmat czasu, skąd mam pamiętać jakiegoś tam trupa? Wiesz, ilu przeszło przez moje ręce? Ilu rozprułem brzuchy i otworzyłem czaszki?

– Nie jestem tego ciekawa. Sałacka była kuzynką pułkownika Januszka, chyba mówi ci coś to nazwisko.

Nic nie odparł, ze skalpelem w dłoni nachylił się nad nieboszczykiem. Wbił narzędzie w brzuch i zaczął go rozcinać, niczym kaszanekę. Widziała, że ręka mu drży, więc pewnie pamięć mu cudownie wróciła.

– Nie pamiętam – odezwał się po chwili. – Można to sprawdzić w archiwum. Tam musi być protokół.

Roześmiała się w głos. Spodziewała się takiej odpowiedzi, nie chodziło jej jednak o oficjalną wersję, ale o prawdziwą.

– Nie pierdol mi tu o jakimś protokole, chcę wiedzieć, jak było naprawdę. Wiem, że to pamiętasz. Widzę po twojej minie.

Przerwał robotę, rzucił skalpel i spojrzał na Zuzę.

– A co będę z tego miał? Co proponujesz? Słucham.

Na szybko analizowała, co może mu zaproponować. Ile warte są te informacje, bo w żadnym razie nie zamierzała przepłacać.

– Moją wdzięczność – odparła drwiąco.

– To mało. Nic nie pamiętam.

– Dobra, czego chcesz?

– Materiałów dotyczących mojej osoby.

– Czyś ty na łeb upadł? To za wysoka cena. Wiesz, ile one są warte? Choćby te zdjęcia w negliżu w towarzystwie przystojnych chłopców. Chyba że zeznasz, że byłeś świadkiem, jak Januszek ukatrupił swoją kuzynkę. Wtedy mogę to poważnie przemyśleć i być może pójść na taki układ.

– Tego nie zeznam, bo nie widziałem.

– Powiedz, co wiesz, a obiecuję, że nie wykorzystam tych materiałów, o ile nie zaleziesz mi ostro za skórę.

– Jesteś bezczelna! – oburzył się. – To przecież zwykły szantaż!

– Nazywaj to, jak chcesz. Kupiłam te materiały nie po to, żeby je teraz tak sobie rozdawać, ale i nie dla własnych korzyści. Chcę jedynie przygwoździć kanalię, chcę, żeby odpowiedział za swoje zbrodnie. Wiem, że pomogłeś mu zatuszować tę sprawę, bo sfałszowałeś protokół z sekcji. Może się mylę? – spytała kpiąco.

– Groził mi, a wiesz, że jak z nim zadrzesz, to już możesz testament pisać. On jest nieobliczalny i zupełnie bezkarny, tak też było i z synem Wierzbickiego. Ponoć zagarnął te dolary i śmieje się ze wszystkich.

– Nic nie trwa wiecznie, bezkarność nie jest wyjątkiem. Daj mi haki na tego sukinsyna i resztę zostaw mnie. Ja sobie z nim poradzę.

Ludwicki nic na to nie odparł, ponownie sięgnął po skalpel i wrócił do krojenia trupa. Tym razem dobrał się do głowy. Zręcznym ruchem naciął skórę i zaczął razem z włosami ściągać ją z czaszki. Zuza czuła, że jeszcze chwila, a zwymiotuje.

– Przyjdź jutro – usłyszała nagle.

Bez słowa odwróciła się i skoczyła do wyjścia przy szyderczym śmiechu patologa.

Wybiegła przed budynek i natychmiast przytuliła się do pobliskiej, jakże dobrze jej znanej śmietniczki, by pośpiesznie pozbyć się zawartości żołądka.

Obrzydliwy popapraniec, żeby go diabli wzięli, złorzeczyła mu w myślach, wycierając usta chusteczką.

Prosto ze szpitala poszła do kancelarii. Po drodze natknęła się na Maślankę, kolegę jeszcze ze szkoły. Wychodził z siedziby ZHP ubrany w mundur harcmistrza. Kto by kiedyś pomyślał, że tam trafi? To był największy chuligan w podstawówce. Kradł kredki z piórnika, dziewczyny ciągnął za włosy, dłubał w nosie, a z gili robił kulki i rzucał nimi w kolegów;

na dodatek przyniósł wszawicę do klasy. Zapowiadał się na rasowego bandziora, a tu niespodzianka. Życie potrafi jednak zaskakiwać.

W mijanej kwiaciarni kupiła wielkiego kaktusa. Postawi go na parapecie w kuchni, wypełni lukę po paproci, która nie wiadomo czemu kilka dni temu zwiędła. Pewnie to sprawka Geńki, która maczała w tym swoje proletariackie paluchy i czymś ją podlała, ale nie dała się złapać za rękę.

W kancelarii na blacie biurka Zuza zobaczyła kartkę z trzema nazwiskami i adresami, a pod nimi widniał dopisek Siedleckiej: „Były u spowiedzi”. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Skopiowała dane do notatnika i poszła owe kobiety sama wypowiadać.

– Proszę wejść!

Do gabinetu lekarskiego wszedł Mariański.

– Proszę usiąść. – Ordynator wskazał mu krzesło i otworzył teczkę z historią choroby kapitana. – Widzę dużą poprawę. Jak się pan czuje? Czy omamy wracają?

– Jakie omamy? O czym w ogóle mówicie?

– Nie wie pan? Przez cały pobyt w szpitalu o nikim innym pan nie mówił, tylko o Lewandowskiej. W majakach co najmniej tysiąc razy wykrzyczał pan jej nazwisko. Każdy na oddziale już wie, kim jest ta Lewandowska. To chyba nie jest normalne?

– Obywatelu doktorze, sami mi powiedzieliście, że ta suka wam też zalaża za skórę, więc czemu mi się dziwicie?

– Ale ja nie wykrzykuję jej nazwiska, ja jej złorzeczę jedynie po cichu. Zresztą to jest już nieistotne. To nie ma nic do pańskiej kuracji. Proszę mi powiedzieć, co to jest.

Torbicki położył przed kapitanem plik karteczek. Mariański zerknął na nie ciekawie.

– To chyba moje notatki służbowe – bąknął, nie kryjąc niezadowolenia, że wpadły w niepowołane ręce. – To jest ściśle tajne!

– Do cholery, nie jest pan w pracy. Zapoznałem się z nimi, to same bzdury, wytwory chorego umysłu.

– Ale my ich od tygodnia już nie piszemy, obywatelu doktorze.

– Wiem o tym i dlatego postanowiłem pana wypisać. Jest pan już wyleczony.

Na twarzy kapitana pojawił się szeroki uśmiech.

– Czy dostaniemy zaświadczenie? Chcemy wrócić do pracy, i to pilnie.

Lekarz rzucił mu przeciągłe spojrzenie i z dezaprobatą pokręcił głową. Najwyraźniej ten pomysł nie przypadł mu do gustu. Smętnie popatrzył na słój stojący na parapecie. Do dziś nie mógł odżałować, że zastosował tak trafioną terapię.

– Jest pan tego pewny? Ma pan swoje lata, może czas pójść na emeryturę, wypocząć?

W oczach Mariańskiego błysnęły szalone ogniki.

– Jeszcze nie teraz, najpierw muszę kogoś dorwać i zamknąć w kryminale, i to na dobre. Dopiero wtedy pójde na emeryturę.

– Proszę mi już iść z oczu, bo tracę cierpliwość. Za chwilę pielęgniarka przyniesie panu wszystkie papiery. Żegnam!

– Dziękuję, obywatelu doktorze!

Mariański zerwał się z krzesła i rześko ruszył do drzwi. Lewą dłoń cały czas trzymał przyciśniętą do piersi. Kiedy znalazł się na korytarzu, wyjął zza pazuchy kilka kartek pokrytych jego niezdarnym pismem.

Przerobiłem was, doktorku, zaśmiał się w duchu.

Zuzie blisko dwie godziny zajęło odwiedzenie owych kobiet. Dobrze, że pan Janek, kierownik stacji benzynowej przy ulicy Bielskiej, załatwił jej dwa kanistry benzyny i wszędzie mogła podjechać autem. Pierwsza z parafianek w ogóle nie chciała z nią rozmawiać. Dopiero jak Zuza ją postraszyła, że dostanie wezwanie na milicję, stała się ciut bardziej

skłonna do rozmowy. Wszystko na nic, to nie była ona. Druga z kolei była gadatliwa. Kiedy otwierała usta, wylewał się z nich prawdziwy słowotok, ale okazało się, że to też nie ta. Trzecią Lewandowska złapała w kolejce u rzeźnika. Stała tam po kości wołowe. Dopiero po dokonaniu zakupów mogły swobodnie porozmawiać. I znów pudło, kobieta sprowadziła się do Płocka zaledwie rok temu. Zuza była zawiedziona. Wróciła do kancelarii i zaparzyła herbatę, na rozgrzewkę walnęła sobie lufę, a na koniec wyjęła z szuflady ostatnie cygaro. Rozsiadła się w fotelu i postanowiła spokojnie czekać na to, co jej przyniesie reszta dnia.

Januszek siedział w gabinecie i nerwowo stukał ołówkiem w blat biurka. Czas biegł nieubłaganie, a sprawy się nie posuwały do przodu. Wciąż udawało mu się zwodzić generała Rajewskiego, ale wiedział, że cierpliwość tamtego też się kiedyś skończy. Powoli zaczęły go nachodzić wątpliwości. Może czas zaakceptować myśl, że znaczek się nie odnajdzie? Liczył, że Lewandowska go do niego doprowadzi, ale szło jej to bardzo opornie. A może trzeba ją zachęcić, zmobilizować? Ale jak? Porwanie papugi już było i doprowadziło ją do depresji, a zatem to zły kierunek.

Zadzwoił telefon.

– Słucham.

– To ja, Rajewski. Kurwa mać, co ty, stary, wyrabiasz? Chcesz położyć całą operację wydziału? Odpuść ten cholerny znaczek. Masz natychmiast odwołać Kołakowskiego. On jest obecnie cenniejszy od tego gównianego kawałka papieru.

– Ależ Rysiu, kontroluję sytuację. Daj mi jeszcze kilka dni. – Januszek próbował uspokoić współnika. – Pomyśl, że jeśli go zdobędziemy, to obydwaj będziemy obrzydliwie bogaci. Sam widzisz, że wszystko w tym kraju zaczyna się walić i dobrze by było mieć tam na Zachodzie konkretne zaplecze.

– Jak przez to spierdolimy operację, to nas rozwałą i chuj ci przyjdzie z tej forsy. Pamiętaj, mamy wciąż stan wojenny. Daję ci jeszcze tydzień! Ani dnia dłużej!

Januszek usłyszał odgłos odkładanej słuchawki. Z wściekłością złamał ołówek i cisnął go do kosza.

– Żarty się skończyły, trzeba działać – mruknął pod nosem, sięgając do szuflady. Wyjął z niej pistolet, po czym go przeładował. Z posępną miną na twarzy podniósł się zza biurka, włożył broń do aktówki i wyszedł.

Był już wieczór i nic, żadnych wiadomości. Zuza chodziła od okna do okna, wyczekując Nowaka i Siedleckiej. W końcu zjawił się sierżant. Był bardzo zmęczony, co chwila zanosił się kaszlem. Podał jej kartkę z dwoma nazwiskami.

– Słabo. A gdzie dziewczyna? – spytała.

– A to jej nie ma? – zdziwił się. – Zwolniłem ją dwie godziny temu, bo się źle poczuła.

– Nie dotarła. Zaraz zadzwonię do niej i sprawdzę, co się dzieje. O, kurwa mać, przecież ona nie ma telefonu, zupełnie mi to wyleciało z głowy. Zajrzyj do niej, zorientuj się, jak się czuje, a jeśli ma jakieś adresy, to mi je podyktujesz przez telefon.

– Zgoda, to jest nawet po drodze. Aha, spotkałem Kowalskiego, marnie wygląda. Może z nim pogadasz? Tyle lat razem działaliście i było dobrze. Czy warto to tak od razu przekreślać?

– Matka Teresa się znalazła. Ty mnie tu nie umoralniaj! – ryknęła na niego. – Niewykluczone, że pogadam, ale nie dziś. Idź już, bo się ciut o nią niepokoję. Może to tylko wybujala wyobraźnia, a może kobieca intuicja.

Jeszcze kwadrans poczekała, po czym zamknęła kancelarię i udała się do domu. Ledwie weszła, zadzwonił telefon. To Nowak, był czymś bardzo poruszony.

– Tak jak prosiłaś, zajrzałem do domu dziewczyny, ale jej nie zastałem, nie wróciła. Wystraszyłem jej rodzinę i teraz jej wszędzie szukają. Podałem im twój numer, jak ją znajdą, to zadzwonią z budki.

– Dobrze zrobiłeś. Ja też czuję coraz większy niepokój. Oby jej się tylko nic nie przytrafiło.

Minęła jedna godzina i nic, minęła następna i też cisza. Było koło północy, kiedy zadzwonił telefon. Zuza poderwała się z kanapy i podbiegła do aparatu. Pewnie ją w końcu odnaleźli. Jutro dostanie ostrą reprymendę za to skandaliczne zachowanie. To był niedopuszczalny brak rozwagi.

– Słucham?

– Dobrze, Lewandowska, słuchaj uważnie. – Głos w słuchawce był bardzo zniekształcony. – Mam tę kozę. Jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć żywą, to odnajdź znaczek. Ona za niego. Śpiesz się. Masz sześć dni. Później pogłaszczę ją po gardle brzytwą i dam rybom na pożarcie. Niebawem się znów odezwę.

Połączenie zostało przerwane.

Zuza wciąż stała nieruchomo ze słuchawką przy uchu, cała zdrętwiała z przerażenia. Przecież już raz przeżyła podobną sytuację i nie uratowała zakładniczki. Zabito ją w okrutny sposób. Do dziś dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo mogła zachować się inaczej. Wtedy popełniła błąd, tak w każdym razie uważała.

Wykręciła numer Nowaka. Odebrał natychmiast, więc pewnie też nie spał.

– Porwano ją. Chcą wymiany za znaczek – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– O cholera, przecież ty go nie masz – odparł zdziwiony. – Oni o tym nie wiedzą?

– Skąd mogę wiedzieć, co oni wiedzą? – zdenerwowała się. – Kurwa mać, co robić? Dziewczynie nie może się stać krzywda.

– Prześpij się, jutro rano przyjdę do ciebie, to się zastanowimy na spokojnie.

– Co ty pierdolisz?! Kurwa mać, myślisz, że zasnę? Trzeba działać! Wkręciłam dziewczynę w to wszystko i muszę jej pomóc. Nie chcę, żeby sytuacja się powtórzyła.

– Wtedy to nie była twoja wina. Teraz też nie, młoda wiedziała, w co się pakuje. Ryzyko zawodowe. Każdy wie, czym się zajmujesz, a tym bardziej inny prawnik.

– Może zgodzą się na wymianę, ja za nią? Jak myślisz?

– Nie zgodzą się, to pewne. Jeśli uważają, że znaczka wciąż nie masz, to znaczy, że chcą, żebyś go odnalazła. Siedlecka, z całym dla niej szacunkiem, tego nie dokona. Nawet im nic takiego nie proponuj.

– To co mam, do cholery, zrobić?

– Znajdź znaczek.

– Ciekawe jak? On przecież zaginął dwadzieścia lat temu. Wtedy byłam jeszcze podlotkiem. Teraz to jak szukanie igły w stogu siana lub zagubionej książki w bibliotece. Czekaj... – Nagle coś ją oświeciło. – Muszę kończyć.

Rzuciła słuchawkę na widełki i pobiegła do biurka. Z szuflady wyjęła notatki aplikantki, te z pierwszego dnia pracy. Zaczęła je nerwowo przeglądać, kartka po kartce. Nagle jej palec sunący po papierze zatrzymał się raptownie.

– Jest! – krzyknęła podekscytowana.

Przerzuciła kilka następnych stronic, teraz skupiała się na wydarzeniach płockich, tych tuż przed zabójstwa pierwszej z bibliotekarek. Druga strona, czwarty wiersz.

– Niemożliwe – wyszeptała. Znalazła brakujące ogniwo w łańcuchu, ostatni klocek w układance. Już wiedziała, dlaczego zginęły te kobiety, ale wciąż w tym wszystkim brakowało odpowiedzi na pytanie: „Co się stało z tym cholernym znaczkiem?”.

Ruszyła w stronę kanapy. Jeszcze jeden kieliszek i pójdzie spać. Może się zdrzemnie choć godzinę, warto o to powalczyć, bo jutro zapowiada się gorący dzień.

Ktoś zapukał do drzwi. Zuza zerwała się z łóżka i poszła otworzyć. W progu stał Ludwicki, cały we krwi, trzymał w dłoni głowę jakiejś kobiety.

– Ty suko, zobacz, do czego doprowadziłaś.

Teraz poznała, to przecież Siedlecka. A więc i ona skończyła tak jak Marta.

Patolog cisnął głową w Zuzę. Upadła może z metr przed nią i potoczyła się aż do jej stóp. Zuza z przerażeniem stwierdziła, że puszcza do niej oko i zaczyna się w głos śmiać.

Poderwała się z pościeli cała mokra.

I znów to był koszmary sen, na szczęście tylko sen, bo dziewczyna wciąż żyła.

Już nie zasnęła do rana. Dzięki temu zabrała spod drzwi butelkę mleka, nie dając szansy złodziejowi.

– Kuurwa maaać! Spaaać!

Zgaga nie kryła niezadowolenia z powodu porannej pobudki, ale Zuza wcale się tym nie przejmowała. Chwyciła smycz z wieszaka i wyprowadziła Borysa.

Na dworze było rześko, przyjemnie, idealny czas na rundkę po starówce. Tak jak zawsze spotkała proboszcza z fary, wracał z pokera, jego posępna mina świadczyła, że w nocy przepuścił niejedną niedzielą tacę. Widząc psa i mając w pamięci ich ostatnie spotkanie, ominął ich szerokim łukiem. Ponoć sutanny nie dało się doprać. Przy Małachowiance Zuza natknęła się na dyrektora zoo. Ze zwichrzonym włosem ścigał po ulicy antylopę. To już nie pierwsza jej ucieczka. Kiedyś pół miasta ją goniło. Dobrze, że słonica Petra nie uciekła, dopiero by było, pomyślała. Z trudem utrzymała Borysa na smyczy, tak rwał się do pomocy. Z pałacu biskupiego wychodził jakiś kleryk, nawet nie próbowała myśleć, co tam robił o tak wczesnej porze. Na stopniach Grobu Nieznanego Żołnierza jakiś pijaczek obalał wino patykiem pisane. Widząc Lewandowską, pośpiesznie schował butelkę za

pazuchę. Pewnie zaraz zwinie go patrol milicji i wywiezie do plockiego sanatorium, czyli do izby wytrzeźwień. Na Kościuszki spłoszyła dwóch wyrostków, którzy czerwoną farbą pisali „Precz z komuną!” na ścianie komitetu wojewódzkiego PZPR. Niepotrzebnie uciekali, sama by im kubel z farbą pottrzymała. Na ulicy Kolegialnej przy pogotowiu stał rząd karetek. W ostatniej, dużym fiacie kombi, sanitariusz obłapywał jakąś dziewczynę. Tak byli sobą pochłonięci, że nie zauważyli Zuzy. W pewnym momencie panienka gołym pośladkiem nacisnęła niechcący klakson, co poderwało do lotu spłoszone stado dzikich gołębi.

Idąc ulicą Sienkiewicza, nieopodal zakładu karnego Zuza zobaczyła w oknach więźniów; machali do niej i gwizdali. Czynili to z nudów albo ją poznali, wszak większość z nich to jej obecni lub przyszli klienci. W mijanej akurat piekarni Społem kupiła świeże kajzerki, chleb i masło roślinne, o zwykłym można było zapomnieć, chyba że spod lady, ale tu akurat Zuza nie miała znajomości.

W bramie kamienicy, w której mieściła się jej kancelaria, natknęła się na Piosika.

– Szukasz mnie?

– Nie, pani mecenas. W podwórzu mam nową babę.

– Nowa szmata czy podwyższyłeś standard? – zapytała kpiąco.

– Oj, pani mecenas to wali od razu tak po jajach. Jest sprzątaczką w delikatesach. Wie pani – mrugnął okiem – przez żołądek do serca.

– Zaraz, zaraz, to sprzątaczką czy kucharką?

– No sprzątaczką, ale przyniesie ze sklepu co nieco. Może co potrzeba? Jakiś czaj, a może serdelki? Wczoraj przywieźli, nawet na sklep nie wyrzuciły, wszystkie się bokiem rozeszły.

– Nie, dziękuję, ale dobrze, że cię widzę, bo trzeba coś załatwić.

– Dla pani wszystko, pewnie trzeba obić mordę temu frajerowi, co się za panią snuje?

– Trochę więcej.

– Potraktować go kosą? Jeśli tak, to trzeba do tego Franka Zduna. On to już robił. Sam boję się, że wymięknę przy mokrej robocie. Ja jestem wrażliwy gość. Tak upuścić z kogoś życie? To nie dla mnie.

– Niezupełnie to. Macie go uwięzić. Zamknąć w jakiejś komórce, ciemnicy, wyeliminować na kilka dni. Coś wymyślcie.

Piosik spojrział na nią zdziwiony.

– Nie lepiej sukinsyna ukatrupić na amen? Bo jak któregoś rozpozna, to później będzie się mścić, a to jeszcze gorsze.

– Piosik, ja jestem adwokatem, a nie szefem Camorry.

– A co to? Nie słyszałem o czymś takim.

– Nieważne. – Machnęła ręką.

Ciągle łapała się na tym, że zapomina, iż rozmawia z prostytutką.

– Coś z nim zróbcie, byle mi w drogę nie wchodził. Kojarzysz moją aplikantkę?

– Jolę? No pewnie, równa dziewczucha, podobnie jak pani szlugiem poczęstuje, a i nieraz kasiorki pożyczy.

– Została porwana. To pewnie robota Januszka, tego komendanta milicji.

– Ja pierdołę, poważnie? A to sukinsyn! – Piosik złapał się za głowę.

– Cholernie poważnie.

– O, kurwa, to już po niej. Zajebie ją ten chuj jak nic. Staszek Walczak miał z nim na pieńku i co? Zniknął. Do dziś trupa nie znaleźli. Pewnie skończył w Wiśle.

– Piosik, kurwa mać, wiecznie kraczesz. Dziewczyna jeszcze żyje i chyba wiem, gdzie ją przetrzymują. Musimy ją uwolnić, ale żeby tego dokonać, trzeba wyeliminować tego typu, co chodzi za mną krok w krok. Załatwisz to czy mam stukać do innych drzwi?

Tu miała na myśli Marcinkowskiego. Trudno, pójdzie po pomoc nawet do niego, dziewczyna jest tego warta.

Piosik, mocno zafrasowany, podrapał się po głowie.

– No dobra, pogadam z kumplami. Będę musiał postawić im parę flaszek.

Wyjęła portmonetkę, a z niej kilka banknotów, które wcisnęła mu w dłoń.

– Rozumiem, że sprawa jest załatwiona? Daj mi znać, kiedy go dorwiecie.

– Może pani na mnie polegać, jeszcze dziś ten chuj zniknie.

– Tylko żebyś mnie nie zawiódł.

Pociągnęła na smyczy Borysa i poszła dalej.

Zostawiła psa w domu, zabrała kartkę, którą wczoraj dostała od Nowaka, i udała się porozmawiać ze wskazanymi przez niego kobietami. Właściwie już nie musiała tego czynić, bo była pewna, że świadek widział na miejscu zbrodni Januszka albo jego człowieka, być może nawet tego, któremu Borys przegryzł gardło.

Pierwsza z nich, Marianna Dąbrowska, mieszkała przy Kolegialnej nad sklepem chemicznym, a zatem nie należała do parafii fary. Sądząc po tabliczce na drzwiach, była dentystką. Faktycznie, co nieco o niej Zuza słyszała i raczej nie były to pochlebne opinie. Pacjenci narzekali, że założone przez nią plomby po kilku miesiącach wypadają. Ktoś nawet chciał się z nią procesować, ale w końcu odpuścił, wychodząc z założenia, że z lekarzem nigdy nie wygra. Kobieta była tak zaskoczona tą niespodziewaną poranną wizytą, że od razu przyznała się, iż jest osobą poszukiwaną przez Zuzę.

– Jak pani do mnie trafiła i skąd pani wie, że widziałam te okropności? Przecież nikomu o tym nie mówiłam? – zasypała ją pytaniami.

– Tak jak pani widziała zabójstwo, tak ktoś inny widział panią w tej okolicy – skłamała Zuza bez zająknięcia.

Wyjęła z torebki kilka zdjęć i podała je kobiecie.

– Który z nich? Proszę mi go wskazać, a więcej nie będę pani nachodzić.

– Nie będę musiała zaznawać?

– Nie! Kiedyś bym do tego parła, ale okoliczności się zmieniły, i to diametralnie. Który to?

Dąbrowska nawet się nie zastanawiała, tylko od razu wskazała Januszkę.

– To on. Rozpruł tę biedaczkę na moich oczach – wyszeptała drżącym głosem, zanim się rozplakała.

Zuza nie dopytywała więcej, podała jej chusteczkę, po czym bez słowa pożegnania opuściła mieszkanie. Stała na ulicy, padało, więc wyjęła parasolkę. Rozejrzała się na boki. Ku swojemu zdumieniu zauważyła kaprała Oparę schowanego w bramie naprzeciwko. J-23 znowu nadaje, pomyślała i parsknęła śmiechem. Postanowiła teraz zajrzeć do biblioteki i porozmawiać o zabitych pracownikach.

Gdy tylko weszła do środka, zobaczyła ją kierowniczkę i zaraz do niej podbiegła.

– Witam panią mecenas. Czym mogę znów służyć? Dostałam świetną kawę.

– Jeśli już mam coś wypić, to wolę herbatę. Nie jestem jakimś wybitnym znawcą kawy.

– Znajdzie się i herbatka. Zdołałam earl greya, i to żółtego, w delikatesach, a przy okazji wzięłam ananasy w puszkach, mogę jedną pani odstąpić.

– To świetnie – odparła uradowana Zuza. Wizyta Sary zbliżała się wielkimi krokami i należało zacząć przygotowania, a to już był jakiś rarytas. – Chciałabym porozmawiać o tych nieszczęsnych pani koleżankach – przeszła do rzeczy. – Jest szansa na zdemaskowanie ich zabójcy. Jednak sama wiedza, kim on jest, to za mało, żeby go skazać. Potrzebuję dowodów i dlatego ponownie rozmawiam ze wszystkimi, którzy mieli styczność z ofiarami. Może coś się komuś przypomniało?

– Proszę na zaplecze.

Zuza chodziła nerwowo od okna do okna. Czekala na sygnał od Piosika. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

To pewnie on.

– Proszę!

I tu kompletne zaskoczenie, w progu stał Kowalski. Jakiś taki wymizerowany, mina nietęga.

– Wejź! – Wskazała mu krzesło, a sama usiadła w fotelu. Ucieszyła się tą wizytą. Czuła, że przyszedł czas, żeby się pogodzić.

Postawiła na biurku koniak i dwa kieliszki, bez pytania nalala. Jeden wzięła do ręki.

– Za nowy rozdział naszej współpracy i przyjaźni! – wzniosła toast.

Skwapliwie chwycił swoją koniakówkę.

– Za nowy rozdział.

Wypili. Znów polala.

– Ty tak na serio? – spytał nieśmiało.

– Zgadza się, jeśli chcesz, to możesz wrócić pod „dobry adres”. Tylko jeden warunek: nie rób mi więcej tak głupich kawałów, a ugotowanie papugi było w wyjątkowo złym guście.

– Przecież jej nie ugotowałem.

– I to przemawia na twoją korzyść – odparła ze śmiechem. – A więc, czy przyjmujesz moją propozycję? Pamiętaj, więcej jej nie ponowię. Znasz mnie.

Zaległa cisza. Zuza zapaliła papierosa.

– Dobrze, przyjmuję – odparł po dłuższej chwili.

Wychylił drugi kieliszek.

Zuza odetchnęła z ulgą. Dobrze znała Kowalskiego i wiedziała, ile go to kosztowało. Jakkolwiek by było, musiał teraz przełknąć gorzką pigułkę, właściwie całą ich fiolkę, i to nie było przyjemne.

– A zatem witaj w domu! A przy okazji, skoro już tu jesteś, to mam prośbę.

- Jasne, co tylko chcesz. Czego potrzebujesz?
- Posiadasz może w domu jakąś broń? Pistolet, bagnet, coś w tym rodzaju?
- A co, idziesz na wojnę? Z kim, jeśli można wiedzieć?
- Tak jakby. Trzeba pewnemu skurwysynowi łeb odstrzelić.
- Na pewno coś się znajdzie.
- To bądź tu przed osiemnastą.
- Nic więcej mi nie powiesz? Nie wiem, czy brać szczoteczkę do zębów.
- A na cholere ci szczoteczka? Pojebało cię?
- No wiesz, jak nas zamkną, to się przyda.
- Spokojnie, prędzej nas zastrzelą, niż zamkną.
- Od razu się uspokoilem. – Zaśmiał się.

Piosik pokazał się tuż po czternastej. Był jakiś nieswój, zauważyła, że coś im nie poszło. Cholera, zawsze tak wychodzi, kiedy zaufasz takim łapsom.

– Mów! Nie udało się? Nie daliście mu rady? Zamiast wy jego, to on was? Bądź co bądź to wojskowy. Mam rację?

– To nie to, pani mecenas. Nie wyszło tak, jak chcielim. Sukinsyn stawiał się, miał spluwę. Wpadliśmy w panikę, no i...

– Kurwa mać, wydusisz w końcu z siebie, co się stało? – Powoli traciła cierpliwość.

– Franek Zdun jebnął go – zaczął dukać – szpadlem przez łeb, za mocno go jebnął, aż mu galareta ze łba wypłynęła.

– Zabiliście go?

Zuza była przerażona. Kurwa mać, co oni narobili najlepszego? Przecież nie tak się umawiali.

– Ochujeliście? Mówiłam wam, żeby mu się krzywda nie stała. Chcecie wisieć przez takiego skurwysyna? To przecież sto czterdzieści osiem, i to

bez dwóch zdań, a za to jest tylko czapa. Jeszcze może mnie za sobą pociągniecie?

– Pani mecenas o tym nie wiedziała, gdyby co, to tak powiem. Proszę być spokojną, to sprawka Zduna. On jest cholernie niecierpliwy, narwany jak mało kto.

– Po cholere go wzięłeś? Wiedziałaś, że to czubek.

– Pani mecenas to tak łatwo krzyczeć na mnie. Chłopaki nie chcieli iść, tylko on się zgodził. Sam nie dałbym rady, w życiu.

– Co z nim zrobiliście?

– Leży w przechodniaku przy Grodzkiej. Pewnie już go znaleźli.

– A ten Zdun? Co z nim? Bo jak zacznie sypać, to wolę nie myśleć, co będzie.

– Pani mecenas go nie zna. Mogą z niego pasy drzeć, a nikogo nie wyda. Znam go od gnojka, razem ganialiśmy po podwórzach. Ręczę za niego.

– Dobra, nie będę się teraz martwić o jutro, bo mogę go nie dożyć, zmiataj stąd, lepiej, żeby cię tu nikt dziś nie widział.

– Może ma pani szlugiem poczęstować?

Bez słowa wcisnęła mu w dłoń paczkę radomskich.

Januszek wszedł do swojego gabinetu. Musiał gdzieś pilnie zadzwonić, a telefon w domu nie działał przez wczorajszą wichurę, która zerwała przewody. Z budki nigdy nie korzystał, bo tam rozmowy były kontrolowane. Nie zdążył sięgnąć po słuchawkę, kiedy ktoś zadzwonił. Od razu rozpoznał generała Rajewskiego. Był czymś bardzo zdenerwowany, co dało się słyszeć w jego głosie.

– Kurwa mać, coś ty tam odpierdolił?! Już po nas! – krzyczał. – Pójdziemy pod mur. Głupi, dałem się zmanipulować, czemu cię w ogóle słuchałem?

– Rysiu, spokojnie, co się stało?

– Co ty, kurwa? Jeszcze nie wiesz? Co się dzieje w tym pierdolonym Płocku? Tu u nas w Warszawie aż huczy, a ty nic nie wiesz?

– Nie. Niby skąd? Byłem na mieście, o niczym nie mam pojęcia.

– Znaleźli Kołakowskiego, jakiś pierdolony domorosły neurochirurg za pomocą szpadla otworzył mu czaszkę i zrobił trepanację.

Pułkownikowi z wrazenia papieros wypadł z ust.

– O kurwa mać. Pierwsze słyszę – wydukał.

– Mieliśmy go w Berlinie wymienić na tego Wojnowskiego, co wykradł Amerykanom plany rakiet. Dwa lata go przygotowywałem do tej misji. Do Solidarności go zapisałem, nawet z Wałęsą się zakumplował, a teraz głównie z tego będzie. Kogo teraz wymienimy? Jaruzelski dostanie kurwicy, polecą głowy, a moja spadnie jako pierwsza. Ty też polecisz, tego dopilnuję, bo wszystko to twoja wina. Zachciało ci się znaczka. Nawet go do tej pory nie zdobyłeś. Może go w ogóle nie było.

– O, przepraszam, ale spodobał ci się pomysł, żeby Kołakowski go wywiózł i sprzedał. Zyskiem mieliśmy się podzielić po połowie.

– Tak, i klęską też podzielimy się po połowie, i to dokładnie po równo!

Januszek usłyszał charakterystyczny trzask, to Rajewski rzucił słuchawką.

Kurwa mać, co tu robić? Jeszcze nie wszystko stracone. Musi zdobyć ten cholerny znaczek i przeczekać całą zadymę. Może trzeba będzie odejść z milicji, no cóż, z tym się liczył. Ważne, że ma aplikantkę Lewandowskiej. Prawniczka na głowie stanie, żeby ją uwolnić, a zatem go odnajdzie. Wtedy zabije jedną i drugą w myśl zasady: nie ma świadków, nie ma dowodów winy. Trzyma jeszcze jednego asa w rękawie, to taki bonus dla pani mecenas. Oj, zdziwi się, ale z nikim się tym nie podzieli, tę tajemnicę zabierze ze sobą do grobu.

Roześmiał się diabolicznie.

Punkt osiemnasta w kancelarii Zuzy pojawili się Nowak z Kowalskim. Pierwszy z rewolwerem, niczym John Wayne, a drugi z szablą à la Wołodyjowski.

– Kurwa mać, spluwa jak spluwa, ale ta szabla to chyba spora przesada? – Zuza nie darowała sobie małej uszczypliwości.

– Wiesz, ile istnień ludzkich zgaszono za pomocą tej broni? Tysiące.

– Dobra, tylko schowaj ją, żebyś mi z nią nie paradował po ulicy. Weźmiemy moje auto i pojedziemy na Trzeciego Maja. Pamiętacie taki sklepik z zabawkami, lusterkami i mnóstwem innych głupot?

Kowalski skinął głową.

– Pewnie, że tak. Do dziś mam lusterko z Brigitte Bardot, które tam kupiłem.

– Chodzi mi o domek obok. Tam jest przetrzymywana moja aplikantka.

– Jesteś tego pewna? – spytał sierżant. – Wiesz, co będzie, jeśli wtargniemy do mieszkania zwykłych ludzi? Wywalą was z adwokatury, i to z hukiem. Chcecie zaryzykować?

– Wszystko zaryzykuję, żeby dziewczynę uwolnić. Januszek to wielokrotny zabójca, nigdy nie puści jej wolno. Jak tylko nie będzie mu potrzebna, to ten sukinsyn ją zabije, nawet się nie zawaha – rzekła Zuza, przeładowując pistolet.

Kowalski się nie odezwał, jedynie ukrył szablę pod płaszczem, co było bardziej wymowne od jakiegokolwiek deklaracji.

Opuścili kancelarię i skierowali się na parking przy placu Narutowicza. Tam Zuza z samego rana zaparkowała fiata. Zapakowali się do auta i pojechali.

Samochód zostawili przy ulicy Pięknej, tuż przy domu Kowalskiego, i na miejsce udali się pieszo.

Ciemno dookoła, świeciło się tylko w oknie pierwszego piętra. Furtka była zamknięta na klucz, ale sierżant błyskawicznie uporał się z zamkiem i mogli wejść na posesję. Spojrzeli po sobie, jakby chcieli dodać sobie odwagi.

– Jeśli tam poza dziewczyną ktoś jest, to tylko Januszek, bo jego wspólnik... zaniemógł – szepnęła do nich Zuza.

– Chyba na amen. – Sierżant zaśmiał się. – Niedawno zabierali go do kostnicy.

– Skąd wiesz, że to on?

– Kilka razy go widziałem, jak wychodził z gabinetu pułkownika, a nie pracował w komendzie.

– No to idziemy czy gadamy? – przerwał im Kowalski.

Nowak jako pierwszy wkroczył do ogrodu. Przeszli wzdłuż budynku, czujnie się rozglądając, w każdej chwili mógł wyskoczyć jakiś kundel i głośnym jazgotem zdradzić ich obecność. Na szczęście nie było psa. Podeszli do drzwi, na których sierżant, tak jak i wcześniej, zademonstrował swoje ślusarskie umiejętności. Ciekawe, gdzie się tego nauczył? Chyba nie w milicji? Zamek w try miga poddał się jego zręcznym palcom i wejście do domu stało przed nimi otworem. Nowak wyjął rewolwer i ruszył jako pierwszy. W budynku panował półmrok, poruszali się prawie po omacku, wiedzieli, że element zaskoczenia to ważny sprzymierzeniec. Na parterze nie było nikogo, więc weszli na schody. Skradali się, krok po kroku, stopień po stopniu, aż dotarli do drzwi pokoju – tego, w którym świeciło się światło. Kowalski nacisnął klamkę i pchnął drzwi, ale nawet nie drgnęły.

– Cholera!

Zamknięte, ale klucz tkwił w zamku, więc nie namyślając się wcale, przekręcił go i ponownie pchnął drzwi. Tym razem się udało. Nowak wkroczył do pokoju z ręką wyciągniętą przed siebie i bronią gotową do strzału, ale zaraz ją opuścił. Zuza weszła tuż za nim i od razu zobaczyła dziewczynę. Co najważniejsze – żyła. Leżała na wersalce, skrępowana grubą liną, w usta miała wciśniętą szmatę. Poza nią nie było tu nikogo. Zuza wyjęła z torebki scyzoryk i przecięła liny, uwalniając Siedlecką. Aplikantka natychmiast wypluła knebel i z płaczem rzuciła się Zuzie w ramiona. Ta jednak zaraz ją od siebie odsunęła.

– Teraz nie ma czasu na takie rzeczy. Gdzie jest Januszek? Jest tutaj jeszcze jakiś inny pokój?

– Zjawiał się tylko wieczorami. Jego ludzie mnie tu więzili. Pewnie zaraz wróca.

Zuzę zaniepokoiły jej słowa. Do cholery, jacy ludzie? O czym ona gada?

– Używasz liczby mnogiej. Wiesz może, kim są?

– Nie. Jednym z nich jest ten, któremu kiedyś zrobiłam u pani zdjęcie. Tego drugiego nigdy wcześniej nie widziałam. Przystojny, w średnim wieku. Powiedział tamtemu, że panią świetnie zna. Opowiadali sobie o pani.

– To mi nic nie daje. Wielu mnie zna, choćby z racji zawodu. Padło może jakieś nazwisko? A może imię? Przypomnij sobie, przecież nie mówili do siebie bezosobowo?

– Tak, ten mężczyzna miał na imię Leszek. Tak się do niego zwracał ten z fotografii.

Pod Zuzą nogi się ugięły. Niemożliwe, chyba się przesłyszała. To nie może być on. To musi być jakiś inny Leszek.

– Powtórz to imię. Jesteś tego pewna? – spytała zduszonym szeptem.

– Tak. Zna pani jakiegoś Leszka?

– Znałam jednego, ale on nie żyje, i to od dawna. Powiedz mi coś więcej o jego wyglądzie.

– Zrobiłam mu zdjęcie. Jest w aparacie.

– Pozwolili ci robić zdjęcia? Byli tak nieostrożni? – zdziwił się Nowak.

– Nie, ale kiedy obserwowałam ten dom, to robiłam je wszystkim wchodzącym i wychodzącym, tak jak pani kazała.

– To nie używałaś tego swojego polaroida? – wtrąciła Zuza.

– Papier do niego za drogi, żeby tak cykać je na prawo i lewo. Na dodatek trzeba za niego płacić dolarami. Wzięłam swojego starego kijewa.

– Gdzie masz ten aparat? Nie zabrali ci go?

– Jest w moim mieszkaniu. Zanim mnie porwali, idąc do kancelarii, wstąpiłam do domu, żeby coś zjeść, i tam też go zostawiłam.

– Ktoś się zbliża! – krzyknął Kowalski, który od dłuższej chwili dyskretnie wyglądał zza zasłony na ulicę.

– Chowam się za drzwiami, a wy stańcie pod ścianą, tak żeby was od razu nie zauważył – rozkazał Nowak.

Tak też uczynili i znieruchomieli w oczekiwaniu.

Trzasnęły drzwi, usłyszeli tupot kroków na schodach, charakterystyczne skrzypienie stopni pod czyimiś nogami, a chwilę potem w pokoju pojawił się pułkownik. Stał zdumiony. Nie spodziewał się gości, nie przewidział tego, że Zuza może go przechytrzyć.

Sierżant wycelował w niego z colta.

– Ręce do góry!

Posłusznie je uniósł. Uśmiechnął się, co było zastanawiające w sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Brawo. Widzę, że kogoś tu nie doceniłem. Mecenas Lewandowska okazała się sprytniejsza ode mnie. Wiedziałem, że mam inteligentnego przeciwnika, ale że aż tak, to nie.

– Nie będzie ci do śmiechu, sukinsynu, jak zadyndasz na sznurze. Tym razem się nie wywiniesz – odparła lodowatym głosem Zuza.

– Czyżby? Jesteś tego pewna? A co mi udowodnicie? Ona tu przyszła dobrowolnie. Wtargnęliście tutaj bezprawnie, wasze zeznania w sądzie będą gównem warte. Mój adwokat zniszczy was, rozjedzie jak czołg.

– Nie sądzę, mamy świadka, który widział, jak zabijałeś Sałacką. Bez wahania rozpoznał cię na zdjęciu, a Ludwicki zezna, że kazałeś mu spreparować wyniki sekcji bibliotekarki. Zachował się prawdziwy protokół z sekcji potwierdzający moje przypuszczenia, że została zamordowana. To już wystarczy na czapę i nic więcej udowodniać nie musimy. Nie rozumiem tylko, jak mogłeś zabić własną kuzynkę.

– Cholerna dziwka, nie chciała mi oddać znaczka. Nagle ruszyły ją wyrzuty sumienia. Nie miała ich wcale, kiedy wpuszczała mnie do

mieszkania tego frajera.

– Pewnie nie przypuszczała, że go zabijesz, że jesteś potworem.

– A na co głupia liczyła? Że zostawię świadka? Od razu by mnie przyskrzynili, bo Kłopotowski mnie świetnie znał.

– Wyznała ci, gdzie ukryła znaczek, ale mimo to ją zabiłeś.

– Nie ma świadka, nie ma dowodów. Nie znasz tej zasady?

– Znam, ale nie za często się sprawdza. Miałeś pecha, bo książka, do której go włożyła, nie wiadomo jak zniknęła z biblioteki i dopiero po wielu latach cudownie się odnalazła. Odkryły ją przypadkowo trzy bibliotekarki, które robiły porządki w księgozbiorze. Jak się okazało, ktoś dawno temu zamienił na niej obwolutę. Podejrzewam, że to był zwykły przypadek. Być może wcześniej kilka książek spadło z półki i pomieszały się okładki. Dowiedziałeś się o znalezisku i sprawa odżyła. W archiwum sprawdziłam karty biblioteczne i jest tam twoje nazwisko, a więc byłeś tam, sprawdziłeś książkę, ale nic w niej nie znalazłeś. Dlatego zacząłeś podejrzewać, że znaczek ukradła któraś z owych pracownic biblioteki. Po kolei poddawałeś je torturom, próbując wydusić z nich informacje, a potem w okrutny sposób zabiłeś, i to tylko dla zmylenia tropów, żeby milicja szukała psychopaty. Problem w tym, że mimo wszystkich swoich wysiłków do tej pory nie namierzyłeś znaczka. Nie pomyślałeś o tym, że może szukałeś w złych miejscach? Pamiętasz tę grubą czarną płócienną okładkę? Może ktoś ją rozkleił, żeby coś pod nią schować, a później skleił ponownie? Zapomniałeś, że ojciec Sałackiej był introligatorem i nauczył ją tego fachu?

– Znalazłaś go?

– Nie, to tylko takie luźne dywagacje.

Januszek przestał się szyderczo uśmiechać. Jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki jego twarz diametralnie się zmieniła, przybrała posępny wyraz.

– Myślicie, że wygraliście? Nawet nie wiecie, kto za mną stoi – syknął przez zaciśnięte zęby.

Nagle usłyszeli skrzypienie otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do budynku. Nowak odruchowo zwrócił się ku wejściu i ten moment wykorzystał Januszek, rzucając się w stronę Zuzy. Padł niespodziewany strzał i pułkownik osunął się bezwładnie na podłogę. Huk broni najwyraźniej wystraszył nowo przybyłego. Słysząc było, jak zatrzymał się, po czym zbiegł po schodach i opuścił dom, na koniec trzaskając drzwiami. Sierżant w pierwszym odruchu ruszył za nim, ale po chwili wrócił.

Zuza wciąż stała jak skamieniała z dymiącym pistoletem w dłoni i patrzyła na Januszkę. Sierżant wyjął jej broń z ręki i nachylił się nad pułkownikiem.

Leżał nieruchomo na podłodze z otwartymi oczami, wąska strużka krwi spływała mu po twarzy z kącika ust.

– Nie żyje – oznajmił Nowak. – Muszę przyznać, że masz dobre oko i, co ważne, refleks.

– Zabiłam go? – wyszeptała Zuza. – Cholera, nie chciałam. Sukinsyn powinien być skończyć na stryczku. To nie tak miało być, to była za lekka śmierć dla takiego skurwysyna.

– Tego już nie zmienisz. Weź dziewczynę i zabierajcie się stąd, lepiej, żeby was tu nikt nie widział. My z Kowalskim musimy tu jeszcze zostać, trochę posprzątać.

– Dobra, idziemy, ale czy widziałeś tego typu, co uciekł? Gonileś go.

– Niewyraźnie – mruknął sierżant, ponownie schylając się nad trupem.

– Czy przypominał ci kogoś znajomego? – Zuza nie ustępowała.

– Było ciemno, przemknął mi tylko, to za mało, żeby pokusić się o identyfikację – rzekł wymijająco i rozerwał koszulę na piersi Januszkę.

– Podaj mi ostry nóż – zwrócił się do Kowalskiego.

Zuza patrzyła na to z przerażeniem.

– Co wy, do cholery, robicie? – dopytywała. – Przecież on nie żyje.

– Muszę wyjąć kulę, skoro nie znam za dobrze całej historii tej tetetki. Tak będzie bezpieczniej. Idźcie już, bo huk wystrzału mógł zaalarmować sąsiadów. Spotkamy się w kancelarii.

Zuza i jej aplikantka, niezauważone przez nikogo, dotarły do samochodu i pośpiesznie odjechały.

Zanim dotarły na Tumską, po drodze skręciły do domu Siedleckiej, żeby uspokoić jej rodzinę, a przy okazji zabrać aparat fotograficzny.

Po godzinie zjawili się Nowak z Kowalskim. Zuza nie musiała o nic pytać, ich miny mówiły wszystko – posprząтали cały bałagan.

– Masz. – Sierżant wcisnął jej coś w dłoń.

– Co to, do cholery, jest?

– Pamiątka, schowaj ją dobrze. To zabójca, kula, która trafiła Januszka prosto w serce. Teraz nikt nie ustali, z jakiej broni został zastrzelony. Za tydzień, może dwa, zamkną śledztwo i wszyscy o tym zapomną.

– Jest jeszcze ten drugi.

– Pamiętam o nim, ale sądzę, że zniknie, że nie będzie cię nachodził.

– To, że zwiął, nie znaczy, że nie wróci. Skąd ta pewność?

– Bo sądząc po jego zachowaniu, nie chciał się zdekonspirować. Tak jak powiedział Januszek, tu nie oni pociągali za sznurki. To jakaś grubsza afera i lepiej nie wchodzić w nią głębiej. Sprawy Wierzbickiego i bibliotekarek są zakończone. Dorwałaś zabójcę i powinnaś na tym poprzestać.

– Może i masz rację, ale jednak ten nieznajomy nie daje mi spokoju.

– A co się stało z tym znaczkiem? – wtrącił się Kowalski. – Myślicie, że przypadł? Nawet ja, laik w tej kwestii, wiem, że był wart fortunę.

Zuza ostentacyjnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, być może został zniszczony, a być może ukryty w jakiejś innej książce.

– Jutro idę zapisać się do biblioteki. A nuż na niego trafię? – Kowalski się rozmarzył.

Zuza roześmiała się w głos.

– To ci nie zaszkodzi, książki uszlachetniają. Aha, byłabym zapomniała, podpisałam umowę z tym Bielskim z Kaczego Pióra. Za rok, w dziesiątą

rocznicę powstania spółdzielni, będziecie mogli przeczytać moje wspomnienia. Bójcie się!

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego:

Dzisiaj w domku przy ulicy trzeciego Maja ustaliliśmy trupa sztuk jeden. Trup to półkownik milicji obywatelskiej. Trup miał rozbebeszone bebechy i serce co znaczy, że ukatrupili go jacy szataniści. Nie zdonyli zjeść to serce, to znaczy że ktoś ich spłoszył. Stwierdziliśmy że więcej nic nie brakowało. Po twarzy trupa poznaliśmy że to towarzysz Januszek i tak wpisaliśmy w raport. Kapral Opara donosi, że w okolicy widziano samochud obywatelki nijakiej Lewandowskiej znanej jako reakcja i lement wywrotowy. Wnieśliśmy do towarzysza półkownika Januszka o przesłuchanie owej Lewandowskiej, ale że on jest trup to nie wiemy kiedy da nam zgode.

Zuza wcześniej rano pojawiła się w kancelarii. Zdumiała się, bo już zastała Kowalskiego, a po chwili zjawiała się ekipa z jego rzeczami. Nawet jego historyczne biurko wróciło.

Szybko działa, chyba faktycznie było mu tam źle, pomyślała, siadając za własnym biurkiem. Zapaliła cygaro, prawdziwe kubańskie.

Zerknęła na portret Ambrożego Lewandowskiego, uśmiechał się. Wiedziała, że jest z niej dumny. W końcu rozwiązała chyba najtrudniejszą zagadkę w swojej karierze, a i przeciwnik był bardzo wymagający.

Zajrzał do niej Kowalski.

– Wchodź, jest co opijać – zaprosiła go. Postawiła kieliszki i koniak.

– Szkoda tylko, że ten znaczek się nie odnalazł – powiedział z widocznym rozczarowaniem.

Zuza parsknęła śmiechem.

– A kto mówi, że się nie odnalazł?

– No jak to? – Spojrzał na nią zdziwiony. – Przecież tak powiedziałaś Januszkowi. To nieprawda?

– Nie przypuszczałam, że zaraz zginie, a znaczek powinien wrócić do prawowitego właściciela, czyli do Sary. Gdyby wyszło na jaw, że został znaleziony, to komuchy położyłyby na nim łapy, a do tego za żadne skarby nie chciałam dopuścić.

– Co ona z nim zrobi? Jak myślisz?

– Jak ją znam, to prawdopodobnie go sprzeda, a część zysku przekaze rodzinom zabitych bibliotekarek. Co zrobi z resztą pieniędzy, to nie wiem, ale na pewno przeznaczy je na jakiś szczytny cel.

– Domyślam się, że znaczek był w okładce książki, tak jak to wyjawiaś pułkownikowi. Mam rację?

Zuza sięgnęła po butelkę i napełniła koniakówkę.

– Tak, cały czas tam był.

Ktoś zapukał.

– Wejść!

To aplikantka, trzymała w dłoni kopertę.

– Wracam od fotografa, mam te odbitki.

– Dawaj je!

Zuza rozerwała kopertę, wyjęła zdjęcia i spojrzała na pierwsze z nich.
Nagle zbladła.

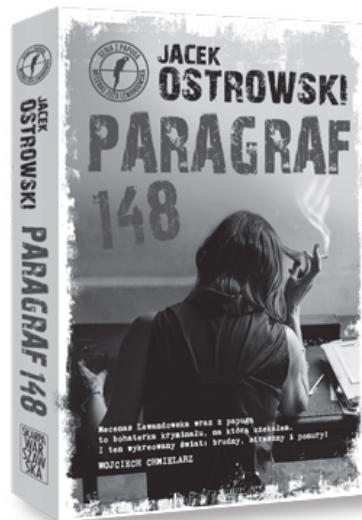
– O kurwa mać! To przecież niemożliwe!

KONIEC



SERIA Z PAPUGA

PARAGRAF 148



JACEK OSTROWSKI

PARAGRAF 148 jest pierwszą książką z cyklu powieści kryminalnych o Zuzie Lewandowskiej. Historia inspirowana jest prawdziwymi zdarzeniami.

Razu pewnego trzech krasnoludów się spotkało... Nie, to nie będzie bajka. To mroczna historia psychopatycznego seryjnego mordercy, który grasuje po Polsce, ćwiartując kolejne ofiary.



CZARNY WDOWIEC

JACEK OSTROWSKI

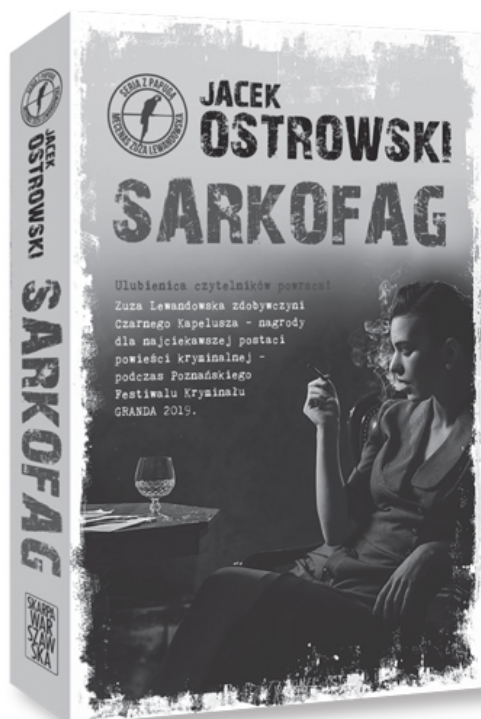
Ponieważ nie jest pewne, gdzie oczekuje cię śmierć, czekaj na nią wszędzie.

Lucjusz Anneusz Seneka

Czarny wdowiec to powieść inspirowana prawdziwymi historiami kryminalnymi przyprawionymi mrocznym stylem i czarnym humorem Jacka Ostrowskiego.



SERIA Z PAPUGĄ



Ulubienica czytelników powraca!
Zuza Lewandowska zdobywczyni
Czarnego Kapelusza - nagrody
dla najciekawszej postaci
powieści kryminalnej -
podczas Poznańskiego
Festiwalu Kryminału
GRANDA 2019.

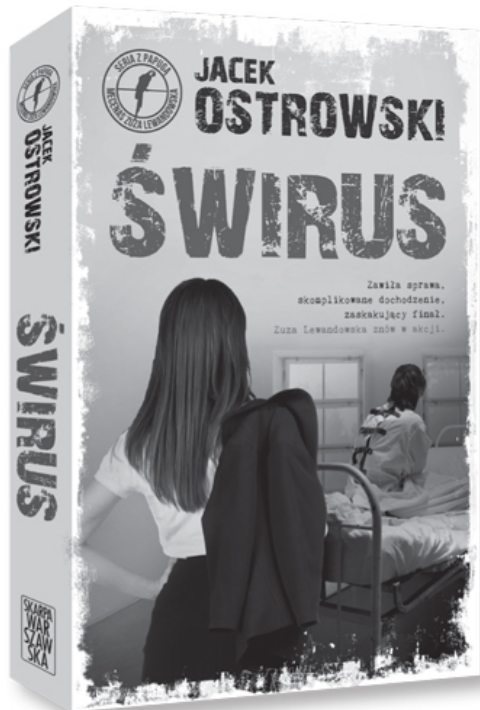
SARKOFAG JACEK OSTROWSKI

SARKOFAG to powieść
oparta na faktach. Ta historia
wydarzyła się naprawdę!

Tym razem Zuza Lewandowska musi się zmierzyć z nierozwiązaną sprawą sprzed lat. Chodzi o tajemnicze zaginięcie kolegi jej ojca. Na pozór prosta sprawa zaczyna się gmatwać. Giną kolejni ludzie, krąg podejrzanych obejmuje coraz więcej osób. Tym razem charakterna pani mecenas musi się zmierzyć nie tylko z duchami przeszłości, lecz także ze służbą bezpieczeństwa. Czy i tym razem uda jej się rozwiązać zagadkę kryminalną? Czy znów ośmieszy kapitana Mariańskiego? Czy niepokorna papuga Zgaga w końcu znajdzie swojego poskramiacza?



SERIA Z PAPUGĄ



Zawiła sprawa,
skomplikowane dochodzenie,
zaskakujący finał.
Zuza Lewandowska znów w akcji.

ŚWIRUS JACEK OSTROWSKI

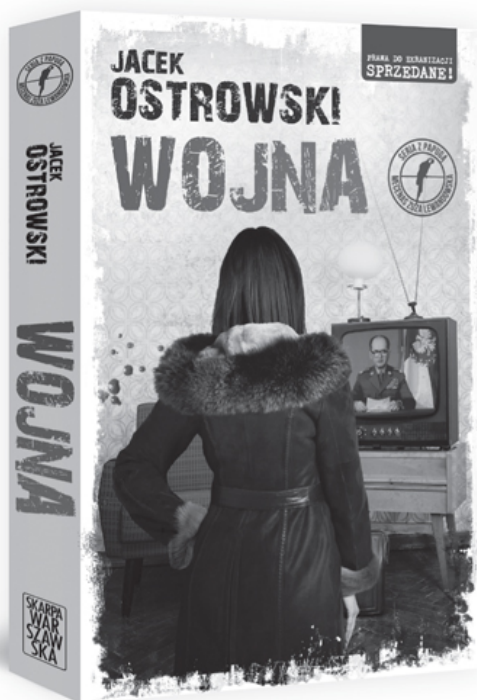
Janek Paprocki cudem przeżywa katastrofę budowlaną. Gdy budzi się z amnezją w szpitalu, oświadcza, że kogoś zabił. Wskazuje miejsce ukrycia zwłok i broni. Mariański rusza z dochodzeniem.

Zuza Lewandowska przyjmuje Paprockiego jako swojego klienta. Wkrótce wychodzą na jaw kolejne tajemnice, a Lewandowska stara się odkryć prawdę i odnaleźć sens w chaotycznych zeznaniach Janka. Gdy w sprawę zaczynają mieszać się sekretarz partii Wiśniewski oraz warszawski gangster Turski, sytuacja komplikuje się z dnia na dzień coraz bardziej. Jakie znaczenie ma w tym wszystkim zniknięcie ulubionego płockiego lekarza? Czy zaginione przed laty kosztowności w jakikolwiek sposób wiążą się ze sprawą? Czy zamknięty w zakładzie psychiatrycznym Paprocki odzyska pamięć, zanim będzie za późno na rozwiązanie zagadki?

Niespodziewane zwroty akcji doprowadzą Zużę Lewandowską do finału, którego nikt się nie spodziewa!



SERIA Z PAPUGĄ



Zuza Lewandowska
powraca w najnowszej
sprawie!

WOJNA

JACEK OSTROWSKI

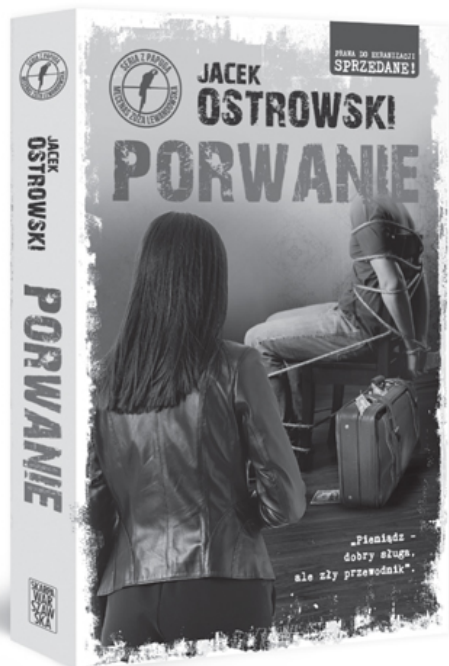
Trzynastego grudnia ogłoszony zostaje stan wojenny. Na terenie Płocka dochodzi do serii tajemniczych zabójstw. Ofiary zostają w brutalny sposób okaleczone.

W Płocku rządzi komisarz wojskowy i to on, ku zaskoczeniu kapitana Mariańskiego, zleca Zuzie wykrycie zabójcy. Wśród ofiar jest zięć prominentnego polityka i stąd naciski władz, żeby za wszelką cenę ująć zabójcę. Nawet za cenę dogadania się z Zuzą Lewandowską znaną powszechnie z wyjątkowo bystrego umysłu, ale i ze swojej niechęci do komunistów.

Co łączy wszystkie morderstwa? Czy istnieje jakiś klucz? Czy Zuza też znajdzie się na liście potencjalnych ofiar?



SERIA Z PAPUGĄ



PORWANIE

JACEK OSTROWSKI

**Kto porwał Zgagę
i dlaczego?**

Zuza Lewandowska nie może się pogodzić z tą stratą. Nie opuszcza mieszkania, lamentuje, pije do nieprzytomności, tym samym zaniedbując obowiązki zawodowe.

Sierżant Nowak i mecenas Kowalski postanawiają temu zaradzić i wpadają na iście szatański pomysł, ale czy uda im się go zrealizować?

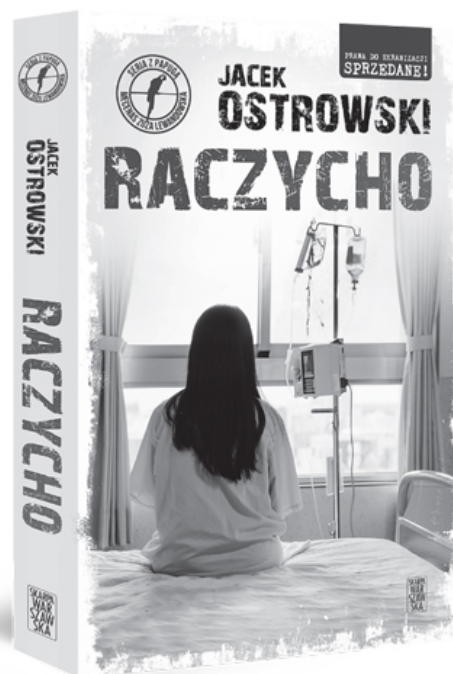
Tymczasem w Płocku dochodzi do porwania Bohdana Wierzbickiego, syna bardzo bogatego piekarza. Porywacze żądają za chłopaka astronomicznego okupu i wtedy do akcji wkracza kapitan Mariański. Dla niego nie ma rozwiązanych spraw, on potrafi jedynie wszystko komplikować. Śledztwo tak utajnia, że sam traci do niego dostęp. Jedynym ratunkiem dla porwanego jest Zuza Lewandowska.

Czy uda jej się uratować Bohdana?

Czy odnajdzie się Zgaga?

Czy przestępcy poniosą zasłużoną karę?

W przygotowaniu kolejny tom serii



skarpawarszawska